

JACEK DĄBAŁA



PIESZCZOCHY LOSU

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

JACEK DĄBAŁA

PIESZCZOCHY LOSU

Państwowy Instytut Wydawniczy

Mojej Żonie, Bożenie

*„Jestem najgłupszy z ludzi
nie mam ludzkiej zdolności,
nie nabyłem mądrości,
wiedza Świętego mi obca.”*

Ks. Prz. 30,2

„Milion dolarów. Oto cel mojego życia.” W ten sposób zaczynał się list, który dotarł do rąk Petera Coya, jednego z najlepszych agentów literackich Londynu. *I słusznie. Od razu wiadomo, o co chodzi.* Agent lubił dziwne niespodzianki. Może dlatego, że zdarzały się rzadko. Doceniał bezpośredniość i poczucie humoru swoich klientów. *Cóż, to nic wielkiego. Gdyby było odwrotnie, Coy byłby po prostu księgowym lub grabarzem...*

Kolejne zdania listu były jeszcze bardziej ekscytujące... „Książka, którą panu wysyłam, jest najinteligentniejsza na świecie...”, „Moja wyobraźnia potrafi pokroić nawet kotlet. Piszę dla świrów i dla intelektualistów...”, „Jeżeli nie jest pan stetryczałym pierdołą, to zrobi pan ze mnie najślawniejszego pisarza świata...”, „Przypuszczam, że lubi pan pieniądze tak samo jak ja...”, „Na świecie rodzą się ciągle nowi ludzie. Przeważnie przeciętni. Ja urodziłem się Einsteinem literatury...”. Żaden ze znanych Coyowi pisarzy nie zdobył się nigdy na podobną bezczelność.

Agent sam nie wiedział, dlaczego tego listu po prostu nie

wyrzucił. *Może pomyślał, że tym razem nie będzie sztywnym Anglikiem? Chociaż to mało prawdopodobne... Gdyby tak pomyślał, zachodnia demokracja byłaby zagrożona. A może w ogóle wtedy nie myślał? Zapewne przez zawodowe doświadczenie. Może kryło się w tym coś więcej niż tylko poczucie humoru?*

A jeżeli był po prostu znudzony i potrzebował rozrywki? Pieniędzy miał już na tyle dużo, że mógł sobie pozwolić na ekstrawagancję. *Sratatata...*

Coy czytał na wrywki poszczególne zdania listu i coraz bardziej upewniał się, że kompletnie nieznanemu autorowi niekoniecznie musi być jeszcze jednym wariatem. *Wyraźnie rozregulowała mu się mentalność. Czyżby za dużo czytał? Czyżby za mało czytał angielskich pisarzy? On, Peter Coy, szef potężnej agencji autorskiej w królestwie boskiego funta szterlinga...*

Najbardziej niepokoilo go nazwisko pod listem. Polskie. Karol Sulikowski. Co tu dużo mówić, dla niego był to trzeci świat. Z trudem i z masochistyczną przyjemnością przełamywał w sobie stereotypową niechęć do obcych. Polak... Nawet nie Francuz albo Niemiec. Peter Coy sięgnął po fajkę i zapalił. Cóż, w każdym razie lepiej to brzmiało niż Albańczyk, Rumun albo Wietnamczyk... W jego głowie zapalało się i gasło zielone światełko. Autor listu również o tym wspomniał... „Czy nie uważa pan, że wszędzie na świecie może urodzić się geniusz? Historia to potwierdza. Także w Polsce. Kopernik, Chopin, Curie-Skłodowska... Nie traćmy czasu. Teraz moja kolej.” *Czyż taka pewność siebie nie świadczy o doskonałości? A może zakrawa to na cudowną, artystyczną chorobę umysłu? Czy w ogóle bywają chwile, gdy taka choroba staje się fascynująca?* Agent Coy nacisnął guzik na biurku, wbił spojrzenie w stojące na półce z książkami, przypominające nocnik, specjalne pudło na cylindry i odezwał się do swojej osobistej sekretarki:

- Sally, czy mogłabyś mi wyjaśnić, dlaczego list od tego Polaka znalazł się na moim biurku? *Nawet w takiej chwili zasraniec odgrywał rolę ważniaka. Jak można zwlekać z podjęciem pozytywnej decyzji? Przecież tam w Polsce siedzi pisarz i*

niecierpliwie czeka na swój milion dolarów. Trzeba mu go dać! I to szybko, do jasnej cholery!

- Czy mam to wyjaśnić osobiście, proszę pana? - w głośniku rozległ się głos dojrzałej kobiety.

- Tak, dobrze będzie, jeśli to zrobisz... - Słowa agenta brzmiały surowo, ale on sam był rozluźniony i spokojny. *Może nawet tak samo jak ulubieńcy Salvadora Dali z wszytymi pod skórę zegarkami... Kto wie?* Od czasu do czasu tak właśnie działał na niego widok pomarszczonych grzbietów starych książek kupionych w antykwariatach przy Charing Cross Road. *Czy to aby na pewno tańsze od prozaku?*

Sally Lenox była wysoką blondynką z krzywymi jak sierpy nogami i typowo angielską końską twarzą. Jej głowa kiwała się na chudej szyi, a skóra, pomimo grubej warstwy kremu i pudru, była pomarszczona i przypominała suszoną śliwkę. Poza tym panna Lenox doskonale pracowała i bezgranicznie poświęcała się firmie. *Wiele jest takich spróchniałych cip na świecie. Dzięki Bogu trafiają się wśród nich prawdziwe okazy. Wówczas - co wydaje się uzasadnione - można je całować bez wstępu w każde miejsce.*

- Jestem - odezwała się zasadniczym głosem, a jej spojrzenie zawisło gdzieś nad głową Coya.

- Siadaj. - Agent wskazał jej fotel obity skórą antylopy.

- Myślisz, że jest normalny? *No tak, teraz na pewno trzeba to powiedzieć. Uwaga! Portret angielskiego agenta literackiego nie wydaje się tutaj prawdziwy. It doesn't ring true! Czy to coś zmienia?*

- Myślę, że tak - odpowiedziała panna Lenox, sadowiąc się tylko jedną stroną pupy na fotelu. Zawsze uważała, że tak jest bardziej elegancko, gdyż prawdziwej damie nie wypada siedzieć na obu pośladkach.

- Dlaczego tak myślisz? Przecież to jakiś Polak, o którym nikt nie słyszał...

- Załączył kilka wycinków z polskich gazet - wtrąciła zimno panna Lenox. - Wszystkie przetłumaczone przez tłumacza przysięgłego... Przepraszam, przez czterech tłumaczy przysięgłych. To wiarygodne. Tytuły podanych gazet są w

Polsce znane i cenione. *Serce tej kobiety jest zaiste olbrzymie. Tak pięknie dba o interesy pozaangielskiego samca. Może to sentyment po polskich lotnikach? Jej kobiecey instynkt wie, ona rozumie, że milion dolarów należy się również temu, który nie nazywa się Sylwester Stallone albo Joe Eszterhas....*

- Czytałaś maszynopis? Przetłumaczono zaledwie trzydzieści stron... - Peter Coy wstał zza biurka i podszedł do okna. Zbliżała się pora lunchu. Pomyślał, że lada chwila na Regent Street pojawią się pierwsi głodni urzędnicy z pobliskich biur. Lubił ten widok. Był naprawdę angielski i nieludzko optymistyczny. - Wiesz, jak trudno będzie go sprzedać? Nawet jeżeli jest genialny, trzeba będzie zainwestować w niego kupę pieniędzy. Zastanawiam się, czy czytelnicy książek w naszym pięknym języku zechcą go w ogóle wziąć do ręki... *W tym momencie agent powinien coś wymyślić. Powinien, jeżeli chce umrzeć w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.* Tak, to jest prawdziwe wyzwanie. Udowodnić takim czytelnikom, że oprócz Jeffrey Archera, Kena Folletta i Johna Grishama jest ktoś, kto może im opowiedzieć coś interesującego. To cholernie trudne zadanie, Sally. No więc, czy czytałaś maszynopis?

- Czytałam - odparła sekretarka. Sama nie wiedziała, dlaczego jej wzrok uciekł w stronę siedzenia fotela, który kształtem i lekko zielonkawym obiciem przypominał te z herbaciarni hotelu „Waldorf”. - To zaledwie fragment... Cóż, maszynopis może nie jest najlepiej przetłumaczony, ale wystarczająco dobrze, aby stwierdzić, że książka jest inna... - Panna Lenox zawahała się, jakby szukała odpowiedniego słowa. - Sądzę, że ten Polak nie jest nudny. Jest odważny i wie, czego chce. Poza tym... - Panna Lenox zaczerwieniła się. - Poza tym tak cudownie używa brzydkich wyrazów. Myślę, że jest poetą ekshibicjonizmu... *No właśnie, no właśnie. Ta wspaniała stara panna rozumie cały żar, jaki bije od steku przekleństw przelanych na papier w upalną noc. Olewa pruderyjne bździumgwy i zdevociale czerwone kapturki. To nie jest knajpa, to nie ulica, to sztuka, która ma prawo gmerać nawet w pończochach prababek.*

- Dziękuję ci, Sally. - Głowa Petera Coya nadal była odwrócona

w stronę okna. Za pięć minut ulica powinna być zatłoczona. Doskonały moment, aby podjąć ryzykowną decyzję. *W jego mózgu zrodziło się nagle bardzo profesjonalne zdanie: „Quite racily written but strains for effect.” W porządku, dawaj dalej, stary.* - Po lunchu napiszemy do niego list. Napiszemy mu, że zarobi swój milion dolarów... *No, nareszcie! Niewiele brakowało, a ktoś mógłby się wkurwić...*

Nieśmiertelność. Banalne słowo. Obgadane, przetrawione, odmienione w tysiącach tęsknot. Skrada się za każdym jak polowanie. Najpiękniejsza nadzieja człowieka. Zarówno głupiec, jak najteższy geniusz zadają sobie podobne pytanie. Jak cieszyć się dłużej? Dlaczego (do kurwy nędzy!) to przyjemne musi się kiedyś skończyć? I pomyśleć, że tylko jedna mała komórka stoi na drodze szczęścia. Ma pełną informację o człowieku. O tym jednym, jedynym egzemplarzu. Komórka odpowiadająca za duży palec u nogi, za krzywe zęby, za wystające łopatki i chrome płuca. Kiedy powstaje, kiedy plemnik wgryza się w przypadkowe jajo, mamy do czynienia z gotowym, przerażająco doskonałym tworem. Prawie niewidzialny bzdet, brzydki i prozaicznie nazywany komórką, posiada informacje o nas samych. Gorzej. Wie, kiedy zachorujemy, w jaki sposób będziemy się starzeć, gdzie zakwitną nam piegi, jaka będzie barwa naszego głosu. Każda sekunda naszego czasu mieści się w tej cudownej katastrofie, w zderzeniu plemnika z jajem. To tak, jakby czas zatrzymał się. Paraliżujący paradoks. Optymistyczna kraksa.

Skoro jednak czas może stać w miejscu, można również w nim pomajstrować. Zajrzeć w głąb nieśmiertelności. Proste. Ktoś rośnie i tak pięknie się zmienia. Ta sama komórka wie, w którym miejscu powinna urodzić serce, w którym żyły, a w którym mózg. Ta sama. Mądra i precyzyjna. Nogi przestają w końcu rosnać, nos przybiera określony rozmiar, oczy nie wygłupiają się i nie rozsadzają czaszki. Kiszki mają wygodną długość i mieszczą się w brzuchu. Niewidoczny mechanizm pracuje. W potrzebnym momencie blokuje impulsy rozwoju i milknie. Milknie! I tu go mamy! Może gadać. Gdyby tylko ktoś go namówił. Nawet nad grobem. Co za farsa!

Zmęczone serce przestaje bić, mięsień dogorywa, martwica... Komórka milczy, chociaż dobrze wie. Zna tę cholerną tajemnicę, ale ma to w dupie. A dupę ma, to pewne. Wystarczy tylko odblokować milczenie. Namówić komórkę do powtórzenia znanego wątku. Sprzed pięćdziesięciu, siedemdziesięciu, a może i stu lat. Kilka tygodni i stare serce jest nowe. Informacja została przekazana, komórka wykonała swoją pracę, wykorzystwała swoją wiedzę. Tak ze wszystkim. Na świecie pojawiają się odnowione babcie, dziadkowie, prababcie, pradziadkowie... Nikt nie umiera. Komórka wie. Człowiek doi i ma. Nieśmiertelność. Cudowna, wymarzona. Bez chorób, całymi rodzinami, szczęśliwie. Cmentarze przeznaczone dla pechowców. Nie! Nie! Na Boga! Komórka wie. Jakiś granat? Jakaś ocalała ręka? Komórka wie. Opieka i jeszcze raz opieka. Komórka z ręki zaprasza nas do zmartwychwstania. Pobudzona, kopnięta w tyłek zaczyna się toczyć, powiększać, krzyczeć. Żyje! Ręka żyje i ma właściciela. Upajający łańcuch nieśmiertelności. Nawet cierpienie się nie liczy. A kiedy już wszyscy stoją obok siebie, całymi rodzinami, szczęśliwi, że razem, wtedy komórka sypie się z hojności. Zaczyna spekulować i spada na czarny rynek. Nie ma. Z jakiej racji? Nie, pan ma zbyt grubą mordę i bebecz. Pan nie musi być zapamiętany... Pani? Z takim zadem? Kochana, nam potrzeba piękna, cyców, talentu do miłości. Garbaty... Przykro nam. Alkoholik? Won. Narkoman? Won. Chory? Won! Won! Won! Jest miło. Aha, wy tam, odblokujcie mi tę małą do sprzątnia. Sprawdźcie tylko, czy się nie poci...

*

Jako Anglik czuję nieprawdopodobną flegmę. Moja twarz oraz moje własności należą do lorda Byrona lub do Winstona Churchilla. Jestem bez ducha i mogę napalić w kominku. Gdy krew uderza mi do głowy, od nadmiaru wojny dławię się cygarem. Czasami dzielę się z tym popierdolonym królem Henrykiem VIII. Zawsze potem przez jakiś czas szukam laski i ze strachu wymyślam sobie od „brzydkich i chorych rozporków”. Z tego jednak nie można się wyleczyć. Tylko nie ulica! Tylko nie nijaka, beznadziejna i smutna ulica! Nigdy nie odnajdę w so-

bie królowej Matki. To ogromna historyczna ulga, zaiste w toaletowym stylu, kiedy tak wzbieram od dobrego samopoczucia i rozgarniam moją tożsamość. Moją angielską tożsamość. Nie ma nic podejrzanego w tym, że każdy prawdziwy Anglik ma przy sobie prywatną kłódkę od prywatnego skweru. W końcu to my wpadliśmy na pomysł wydojenia tej ospałej krowy, jaką jest świat. To cudowne, że tylko czterdziestu facetów, czterdziestu Byronów i Churchillów, gwałciło spory kawał dobra swoim legendarnym fallusem - Kompanią Wschodnioindyjską. Żaden Francuz, żaden Niemiec, żaden Hiszpan ani Rosjanin. Anglik! Taki jak ja. Anglik mówiący tym kapitalnym żądłem, językiem angielskim.

*

Wynarodowienie (zwane międzynarodowym obywatelstwem) pałętało mu się gdzieś pomiędzy nogami. Nic ponadto nie dawało się stwierdzić. Mężczyzna, o którym mówili „Bezpański”, był jednym z wielu, jacy ulegali niestosownym eksperymentom. Mężczyzna pisał bardzo niestosowną książkę. W swój stukartkowy zeszyt w kratkę wylewał z siebie cały nieprzekupny talent. Tylko w ten sposób mógł ocalić te kawałki prawdy, o których

- jak go uczono - człowiek powinien pamiętać. Mężczyzna nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu, że w ten sposób wcale nie oczyszcza świata z zakłamania, że jest po prostu nienormalnym palantem, który musi się wykrzyzczyć. Wrażenie szybko mijało. Kiedy siadał w bibliotece, kiedy rozglądał się po kilometrach książek i nigdy żadnej nie brał do ręki, wówczas spływała na niego łaska. Odpalał i sypał tymi swoimi niecenzuralnymi, obrzydliwymi kurwami...

Plakał. Załamany i wykończony walką wstawał, wkładał do kieszeni zeszyt, chował długopis z wygryzionym końcem i wychodził z biblioteki. Myślał o tym, że władza jest niesprawiedliwa, że lekceważy ostrzeżenia, jakie wysyłają w każdej sekundzie szare komórki. Przerazenie mężczyzny zamieniało się powoli w smutek. Był taki bezradny, a tak bardzo chciał pomóc. Mężczyzna chorował na niemoc. Dlatego pisał, dlatego eks-

perymentował i tak bardzo chciał być czysty. Kiedyś czytał. Dużo oglądał. Znał języki. Należał do tych, którym życie dawało. I nadszedł dzień. Przestał czytać, przestał oglądać i zaczął szukać. Wariat. Dziwne i nie poznane COS spuściło go ze smyczy.

*

Kiedy Jan Bykowski był jeszcze w brzuchu matki, wszyscy, bez wyjątku, wróżyli mu podłe życie. Nie uda mu się, mówili. Może? Ciężko marzyć w wielodzietnej, robotniczej rodzinie. Tylko matka miała nieodgadnione przeczucie, że jej nie narodzone będzie kimś wyjątkowym. Rodziła po raz dwunasty. Rok po roku. Nie miała ochoty, ale musiała. Bieda znieczulała. Kolejne dzieci były jak zastrzyki morfiny. Przetawiała czuć. Coraz bardziej skupiała się na codziennej wegetacji. Na stole musiało być trzynaście kromek, trzynaście razy posmarowanych smalcem lub dżemem. Trzynaście tanich i cienkich herbat, wszystkiego po trzynaście... Buty, ubrania, miejsca do snu, cierpliwość i czas. Czas przeznaczony dla jedenaściorga dzieci, dla męża i na samym końcu dla niej samej. Piekło, które do niej przychodziło.

To dziecko było inne. Poczuała to od chwili poczęcia. Jej mąż nie zrobił tego tak jak zwykle, niedomyty, śmierdzący wódką i piwem. Nie otworzył z łomotem drzwi, nie rozdarł mordy i nie pobudził dzieci. Nikogo nie przestraszył. Starał się. Nie śpieszył się. Wyszedł z łazienki umyty, ogolony i w jedynej piżamie, jaką miał. Zajrzał do pokoju, gdzie w barłogach spały ich wszystkie dzieci, przymknął drzwi i podszedł do wózka, w którym leżała prawie roczna Helenka. Kobieta obserwowała go szeroko otwartymi oczami i zaczynała się bać. Nie wiedziała, jak ma zareagować. Nie dostała w twarz, nie została skopana i obsoznaczona, nie musiała uciekać na ulicę. Kobieta napięła się jak struna i czekała. Mąż położył się obok niej, poleżał kilka sekund w bezruchu i nagle podał jej na wyciągniętej dłoni cukierek.

- Miętowy - powiedział cicho. - Dobry.

Kobieta wzięła cukierka, ostrożnie włożyła do ust i kątem oka

obserwowała męża. Czula w pokoju zapach jego taniej wody kolońskiej. Tej, która stała na półce od sześciu lat. Wciągała nozdrzami ten zapach i nie mogła nadziwić się, że jej mąż naprawdę tak pachnie. Czysto. Nie ma smrodu, zaduchu, szarpania. Jest czysto. Zapach pomógł zapomnieć. Nie pamiętała już o przegniłych i powybijanych zębach, nie widziała nalanej krwią, sinej i pokiereszowanej twarzy, nie wracała spojrzeniem do brudnych, wstrętnych paznokci u nóg i rąk. Nie było smrodu rzygowiny. Ręka jej męża powoli i ostrożnie dotknęła jej biustu. Był pełen mleka, ale nadal ładny i duży. Dbała o to. Nie poddała się. Nigdy nie piła i zawsze starała się być czysta. Robiła także coś, czego zazwyczaj nie robiły kobiety w jej sytuacji. Gimnastykowała się. Codziennie przynajmniej przez dziesięć minut. Dlatego wciąż była zgrabna i na swój sposób ładna. Mąż zaczął bawić się jej sutkami. Wsunął rękę pod koszulę i delikatnie uciskał raz jedną, raz drugą pierś. Strach zaczął odchodzić, ale nie poruszyła się. Westchnęła tylko cicho, jak wzdycha ktoś po powrocie z ciężkiej pracy. Potem zaczął ją całować. W szyję, sutki, brzuch i niżej, coraz niżej... Kiedy ją tam dotknął, objęła go i odszukała dłonią jego twardość. Był gotowy, wiedziała o tym. Ona również. I to ją najbardziej dziwiło. Rozwarła uda i puściła soki. Czekala. Kiedy klęknął nad nią, zobaczyła w ciemnościach jego napęczniały narząd. Sama go naprowadziła. Czula każdy centymetr, kiedy w nią wchodził. Powoli, jak nigdy, jak na filmach. Pierwszy orgazm w jej życiu trwał długo i sprawił, że na nowo pokochała człowieka, który przed dwunastu laty poderwał ją na dyskotece. Hura! Hura! Hura! Tylko to przyszło jej do głowy. I zaszała.

*

Benedykt miał dwadzieścia pięć lat i uwielbiał liczyć trawę. Jego ojciec był znanym dyplomata, a matka - dopóki nie odeszła - interesowała się modą. Często z nim rozmawiali. Tak jakby chcieli zmusić jego mózg do tańca. Raz nawet ojciec dał mu klapsa. Wtedy urażony Benedykt liczył trawę dłużej niż zwykle. Wyszedł do ogródka swojej rodzinnej willi, położył się

na trawie i zaczął liczyć źdźbła. W małych, zielonych listkach odnajdował całą przyjemność życia. Jego wysiłek kierował się na policzenie wszystkich, także najmniejszych, trawek. Debil. Genialny debil. Egzemplarz jedyny i niepowtarzalny. Potrafiący przeliczać w pamięci każde matematyczne zadanie. Nikt nie umiał odgadnąć, w jaki sposób umysł Benedykta rozprawiał się z matematycznymi wyżynami. Nikt nie wiedział, w jaki sposób Benedykt zapamiętywał wszystko z cyfrową dokładnością. Znał przypadkowo przeczytane lub usłyszane rozkłady jazdy autobusów w większości stolic świata, przytaczał całe fragmenty rozkładów lotów w Los Angeles, Londynie, Meksyku czy Kuwejcie. Jego ojciec mógł zapytać o wszystko, co miało związek z zapamiętywaniem i liczeniem. Zawsze otrzymywał natychmiastową, bezbłędną odpowiedź.

Benedykt mało mówił. Właściwie wcale się nie odzywał. Rósł w kogucim postkomunistycznym pawiu i potrzebował rywalizacji. Musiał czuć opór, aby nie płakać. Wcześniej zainteresował się komputerami. Mało mówiły, nie używały męczących przymiotników i zawsze chciały się ścigać. Wystarczyło naciskać klawiaturę i otwierały się nowe, skomplikowane światy. Benedykt szybko osiągnął wprawę, o jakiej marzą wszyscy zawodowi programiści. Rozumiał każde włókno tej plastikowej maszyny. Kiedy rozpoczynał się wyścig i dane matematyczne przybierały coraz to nowe kształty, wtedy Benedykt przeżywał swoje najpiękniejsze chwile. Był szybki, tak szybki, jak najszybsze komputery. Nieważne czy wojskowe, czy cywilne, czy uniwersyteckie. Benedykt liczył szybciej niż one wszystkie razem wzięte. Wyniki podawał natychmiast. Odbijał jak w ping-pongu: pyk - pyk, pyk - pyk...

Mimo że nie ukończył żadnej szkoły i żadnych studiów, wiedział i pamiętał więcej od najwybitniejszych umysłów świata. Debil? Genialny debil. Wszystko pamiętał i wszystko błyskawicznie przeliczał. Pytali go najwspanialszy naukowcy. Zwyczajnie. Dzwonili nawet w nocy, kiedy grunt palił im się pod nogami, a uniwersytecka sieć komputerowa grzała się od nadmiaru danych. Rano automatyczna sekretarka Benedykta odtwarzała wszystko to, z czym bezskutecznie próbowali sobie

radzić twórcy cywilizacji.

Teraz Benedykt miał już dwadzieścia pięć lat i nie zajmował się takimi głupstwami. Dojrzał. Nadal uwielbiał liczyć trawę, ale robił to wyłącznie u znajomych rodziców. Niektórzy z nich dokładnie wiedzieli, ile ździebełek znajdowało się w danym dniu na jednym metrze kwadratowym ich ogródka. Co bardziej ekscentryczni porobili sobie nawet pamiątki: „Dnia (tu dokładna data) na działce państwa M.A. Goldberg, w lewym narożniku od strony wjazdu, na jednym metrze kwadratowym rośnie 3651 ździebeł trawy.” Pod tekstem znajdował się podpis Benedykta. Bezczenny. Ważniejszy od podpisu Lenina, Reagana, Picassa czy laureatów Nagrody Nobla.

Lecz zaczął się wyścig ze śmiercią. Benedykt był potrzebny i nikt się z nim nie liczył. Pierwsze i ostatnie nieudane porwanie zdarzyło się w Kalkucie. Dwoje najemników uprowadziło piętnastoletniego Benedykta prosto z lotniska. Jego ojciec nawet tego nie zauważył. Benedykt odszedł w tłum dworca lotniczego, zabawiany przez dwoje młodych ludzi w wielkich, lustrzanych okularach. Benedykt miał szczęście. Zdenerwował się, kiedy dziewczyna pocałowała go w usta, starając się zakryć jego twarz przed policyjnym patrolem. Wrzask Benedykta był tak przerażający, że najemnicy uciekli. Policja odprowadziła go do ojca. Ten niewinny pocałunek ocalił mu życie. Był ostrzeżeniem.

Rok później Benedykt oficjalnie nie żył. Nieoficjalnie trochę żył. Czuwało nad nim trzech ludzi. Państwo umiało docenić talent Benedykta. Miał najdroższy komputer i pomagał tym, którzy do niego dotarli. Opracował program, który zagroził monopolowi twórców filmowych. Fabryka rozrywki nie była zagrożona. Zagrożona była fabryka pieniędzy. Benedykt po raz pierwszy zakochał się. Marilyn Monroe mówiła do niego to, co chciał usłyszeć. Poruszała się tak, jak sobie tego życzył. Spotykała się z nim we wszystkich wymarzonych miejscach ziemi. Dotykała go, liczyła z nim trawę, rozmawiała z tymi, których on nie chciał słuchać, była bardzo blisko. Benedykt zakochał się i mógł projektować własne życie. Na ekranie komputera pojawiały się okrągłe, gorące usteczka Marilyn i szeptały: „Kocham

cię, Benedykt, kocham cię... Czy moglibyśmy policzyć trawę przed domem naszego drogiego prezydenta? Czy chciałbyś policzyć trawę na zdjęciu satelitarnym? Wokół Białego Domu? Czy pomimo powiększenia popełniłbyś jakiś błąd? Jak duży byłby margines błędu? Kochany mój, licz, błagam cię, licz tę trawę...”

*

Kto zadaje te pytania? I kto na nie odpowiada?

- Czy powiesz mi kiedyś coś optymistycznego? Nie, to głupie pytanie. Takie prowincjonalne. Poczułam się tak, jakbym była nikim. Zaraz... Niezupełnie tak jest. Przecież tak naprawdę zależy mi na optymizmie. Czego się tak denerwuję? Boję się? Jak w końcu powinno brzmieć przyjemne pytanie?

- Nie ma przyjemnych pytań. Są przyjemne chwile. Pytania mogą je co najwyżej pogłaskać... W ogóle pytania nie mogą być przyjemne. Zawsze wydają się podejrzanе, roszczeniowe... Daj mi to, daj mi tamto. Tego nie wiem, tamto by mi odpowiadało, ale... Nie trzeba pytać. Lepiej oznajmiać.

- Jeżeli zacznę oznajmiać, ktoś może przestać mnie lubić. Ludzie nie lubią mądrzejszych od siebie...

- Mądrzejszych?

- Wystarczy oznajmić i już jesteś mądrzejszy.

- Można to zrobić neutralnie. Zwyczajnie. „Teraz jest godzina dwudziesta.” Przecież można tak powiedzieć i nikogo nie obrazić.

- Teraz jest godzina dwudziesta. Jak to brzmi? Znów czuję się jak idiotka. Po co to mówić? Gdyby ktoś zapytał, wtedy można odpowiedzieć... Ale tak sama z siebie... Nie, to głupie. I wcale nie brzmi neutralnie.

- Z ludźmi musisz się jednak porozumiewać. Jeżeli nie chcesz pytać, bo czujesz się gorsza, nie chcesz oznajmiać, bo wydajesz się sobie głupia, to krzycz...

- Jak to, krzycz? Wtedy będę niepoważna, dziecinna. Sama nie wiem, jak powinnam rozmawiać, żeby nie być upokarzana. Co zrobić, żeby zdania osiągały swój cel, żeby nie było przykro?

- Musisz się odciąć. Używać języka bez zaangażowania. Taka nieobecna forma. Pytasz i zarazem nie pytasz. Oznajmiasz i zarazem nie oznajmiasz. Krzyczysz i zarazem nie krzyczysz. Proste i bezpieczne.

- Nie wiem... Nie wiem, jak bym się czuła. O, Boże! Taka pusta...- Byłabyś nadal sobą. Prywatnie. Nikt nie miałby możliwości cię zranić. Nikt by na ciebie nie wpływał, nie chwalił cię, nie obrażał, nie prowokował. Żadnych polemik. Tylko ty i cała zaszracona reszta. Nic, co warto pamiętać. Czysta powierzchnia. Komfort dla duszy. Oznajmiasz, pytasz, krzyczysz, a tak naprawdę cię nie ma. Jesteś tam, gdzie jest ci dobrze. Jesteś ze sobą. Czujesz się najważniejsza, lepsza. Samowystarczalna. Cudowne uczucie.

- A gdybym nadal chciała usłyszeć coś optymistycznego? Kto zadaje te pytania? I kto na nie odpowiada?

*

Pub nazywał się „The Bells” i serwował najlepsze piwo na świecie. Tak przynajmniej myślał Peter Coy, szef agencji skupiającej najbardziej szalonych agentów literackich w Zjednoczonym Królestwie. Dochodziła godzina dziesiąta. Na zewnątrz wiał ostry wiatr i siał drobny deszcz. Typowa jesienna pogoda. *Niektórzy twierdzą, że taka pogoda panuje w głowach ludzi chorych na depresję. Jedni są przerażeni, drudzy obojętni...* Po czwartym kuflu Coy poczuł, że jego nogi robią się miękkie. Pora była najwyższa, aby zakończyć spotkanie, zamówić taksówkę i udać się spać do domu. Tego wieczoru jednak dyskusja potoczyła się tak interesująco, że agent celowo zwlekał z podjęciem decyzji. Harry Mikesz, potomek węgierskich emigrantów, przyjaciel Coya i znawca wszystkich możliwych sztuczek, jakich imali się w swojej pracy agenci literaccy, również miał już dobrze w czubie. Trzecim kompanem przy stoliku był Richard Pierce, młody specjalista od marketingu w prężnym wydawnictwie Sandra BJJ Books. Coy lubił go mimo dużej różnicy wieku. Uważał, że kontakt z tym młodym człowiekiem pomagał w lepszym wyczuwaniu potrzeb rynku. Poza tym obaj z Mikeszem dobrze się bawili

soczystym językiem Pierce'a i rzadko spotykaną u wydawców zapalczywością. *Uwaga! It doesn't ring true! Angielski agent literacki jest po prostu nie do opisania.*

- Mam w zanadrzu coś bardzo niezwykłego... - zaczął ostrożnie Coy. - Pewien Polak napisał powieść, która, jak twierdzi, jest genialna...

- Każdy tak mówi - wtrącił Pierce, opierając się mocniej na łokciach. - Każdy pieprzony pisarz uważa, że jego książki są najlepsze i trzeba je sprzedać w nieograniczonym nakładzie... Ta banda dupków nawet nie wie, ile nam zawdzięcza... *Kiedy człowiek coś takiego przeżywa, jego poczucie godności kształtują wyłącznie honoraria.*

- Nie zaprzeczysz jednak, że zdarzają się prawdziwe talenty - odezwał się znad kufla Mikesz.

- Oczywiście - zaśmiał się głośno Pierce. - Oczywiście, że są... Wtedy zarabiamy na nich forszę i kupujemy sobie najdroższe samochody. Co jest takiego wyjątkowego w tym Polaku? Facet pisze o śmiertelnym onanizmie wśród księży czy o kolekcjonerach zasuszonych, azjatyckich łechtaczek? Co? *Przypomnijmy. It doesn't ring true!*

Harry Mikesz zaśmiał się jak stary satyr i pociągnął kolejny łyk piwa. Głowa Coya chwiała się lekko na boki, a oczy mrugały coraz szybciej. Żaden z nich nie miał wątpliwości, że tego wieczora mocno przesadzili. Skoro jednak tak się stało, nie mieli zamiaru rezygnować. Teraz mogli być już tylko mniej lub bardziej pijani. Nie robiło im to różnicy.

- Widzicie, czytam książki od ponad czterdziestu lat - zaczął refleksyjnie Coy. - Przeczytałem może kilkadziesiąt tysięcy maszynopisów i zaledwie kilka razy miałem poczucie, że trafiłem na coś wyjątkowego. Dzisiaj myślę, że literatura tylko wtedy jest coś warta, kiedy po prostu nami wstrząsa... *Czy to w ogóle możliwe, żeby obrzydliwie bogaty agent myślał tak nieracjonalnie? Boże, do czego to dochodzi!* Kiedy jest inteligentna, zabawna lub odważna, kiedy pozwala zapominać lub sprawia nam przyjemność. Wszystko inne przypomina plagiaty w ramach gatunku.

- Co ci się tak spodobało w tym Polaku? - nieco ironicznie

odezwał się Mikesz. - Nie chciał ci przypadkiem za darmo pomalować domu? Oni podobno kradną dla Rosjan samochody... *O, to już zupełnie nie na poziomie, prawda?*

- On pisze tak, jakby oglądał świat oczami każdego z nas

- kontynuował niewzruszony Coy. - Nie boi się żadnych porównań, a jego przekleństwa są jak poezja... Poza tym patrzy na wszystko z cholernie wielu punktów widzenia. W dodatku Albert Mitchell doskonale go przetłumaczył...

- Nie rozumiem cię, Peter - ożywił się Pierce. - Przecież

o tym wszystkim możesz sobie przeczytać w każdym liczącym się tygodniku literackim. Za każdym razem tak samo, tylko trochę inaczej. Gdyby ktoś zestawiał te wszystkie recenzje, te slogany wymyślane przez nas dla szmalu, wtedy okazałoby się, że od lat jest to ten sam bełkot...

Mikesz rozbudził się. Rozejrzał się po pubie, zmrużył oczy, jakby chciał przez kłęby dymu dostrzec znajomych, po czym opadł luźno na oparcie krzesła. Jego broda oparła się o piersi. Zaczął prawie szeptem:

- I masz rację, i jej nie masz... Interes musi się kręcić. Wiadomo, że dobra literatura powstaje rzadko. My jesteśmy od tego, żeby wmówić ludziom, że powstaje prawie codziennie... Biznes, biznes jest odpowiedzią na twoje wątpliwości, Richardzie. A poza tym ja lubię czytać książki...

- Wspaniale jest to, że facet nie ma żadnych wątpliwości...

- powiedział na wpół do siebie Coy.

- Grafomani też nie mają - rzucił cierpko Pierce. - Poza tym kto będzie czytał jakiegoś Polaka? Zwariowałaś? Jak go sprzedać? Napisać na okładce, że na śniadanie posuwa kurę, którą potem zjada na obiad? *Ależ to niesmaczne!* Przecież taki gość kojarzy się z jakimś pieprzonym prowincjonalnym zadupiem. Człowieku, ty chyba straciłeś wyczucie sytuacji...

- Powiedziałaś, że facet na śniadanie bzyka kurę, którą potem zjada na obiad? - Głos Petera Coya stracił pijacką miękkość i znów był głęboki i zdecydowany. - Jesteś rzeczywiście świetny, Pierce... Wymyśl coś jeszcze w tym guście. Ludzie to kupią. Na poważnie...

Henry Mikesz zamówił palcami kolejną kolejkę piwa. Kelner

uśmiechnął się i dał znak, że w ciągu trzydziestu sekund piwo znajdzie się na stoliku. Tylko wybrani mogli liczyć na takie przywileje. Mikesz i Coy znali właściciela jeszcze ze szkoły. Przed trzydziestu paru laty, zaraz po otwarciu „The Bells”, byli tutaj pierwszymi gośćmi. Ich zdjęcie wisiało na ścianie na honorowym miejscu.

- Dobra - zaśmiał się podniecony Pierce. - Może ty rzeczywiście wiesz, co robisz... Taki brak smaku może się spodobać.

A gdybyśmy napisali, że jest dzieckiem polskiej hrabiny zgwałconej przez rosyjskiego niedźwiedzia? *Ten brak dobrego smaku wynika z tematu. Wszyscy wiemy, że nonsensy szybko się nudzą.*

Mikesz i Coy wymienili tylko zamglone spojrzenia. Pierce rozgrzewał się:

- Wiem, wy, pieprzone pedały, wiem, o co wam chodzi! Chcecie go sprzedać w odwrotnym kierunku... Słuchajcie, możemy napisać, że facet je tylko kartofle i pije szampana. Od urodzenia. Sulikowski... Szampański kartofel... Co wy na to?

- W Polsce? Szampana? Wegetarianin? Chyba przesadziłeś

- sceptycznie stwierdził Mikesz. *Co za przerażająca skrajność! I złośliwość losu! Czyżby ten, jak mu tam... kraj rzeczywiście był aż tak skundlony? A swoją drogą widok prawie czterdziestu milionów ludzi merdających wesóło ogonkami jest na swój sposób piękny.*

- Czyżby? - zreflektował się Pierce. - Napiszemy, że je wyłącznie kury i pije wodę z jakiejś polskiej rzeki... No, jaka tam jest rzeka? Czy tam w ogóle jest jakaś pieprzona rzeka?

Mina Coya musiała wyglądać nieciekawie, gdyż Pierce szybko zaczął mówić dalej:

- Mniejsza o nazwę. Znajdziemy w słowniku. Dobra... Syn zgwałconej przez niedźwiedzia hrabiny, je tylko kury, które osobiście rano wydupczył, i popija wodą z ich głównej rzeki... *Jaki czytelnik zechce sprawdzić, co kryje się w mózgu takiego życiorysu? Trudne pytanie. Chodzi tu przecież o milion dolarów dla Karola Sulikowskiego. Poza tym ludzie kochają cudzą schizofrenię, ludzie lubią się na nią patrzeć... Teraz coś o zainteresowaniach. Powiedzmy, że z pasją fotografuje łydki*

kobiet w wieku dwudziestu lat. Fotografuje tylko te, które urodziły się w październiku... Na cześć rewolucji październikowej. No, jak wam się to podoba?

- Niezłe - pochwalił z lekkim bełkotem Coy. - Kontynuuj... Niezłe...

- Mam. - Pierce aż podskoczył na krześle. - Poza pisarstwem facet ma zainteresowania naukowe. Opracowuje audiowizualny katalog pierdnieć. *No, nareszcie! Drgnęło! Ludzie w Polsce nie muszą się wstydzić. Dzięki takiemu brakowi powagi*

Marquez, Bułhakow i Mann staną się w świecie jeszcze więksi. Tylko co z takimi wielkimi facetami robić? Powiedzmy, że w jego taśmotece znajdują się już nagrania kilkuset rodzajów pierdnieć. W ten sposób ustala związki pomiędzy jakością zarcia a sposobem pierdzenia. Gość nie rozstaje się z dyktafonem... Genialne, co?

- Pytanie, czy on się na to zgodzi? - Mikesz wyraził wątpliwość, wstając z trudem od stolika.

- Dla miliona dolarów można chyba mieć nowy image, prawda? - dodał bez przekonania Coy. *I to ma być literatura? Tfu!*

Wszyscy trzej opuścili pub i odjechali wezwanymi specjalnie dla nich taksówkami. Dochodziła godzina pierwsza w nocy. *Ciekawe, w jaki sposób potraktuje ten portret sam zainteresowany? Czy zechce się sprzedać?*

*

Park w środku miasta jest zawsze martwy. Zielone drzewa, zadbane alejki, ławki i place zabaw zachowują się jak poszczyty pies. Człowiek nie ma szans. Kiedy się pojawia, kiedy chce uścisnąć tę naturalną grabę, dostaje w dziób sztucznym, ludowym spacerem. Przygięty liczbą wędrowników, natychmiast ustawia się w kącie i czeka na swoją kolejkę. Park ludzi podobnych, park zakochanych i pobitych, park obojętności i napromieniowanych piaskownic.

Jan Bykowski znalazł się w parku przez pomyłkę. Uciekał przed własnym przerażeniem. Pierwsze nadeszło wcześniej. Miał trzy lata i zobaczył bliźniego. *Teraz powinno się coś wydarzyć.* Matka wyszła do sklepu, rodzeństwo udawało, że się uczy, lub

siedziało w poprawczaku. Jan otworzył sobie drzwi i odważnie wyszedł na korytarz przypominający klozet. W samotności dostrzegł to, czego nie widział przy matce. Podłoga śmierdziała, ziejąc wokoło wilgotną butwą, ściany od dawna już nie mówiły, a fragment wybitego okna kaleczył przeciąg i nieprzyjemnie popiardywał. Jan ze strachu aż siknął. *To jeszcze nie było to wydarzenie.*

Na podwórku zobaczył niepotrzebne, pospolite ludzkie ryje. Nabrzmiałe, brudne i głupie. Chwiały się i bredziły bez sensu. Znów smród. Bylejakość i brak prawa do życia. Jan nie znał ojca, nie znał wódki, nie rozumiał brudu. Matka dbała, walczyła z każdym centymetrem biedy. Na podwórku było inaczej. Ludzka rzygowina taplała się na własne życzenie. Jak to możliwe? Oczy dziecka zamykały się i otwierały. Jego mózg otrzymał impuls: wstrętne, wstrętne, wstrętne, be, be, be... W ciągu kilkunastu sekund dowiedział się prawdy o prawie do życia. Kiedy sponiewierał go potok przekleństw i zakrwawiona, pijana morda runęła na bruk, przerażony wybiegł na ulicę. Pędził przed siebie i nie rozumiał. Łykał powietrze i szukał w głowie misia. Małego, puchatego, z plamką po marchewce na brzuchu. Ładnego, małego misia. Uśmiechniętego, dobrego, przyciągającego spojrzenie.

W parku stanął. *Może teraz się wydarzy?* Był zbyt mały, żeby zauważyć swoje zasikane spodnie. Mały księżę zagubiony wśród tysięcy oczu. Był głodny i przestraszony. Nie znał swojego adresu i swojego nazwiska. Pod wielkim drzewem zapłakał. *Chyba coś się wydarzy...* Wtedy pojawiły się twarze. Inne. A właściwie jedna. Kobieta była zasuszona i stara. *No, jesteście już blisko. Jednak się wydarzy.* Pięknie pachniała i miała ładne ubranie. Jan zapamiętał jej paznokcie. Obcięte i zgrabne. Ładne. Zapamiętał głos i cierpliwość. Mówiła, mówiła, mówiła... Słowa: Nie bój się, nie bój się... Usiedli na ławce. Wzięła go za rękę i uważnie obejrzała dłonie. *To może się wydarzyć w każdej chwili.* Kiedy podniosła spojrzenie, zrozumiał, że coś się stało. Nie odezwała się więcej. Nie wiedział, w jaki sposób znalazła jego dom i matkę. Na progu mieszkania odwróciła się powoli, jakby z wysiłkiem, i

powiedziała:

- Wiedziałam, że go spotkam. Wolałabym nie. Jeszcze nie teraz. Przed tym jednak nie można uciec. On mnie po prostu znalazł... Do widzenia, mały. Tutaj już się nie zobaczymy.

Matka małego Jana nic z tego nie zrozumiała. Była tylko wdzięczna i szczęśliwa. Stara, elegancka kobieta wyszła na ulicę i obejrzała się za siebie. W oknie na parapecie siedział Jan Bykowski. *Teraz to się wydarzy!* Dachówka, która zsunęła się z dachu, trafiła kobietę dokładnie nad brwiami. Wbiła się i znieruchomiała. Przypominała czerwony język Kaczora Donalda albo daszek nad drzwiami romantycznej altanki. Czerwone języki krwi upodabniały się do gałęzi pnączy. *To właśnie tak miało wyglądać.* Jan Bykowski głaskał swojego misia i obojętnie patrzył na tłum pod bramą. Sensacja! Coś niesamowitego! Nie, to przecież niemożliwe! Jan nie ulegał zdziwieniu, ulegał losowi. Taki był. Widział nadjeżdżający trolejbus i wiedział o niebieskim landroverze z tyłu. *Niezwykły lot czerwonej dachówki sprawił, że świat zatrzymał się pod zatechłą bramą na jakieś trzy minuty.* Trolejbus zwolnił. Jan obserwował podskakującego na tyłach zbiegowiska młodzieńca. Własnego brata. Edka. *Świat przecież nie może tak długo stać!* Landrover wyskoczył spoza trolejbusu i nadał Edka jak podmuch firanki. Jan Bykowski nie mógł nic zrobić. Całował pyszczek swojego misia i słuchał przeraźliwego krzyku z ulicy. Miał trzy lata i nie potrafił cofnąć taśmy. *Coś takiego nigdy nie mogło się wydarzyć. Świat stanął w miejscu? Na trzy minuty? Czy to prawda?*

*

Gdzieś poza normalnym czasem, poza ubitymi traktami historii pojawił się Wędrowiec. Rozciągnięty ponad wszystkim, zamknięty w tysiącach światów i rozrywany przez niedoskonałość, zderzał się z własnym przeznaczeniem. Z milionów istnień właśnie Wędrowiec otrzymał szansę tej jednej, jedynej rozmowy. Bez słów, bez prośb, bez wyboru. Jego umysł znalazł się w tej niepojętej, wąskiej szczelinie, która kryje ostateczne światło. Bez zdolności, bez modlitw, bez dobra i zła. W pewnej

chwili, krótszej niż mrugnięcie oka, skrzyżowały się nieskończone możliwości i on właśnie znalazł się w środku. Wędrowiec, Robert Blumstein, dziecko dwudziestego wieku, zatonął na zawsze.

Pierwsze zdziwienie. Adam był szczęśliwy. Wszystko wokół wołało. Nie wyobrażał sobie, że może być źle. To po prostu nie mieściło się w jego głowie. Czuł i myślał wyłącznie przyjemnie. Nie wiedział, że został stworzony na obraz i podobieństwo Boga. Nie przewidywał, ponieważ nie mieściło się to w duchu szczęścia. Znał tylko jedną stronę Boga, mimo podobieństwa. Bóg dał mu więcej, niż sam znosił, dał mu przywilej korzystania wyłącznie z przyjemności. W taki sam sposób została obdarowana Ewa. Bóg chciał być wobec nich uczciwy. Granicę podobieństwa przesunął tak blisko, jak tylko to było możliwe. Pokazał im drzewo i dał wolną wolę. Przestrzegł i poprosił o rozsądek. Był szczodry - nie stworzył idioty.

Wędrowiec Blumstein wiedział. Pograżony w niespotykanym jasnowidzeniu rozumiał Adama i dostrzegał kobietę. Boskie tchnienie życia było kompletne. Zbyt wiele kryło zakamarków, aby pierwszy człowiek mógł je od razu ogarnąć. Dar był doskonały. Niósł w sobie ciekawość, radość, kontemplację i zaufanie. Nie przyniósł wówczas znudzenia, smutku, bólu i podejrzliwości. One przyszły same. Szczęście nie było płaskie i szukało zwierciadła. Blumstein znał i podziwiał węża. Obleśnego w każdej eksplozji wyobraźni, czającego się w naturze prawa, jakie ofiarował Bóg. ON, w nieskończoność genialny, zapomniał może o własnym tchnieniu, zapomniał o miażdżącej sile uczciwości stworzenia. Blumstein przenikał każdą cząstkę ogrodu, pierwszych ludzi i pierwszych zwierząt. Był w otchłani, jaką zafundował mu ten pierwszy raz. Ewa została rozerwana przez słowo. Rzucona w szczęście nie rozumiała śmierci. A Bóg ostrzegał przed śmiercią. Co jednak znaczy śmierć? Ewę stworzono i nakazano wierzyć. Zbyt wiele dano, zbyt doskonale, aby położyć się na trawie i oddawać wyłącznie miłości. Słowo, które było na początku, zaczęło naprawdę znaczyć. Blumstein był jednym z ostatnich, dlatego rozumiał. Był również jednorazowym przypadkiem,

który życie posłało w sobie tylko wiadomą czeluść.

Blumstein z irytacją utonął w świecie pierwszego symbolu, w świecie jabłka. Człowiek skazany na umowność dowiedział się o istnieniu zła, wbijając zęby w jabłko. Farsa? Nie spodobała się Bogu jego ciekawość? *Na obraz i podobieństwo, na obraz i podobieństwo...* Czy Bóg wiedział, że Robert Blumstein będzie się wszystkiemu przyglądał? Czy przewidział już wtedy, że za blisko trzysta tysięcy lat (a może wcześniej lub później?) duch nieograniczonego Wędrowca będzie świadkiem? Nawet jeżeli przewidział, nie dał nic po sobie poznać. *Mitochondria... Na Boga! Czy to znowu błąd nauki?* Zostawił Blumsteina w niepojętym zdziwieniu. Zgodził się na irytację. Zniósł bunt. Poznanie zła wyrzuciło pierwszych ludzi na margines. Bóg nie pozwolił im zjeść drugiego jabłka, nie pozwolił żyć wiecznie. Zabawa dopiero się zaczęła. Blumstein poszedł dalej. Może Bóg naprawdę się zdenerwował? Może wieczność nie byłaby dla człowieka nagrodą? *Na obraz i podobieństwo, na obraz i podobieństwo...* Gdzieś w niepojętej zasadzie zapisany został casus gry. Z ciekawością i nudą, radością i smutkiem, kontemplacją i bólem, zaufaniem i podejrzliwością. Bezlitosny i całkowity smak życia. Bez asekuracji.

Kto mógł wiedzieć, że Blumstein, człowiek wpatrzony bezzwrotnie w przestrzeń, opowiada prawdziwą historię ludzkich zdziwień? Kto przypuszczał, że odcięty mózg może cokolwiek widzieć? I dlaczego właśnie on został zaproszony?

*

Jako Francuz biegnę krokiem tego jurnego kurdupła, Napoleona. Jestem w szampańskim bąbelku, romansuję z własnym językiem i podjadam żabki. W każdej chwili mogę się zamienić w muszkietera i wytatuować lilię na obwisłym ze starości cycu Europy. Ba, uwielbiam robić „spierdalaj”. To takie romantyczne i przedłuża życie. Kiedy wyprostowuję frak, zawijam szyszkę w jedwabny szalik i wymachuję wytrawnym de Gaullem, przyszłość nabiera rumieńców. Byłe tylko nie polechtał świata jakiś Anglik. Ten kompleks jest całkowicie nie na miejscu! *Czyżby?* Chce mi się wiać, chce mi się wypiąć na te rumiane

balzakowskie uwiedzenia, na kanałowego flaka Wiktora Hugo, na napalone, różowe jęczyczki paryskich kolaborantek... Lubie podglądać gorset, który salonowcy nazywają ukłonem. Przysysam się do tego ruchu mimowolnie i zaczynam kicać, robić nóżkami fik-fik. Kiedy już się obleję najmocniejszymi perfumami świata i rozplaczę nad parszywym losem cienkiego artysty, walę łbem w ścianę i wyrzucam sobie tchórzostwo moich braci. Ja, może nawet Napoleon, a może ten fartowny królik Ludwik XIV, ja, wystarczająco ciasna czapka żandarma i utyłana we krwi rewolucyjna podpaska. Gdyby nie pumbers malowany przez wyobraźnię w tysiącu odmian, nigdy nie przebiłbym się moją Eifflą do słońca. Osikany, ale z zadartym nochem, wpatruję się w granicę pamięci. Cieszę się, że zielony, cudzoziemski szlam strzela mi pod mundurem i zarabia forszę. W końcu jestem fajnym facetem z przeszłością. Hej, wy, słodkie francuskie rogaliki, jakże mi dobrze nosić ciężę po mojej schizofrenii. Mówię do ciebie głosem wina. Urznij się! Urznij się, subtelny obywatelu. Jako Francuz pociągam nogami, ponieważ stale noszę jakiś czopek. Kobiety, które mnie wołają, liczą na więcej, zatem często wracam i zmieniam koszulę. Wpatrzony w podziurawioną wieżę, opowiadam postronnym, że nie jestem passé. Wyglądam i pachnę pięknie, a moje usta mają kształt zmysłowych perfum... No, nareszcie!

*

Mężczyzna sztywno wpatrywał się w encyklopedie i rytmicznie kiwał głową. Na uszach miał walkmana, a w dłoni długopis. Rozpędzał się. Niczego nie słuchał. Udawał. Pogrążał się w nieprzyzwoitości, która fascynowała go jak drut kolczasty owinięty wokół jąder. Wulgarny i nienasycony kształt jego sztuki podmywał mu „minesotę”, dźgał poczucie dobrego smaku i starannego wychowania bliźnich. Nie, nie, to na pewno nie dla was. Niewinne dzieci i układne babcie! Uciekajcie! Nie czytajcie tego draństwa! Sztywni, rozmiłowani w wartościach, omijajcie te prostackie wątki. Mężczyzna czuł się przegrany, dlatego skierował zło przeciw złu, dlatego w imieniu dobra puścił cholernie śmierdzącego kada. Co może was obchodzić samotna walka z

plugastwem? Kloaka przeciwko kloace? Pod zaciśniętymi powiekami puchnie właśnie nienawiść i otwiera się szambo, zaczynają rządzić śmierdzące kasztany...

Długopis tkwił w zeszytcie, a mężczyzna odrywał wzrok od encyklopedii. Miał dość. Nie chciał patrzeć na swoje obrzydliwe dzieło. Kto to przeczyta? Komu to służy? Przyczynek do życia chuja? Po co? Dla tych kilku świrów z głowami na odstrzał? Mężczyzna opuszczał bibliotekę w poczuciu niespełnionej nienawiści. Obawiał się, że nie wyraził tego zbyt jasno, że nikogo nie zachwyci. Co za kanał?! Kiedy naciskał na klamkę, przez chwilę był miły. Zapomniał o swojej książce, powstrzymując z trudem szept pęcherza. Ładował akumulatory, aby rano znów przypierdolić. Był skończony i chciał o tym opowiedzieć. Normalnym i fajnym ludziom. Tym, którzy go nie lubili, ponieważ nad jego głową zawisa wyjątkowo uparta, okrutna nienormalność. Nawet po zamknięciu drzwi niewiele miał do gadania. COS wdeptało go głęboko. Jak to nieelegancko powiedziano: po same jaja!

*

Benedykt skończył wieczorne liczenie trawy i usiadł przy komputerze. Położył dłonie na klawiaturze i jęknął. Miał przed sobą ucztę, o której tylko śnili do niedawna najwięksi twórcy świata. Zaczynał realizować film, w którym główne role obsadzał, jak i kim chciał. Programował ruch, przestrzeń i grymasy. Wpływał na słowa i intonacje. Wyczarowywał kolory i ostrości według wzorów zapamiętanych przez taśmę. Miał wszystko. Każdy sukces, każdą klęskę, każde zauroczenie. Komputer to zjadł i przetrawił. Mógł więcej niż jakikolwiek reżyser. Potrzebował tylko rozkazów i właśnie dlatego tego wieczoru Benedykt był na jego usługach. Palce same odnalazły drżące z pożądania klawisze klawiatury i popłynęły w zapomnienie....„Sharon oblizwała usta i wbiła zęby w banana. Jack wynurzył się z basenu i położył rękę na jej stopie. Słońce rozedrgało powietrze. Ręka Jacka stopniowo zaczęła łączyć się ze stopą Sharon. Skóra dwóch ciał wgrzyzła się w siebie, a żyły zrosły w ciągu kilku sekund. Sharon ze zdziwieniem zrobiła

krok w stronę domu. Jack zmuszony był wyskoczyć z basenu i na czworaka podążyć za nią. Nagle jego ciało zrobiło się przezroczyste, a ubranie wyparowało. Przez szklaną skórę widać było równie przezroczyste narządy. Sharon odwróciła się tylko raz. Pozostał jej niesmak. Zapamiętała fragmenty sałatki w żołądku, pulsującą w sercu krew i wypełnioną po brzegi kiszkę stolcową. Zatrzymała się przed drzwiami na taras i odwróciła w stronę kamerdynera, Patricka. Otworzyła usta i wypuściła długiego pawia. W trakcie lotu paw formował się. Owinął się wokół szyi Patricka, ukształtował w twarz Claudii i w namiętym pocałunku wpił się w usta mężczyzny. Po chwili rozwinął się jak łąka i spadł na ogród, w którym rosła zielona trawa. Pętla zacisnęła się i skoszona trawa zaległa. Chwilę potem paw Sharon przeleciał ponad domem, formując się w trakcie lotu w wielkiego szerszenia. Szerszeń z twarzą Johna wygiął się w szaleńczym ataku i wbił żądło w rurę wydechową stutonowej ciężarówki. John-szerszeń kopulował żądłem tak długo i zaciekle, aż ciężarówka zaczęła gwałtownie maleć, po czym jako kilkumilimetrowy okruch wpadła do kanalizacji...”

Benedykt dotknął komputerowego monitora. Jego palce prawie musnęły włosy Sharon. Dziewczyna odwróciła głowę i spojrzała na Benedykta. „Chciałeś mi coś zaproponować?”

- zapytała, patrząc mu prosto w twarz. Benedykt skwapliwie przytaknął. Sharon spuściła oczy, a przez jej wargi przemknęła zaduma. „To niemożliwe. Nawet, gdybym cię kochała...” - odezwała się cicho. - Ale ja ciebie kocham! - krzyknął prawie ze złością Benedykt. „Dobrze. Pocałuj mnie” - zgodziła się bez entuzjazmu. - „Wszystkiego i tak nie poczujesz.” Odwróciła w jego stronę twarz i nadstawiła usta. Nie zamknęła oczu. Patrzyła, jak Benedykt pochylił się w jej stronę, jak końcami palców dotyka klawiszy komputera, jak walczy o autentyczność pocałunku... Temperatura! Temperatura! Jaką temperaturę powinien mieć pocałunek? Benedykt nie wiedział. Spieszył się i zgadywał. Kiedy dotknął ustami szyby monitora, sparzył się i krzyknął. Sharon spokojnie odsunęła głowę. Znow patrzyła na niego z troską. „Jesteś taki miły... To będzie trudne, ale możemy spróbować” - szepnęła obiecująco.

*

Jak długo można milczeć? Jak długo można patrzeć na wyciągnięcie ręki i walczyć z własną młodością? Czy udawanie, że wszystko toczy się tak, jak powinno, cokolwiek zmienia? Jan Bykowski, wysoki i niespotykane chudy młodzieniec po raz ostatni patrzył na piękny pałacowy budynek, w którym znajdowało się liceum. W rękach trzymał świadectwo maturalne. Najlepsze z możliwych. On, syn alkoholika i biedaczki. On, dziecko slumsów. On, brat przestępców kryminalnych i hotelowych dziwek. On, wychowanek domów dziecka. Nie palił, nie pił, nie narkotyzował się. Czasami dostawał łomot od swoich niepohamowanych kolegów. Czasami. Dawniej. Był inny i próbowali go zgasić. Przeszkadzało im jego milczenie, jego zainteresowania i lektury. Przeszkadzało im uparte poszukiwanie odpowiedzi na pytania, które w młodym wieku gównie znaczą. Bykowski wytrzymał. Nawet papier z gazety zapalony w czasie snu pomiędzy jego palcami nóg. Rower! O mało nie oszalał, tak kręcił...

Potem pojawił się w sali. Z wężem. Wstrętnym. Zamknął drzwi i schował klucz. Okna miały kraty. Trzydziestu prymitywnych młodych byczków znalazło się w sieci. Kilkanaście minut przed pierwszą w nocy Bykowski zapalił światło i obudził kolegów. Stał na środku sali i wyjął spod piżamy słoik z wężem. Kiedy wypuścił go na podłogę, kiedy rozdwojony język zaczął nerwowo pracować, a śliskie ruchy zbliżyły do pierwszego łóżka, wówczas strach najodważniejszym wyrwał jaja. Bykowski patrzył, jak uciekają, jak próbują się wydostać, jak trzęsą się z przerażenia. Nie śmiał się, nie komentował. Cekał. Wąż gdzieś zniknął, wsunął się w jakąś szparę w podłodze. Wtedy Bykowski przemówił. - Następnym razem wpuszczę wam skorpiona w gardło - powiedział cienkim, chłopięcym głosem. I następnego razu nie było. Była samotność.

Teraz, w pełnym słońcu nadchodzącego lata, Jan Bykowski przyglądał się leniwie przechodzącym ludziom i czekał, kiedy to nastąpi. Dwie minuty później czerwony lamborgini z otwartym dachem zatrzymał się kilka metrów obok. Wjechał na chodnik i

stał. W samochodzie siedziała piękność w stylu wymarzonej aktorki i podstarzały przystojniak a la Humphrey Bogart. Bykowski poczuł powiew dobrej wody kolońskiej, opalenizny z egzotycznych wysp, tytoniu najlepszych papierosów i tego czegoś, co nazywa się pewnością siebie i niezależność. Poczul forszę. Mężczyzna pochylił się i zaczął dziewczynę całować. To dopiero był pocałunek! Bykowski stał z boku i patrzył. Mimo że przeczuwał wszystko, jego członek naprężył się i domagał spełnienia. Facet skończył całowanie i dziewczyna wysiadła z samochodu. Nie każda tak potrafi wysiadać, przemknęło przez głowę Bykowskiemu. Obcisła, krótka sukienka, niezbyt wysokie szpilki i fala skręconych niesforne złotych włosów przyprawiły o zawrót głowy. Czy coś takiego było w ogóle możliwe? - skręcał się Bykowski. Czy wszystkie dziewczyny nie mogłyby być takie? Najgorsze było to, że wiedział. Prawie. Lamborgini odjechał z piskiem opon. Dziewczyna nawet na niego nie spojrzała. Nie liczył się. Szła chodnikiem i kołysała tą swoją wymarzoną dupeńką, a faceci i kobitki patrzyli za nią w oniemiaeniu. Bykowski szedł za nią, aż w końcu go wyczuła. Obejrzała się i dostrzegł w jej spojrzeniu strach. Wtedy podszedł i spojrzal jej głęboko w oczy. Wiedział, że przez najbliższe sekundy będzie dla niej zwykłym wariatem.

- Chciałbym pani coś zaproponować... - zaczął najdelikatniej, jak mógł. - Nazywam się Jan Bykowski i muszę panią ostrzec...

- Nie rozumiem. - Dziewczyna nerwowo zaczęła się rozglądać wokoło. - Czego pan ode mnie chce?

- To proste - odparł Bykowski. - Pani grozi wielkie niebezpieczeństwo. Dzisiaj właśnie krzyżują się nasze linie... Wiem, że to brzmi dziwnie, ale to prawda. Pani i moje życie dzisiaj się skrzyżowały. Nie mamy na to wpływu...

- Przepraszam pana, ale ja się śpieszę...

- Jeżeli pani powiem, że znam przyszłość, to na pewno mi pani nie uwierzy, prawda? Już teraz uważa mnie pani za wariata... Na tym właśnie polega trudność. Pani musi zrobić coś, co złamie wszystkie pani uczucia, wszystkie plany, pragnienia, umówione spotkania...

- Nie wiem, o czym pan mówi - dziewczyna próbowała się jakoś

oddalić. - Nie mam czasu...

- Jeżeli za pół godziny wsiądzie pani do czerwonego lam-borgini, stanie się coś strasznego...

- Pan mnie straszy? - zdenerwowała się lekko. - Przecież nie panu nie zrobiłam. Nie znam nawet...

- Dziewczyno - przerwał zimno Bykowski. - Ja znam twoją przyszłość. Za niecałą godzinę przestaniesz żyć. Chcę cię ocalić. Jeżeli pomożesz mi złamać przeznaczenie, będziemy szczęśliwi. Czy to rozumiesz?

- Przecież ja pana nigdy nie widziałam. - Próbowała go zagadać i zbliżyć się do najbliższego sklepu.

- Kłopot polega na tym, że ty nigdy nie wyobrażałaś sobie, że jakiś biedny, nieefektowny i nieznany facet może się przy tobie znaleźć - wyjaśnił najspokojniej, jak potrafił, Bykowski. Spojrzał przy tym na zegarek. - To prawda, że nie mam dużej forsy, jestem nikim i wyglądam raczej prowincjonalnie. To jednak nic nie znaczy. Rozumiesz? Ja wiem, co się wydarzy. Próbuję cię uratować...

Dziewczyna odepchnęła go nagle od siebie i krzyknęła:

- Nie chcę, żebyś mnie ratował! Słyszysz? Nie chcę!

Nawet najłżejszym grymasem Bukowski nie zdradził, co poczuł. Dziewczyna zaczęła biec. Oglądała się za siebie, jakby oczekiwała pościgu. *Ludzie kochają własną nieufność i gdzieś mają obce gesty. Ludzie po prostu nie chcą się lubić. Przeszkadzają sobie i drażnią.* Bukowski podniósł dłonie do ust i zawołał za nią:

- Mogę to udowodnić! Będę tu czekał! Mogę to udowodnić!

Nie zatrzymała się, biegła dalej. Taka piękna i pociągająca.

Dziewczyna do tysiący zapłodnień, do nie kończących się anty-koncepcji. Taka, która powinna jak najdłużej dawać i brać. Bykowski miał wrażenie, że ktoś chwycił go w tym momencie za członek i wyjął jak ścierkę. *Nawet gdybyś przysięgał na niewinność czarnych zakonnicy i tak nie zatrzymasz losu! Co za frajer! Tyle dobra się zmarnowało...*

Bykowski stał już od dwudziestu minut. Na samym środku chodnika, ze świadectwem maturalnym w dłoni. Niektórzy oglądali się, żeby na niego popatrzeć. Swir, stwierdzali i szli

dalej. Jeszcze jeden. Taki pojeb, co to stoi nad koszem ze śmieciami, pluje pod nogi, po czym nagle wyrzuca kosz w górę, rozsypuje śmiecie i rusza agresywnym krokiem przed siebie. Czasami jeszcze do siebie krzyczy...

Tak, zobaczył go. Sunął powoli w jego stronę, wjechał na chodnik i zatrzymał się. Bykowski poczuł jego zderzak na spodniach. Facet miał jeszcze fantazję. Dziewczyna siedziała obok i patrzyła na niego odważnie. Śmieszna, mała manifestacja siły, pomyślał Bykowski. Mężczyzna wysiadł z samochodu i podszedł.

- Straszysz moją dziewczynę...

- Nie uderz mnie - powiedział spokojnie Bykowski. - Wiem, że chcesz mnie uderzyć i szybko odjechać. To nie ma sensu. Ty jesteś nieważny. Twój czas już się kończy. Kochasz ją?

Mężczyzna przyglądał się Bykowskiemu zza szkieł ciemnych okularów i wahał się. Nie rozumiał, dlatego czekał. Gość go zaintrygował. Spokojem. Takiego nie chciało się walić w dziób. Z takim chciało się pogadać.

- Ile mam czasu? - zapytał jakby wbrew sobie.

Bykowski po raz pierwszy spojrział na niego. Kiedy ich oczy się spotkały, wiadomo było, że nie mogą się ani polubić, ani znienawidzić. Obojętność, nuda, chwilowa wymiana zdań. Szkoda czasu.

- Mało - odparł Bykowski. - Ona ma wybór. Pan nie ma... Proszę dać jej szansę.

- Jaką? - zapytał niemalże odruchowo mężczyzna.

- Niech wejdzie do tego sklepu i kupi sukienkę - rzucił pośpiesznie Bykowski.

- Do tego? - Mężczyzna krytycznie obrzucił wzrokiem brudną witrynę z kiczowatymi ubraniami. - Przecież to szajs...

- Będzie taniej... - zimno odparł Bykowski. Znów spojrział na zegarek. - Czas się kończy. Muszę iść.

Ruszył. Palila go chęć pociągnięcia dziewczyny za sobą. Wiedział jednak, że nie może tego zrobić. To zburzyłoby cały porządek. W niewielkim stopniu, ale jednak. Po przejściu czterdziestu metrów obejrzał się i stanął. Wtedy ona wyszła z samochodu, trzasnęła drzwiczkami i energicznym, nerwowym

krokiem weszła do sklepika. Facet z lamborgini odwrócił głowę i pomachał Bykowskiemu z daleka. *Nie da się ukryć, że nawet największy dureń może być przesądny. Dzięki Bogu, że coś takiego w ogóle istnieje. Świat bez przesądów byłby kompletnie rozczochrany. Może nawet by nie istniał. Brak atawistycznej wydzieliny, brak reakcji na czającego się w mroku bydlaka oznacza śmierć...*

Mercedes nie zwolnił. Po prostu powoli jechał. Panoramiczna szyba zaledwie się uchyliła i ciemność wypłynęła w ciało mężczyzny w lamborgini serię z karabinu maszynowego. Tysiąc pocisków na minutę. Ile na dziesięć sekund? Nie za mało? Mercedes odjechał, a czerwony samochód stracił wygląd. Jatka i trup. Dziewczyna wybiegła ze sklepu i zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Tłumek był na miejscu, a jakże. Otoczył, wypytał, zawiadomił. Pokazywała na niego palcem. Kto by jej słuchał? Taki szok. Pomachał w jej stronę ręką ze świadectwem. Był bardzo szczęśliwy. Przeciał przeznaczenie. Zaryzykował i udało się. Teraz wszystko potoczy się inaczej. Ona żyła. *Na temat tych spraw powstawały setki książek. Gadanie nie ma końca. Cuda i jasnowidzenia zapętłają się do milionów niewiadomych. Stare kobiety, starzy dziadkowie, tuziemcy i obcokrajowcy, czarownicy i Cyganki, gazety i książki... Co za menażeria! Hej, ty tam! Czy wiesz, że za jakieś trzydzieści dwie minuty poderzną ci gardło? Albo ty, tak ty, czarna i bez biustonozka... Za osiem miesięcy i cztery dni urodzi ci się potworek, owoc kazirodczego stosunku. No, proszę, a tamten mały... Za dwadzieścia godzin otrzyma coś po ojcu, którego nawet się nie spodziewał. No problem. Ojciec przypomniał go sobie, zanim wykorkował na AIDS. Porządny gość. Przylepił dziecku do czoła kartę kredytową o wyporności trzydziestu milionów dolarów. Przeznaczenie... Regularny stolec miliardów ludzi. Poderzną ci gardło... urodzi ci się potworek... kartę kredytową o wyporności trzydziestu milionów dolarów...*

Co za dzień! Najzdrowsza dupa ocalona. Bykowski po raz pierwszy w życiu uśmiechnął się. Pogroził nawet własnym spodniom. No, no, no...

*

Komunikacja międzyludzka sprawiła, że apetyty urosły. *Teraz pisarz powinien ostro przyładować!* Na ścianie pociągowej toalety zaczerwienione z wysiłku oczy podróżnego odnalazły dowód na istnienie komunikacji międzyludzkiej. Dwie strony ciała dogadały się, dwa zwieracze zakrzuszyły obłądnym śmiechem. Tekst był jak marzenie (*zachowując stylitykę i inne cechy*): „INSTRUKCJA KORZYSTANIA Z UBIKACJI.

(punkt 3) Na muszlę klozetową nie należy wchodzić nogami, lecz siadać jak na krześle, całym ciężarem ciała, tak aby pośladki całkowicie i dokładnie przylegały do deski klozetowej. Tułów powinien być wyprostowany, przy czym punkt ciężkości należy przenieść ze stóp na pośladki, kładąc ręce wzdłuż odpowiednich kolan. Siedzieć należy w taki sposób, ażeby kał wpadał do muszli, a nie na deskę. Jednocześnie należy starać się nie zamoczyć deski moczem, w tym celu należy przytrzymać ręką narząd moczowy kierując go do muszli. (punkt 4) Przy korzystaniu z pisuaru należy podejść do niego jak najbliżej, nawet dotykając go lekko kolanami, pochylić do przodu, wyjąć całkowicie narząd moczowy, lekko nachylić go w dół i oddać mocz aż do ostatniej kropli. Nie należy odchodzić od pisuaru przed zakończeniem oddawania moczu, rozbryzgiwać go po podłodze. W ten sposób podłoga wokół pisuaru będzie sucha.”

Genialne! Po przeczytaniu instrukcji podróżny poczuł się zawstydzony. Nie przylegał do deski, tułów miał zgięty, deskę zmoczył, a narządu nie przytrzymał... *Nie ma wątpliwości, że człowiek ten był obywatelem Europy Wschodniej. Wszystko u takiego obywatela w wielu procentach uzależnione było od procentów, co wylaziło nawet (a może szczególnie?) w tak prozaicznych sytuacjach.* Cichaczem, cichaczem, byle ktoś nie zauważył, podróżny zakradł się do swojego przedziału i upokorzony opadł na siedzenie. Serce wykuwało mu w piersi nagrobek, a ci obcy czytali w jego myślach. Oni wiedzieli, oni dobrze wiedzieli, że nie oddał moczu do ostatniej kropli. No, wylazić! Kto następny? Co za chamstwo? Mieli go w garści i nikt nie chciał być następny. Zamknął oczy, ale to nic nie dało,

mocz nadal był rozbryzgany i został tam. *Niby blaha sprawa, a tyle cierpienia. Nie powinno go obchodzić, że wylał się na podłogę, narznął obok klozetu, a siedzenie podtarł palcem. Wskazującym. Był pijany i nie zauważył. Wolno mu, to wolny kraj...* Ta elegantka z przeciwka wstała w końcu i śpiewając usteczkami tirlitirli, dygnęła nadmiernie pupcią. Ufffff, teraz ona się wkopie, zachwycił się podróżny. Wejdzie tam i sobie poczyta... Drzwi otworzyły się nagle i elegantka wpadła do przedziału. Czerwona na twarzy, z dłonią przy ustach opadła na siedzenie.

- Coś się stało? - zapytała handlarka z oczami jak gęsie jaja. Jej pytanie miało zapach zdrowej wsi.

- Tak, stało się - odparła ogniście elegantka. - Jakaś Świnia zabrudziła ubikację. Wszędzie... Wszystko zrobił obok. *Powiedziała to tak, jakby zajrzała mu w spodnie.*

Co mu tam. Miał ją gdzieś. Nic mu nie udowodnią. *A gdyby tak pojawił się nagle stróż i zdematerializował to kurewskie nasienie, hę? Tego zaprutego hodowcę kału? Gdyby tak zaczął owijać długopis w jego kłak na piersi? Fajny pomysł, co? Podoba się, podoba...* Koła pociągu pracowały w rytmie kultury obyczajów: jeb, sru, pierdut, brzdęk, prrryt... *Czy to w ogóle jest jakiś kraj? Czyj ty jesteś, że podnosisz głowę? Żyjesz tylko dla przyjemności i dla siebie? Kochanie, to piękny pomysł. Daj mi za to w mordę... Jeb, sru, brzdęk, prrryt...*

*

Wieczór w nowojorskiej księgarni przy 8 Ulicy. Killkadziesiąt osób przepychało się do przodu, aby usłyszeć Karola Sulikowskiego. Pisarz z Polski słabo mówił po angielsku, dlatego wydawca zatrudnił tłumacza. *Wszyscy mieli nadzieję, że tłumacz będzie szczery aż do bólu.* Większość ludzi przybyła tu zwabiona intrygującymi recenzjami w gazetach i kolorowych czasopismach. Na wyobraźnię i ciekawość czytelników podziałała również rozmowa z pisarzem nadana na jednym z najpopularniejszych amerykańskich kanałów telewizyjnych. *Oczywiście, to wspaniale, że na miejscu eterycznych pedziów, jeszcze bardziej słodkich feministek i wręcz lukrowanych*

przywódców religijnych sekt, znalazł się Karol Sulikowski, twardy facet z ochwacanej przez historię Polski... Cóż za egzotyczny zwierz, mawiała pewna księżna, widząc kolejne dzieci swojego ogrodnika. Cóż za egzotyczny zwierz...

Do stolika, przy którym siedział Karol Sulikowski, zbliżyła się starsza kobieta z książką w dłoni. Jaka sina skóra, pomyślał w pierwszej chwili pisarz, którego twarz i sylwetka przypominały słabo wyrosniętego chłopca. Ostrzyżona na jeża głowa raz po raz pochylała się, a zadziwiająco smukła ręka rozdawała autografy.

- Słyszałam, że pańska książka czasami przekracza granice dobrego smaku... - odezwała się słabym głosem staruszka. - Czy miał pan w tym jakiś cel?

- Oczywiście - odpowiedział bez zastanowienia Sulikowski.

- Chciałem pokazać świat w jego właściwych kolorach. W tych współczesnych, proszę pani...

Tłumacz skończył przekładać i zawisł oczami na ustach staruszki. Kilka osób w pobliżu przestało się poruszać i z zaintrygowaniem nastawiało uszu. Oczekiwali czegoś skandalicznego, czegoś nieprzewidzianego, czegoś w stylu życiorysu pisarza... *Nie trzeba im się dziwić. Po pracy chcieli się rozluźnić. Najlepiej czymś kosztem. Okaz z Polski doskonale się do tego nadawał.*

- Czy naprawdę musiał pan używać wulgarnych słów i skojarzeń? - naciskała staruszka. - Nie pomyślał pan o młodych ludziach, którzy pańską powieść przeczytają? *Nie mamy wątpliwości, że w cudownych Stanach Zjednoczonych nikt by tak nie powiedział, prawda? Tak można myśleć i mówić tylko w Polsce. Ot, feudalizm intelektualny, ot, naiwność pisarza...*

- Czy ja komuś zagrażam? - zapytał zdziwiony Sulikowski.

- Czy moje wizje nie pokazują świata w ostatnim stadium? Może tak właśnie należy pisać, aby młodzi ludzie zrozumieli nadchodzący kataklizm? Czy nie warto poszukiwać nowych dróg porozumienia?

- Pan daje im zły przykład, obraża również uczucia ludzi wrażliwych i dobrych... - ożywiła się staruszka.

Sulikowski przestał nagle podpisywać książki i z wyrazem

nieokreślonego smutku spojrział w oczy starej kobiety. Tłum czekał na najgorsze. Kilku fotografów przyczało się do zdjęcia swojego życia. No, dawaj, stary, dawaj, zdawały się mówić spojrzenia ludzi. *Wyobraźmy sobie, że staruszka jest opętana przez demona. Wolność to dla niej prawo do zjedzenia szarlotki w gorące, letnie popołudnie. Wyobraźmy sobie, że nauczyła się wybaczać nie swoje krzywdy. Jest tak dobra, że widzi różnicę między esesmanem, który strzela niewinnemu Żydowi w głowę, a między bandytą, który strzela w głowę komukolwiek (może również Żyda, może Niemca, a może Amerykanina) w jakimkolwiek metrze. Teraz.* Czekali na dziki atak Sulikowskiego, na śmierć staruszki zagryzionej przez szalonego pisarza z Polski...

- Chciałbym usłyszeć, w jaki sposób wyobraża sobie pani rozwój kultury? - odezwał się niepokojąco spokojnie pisarz.

- W miejscu? Bez prowokacji? Bez skandali i polemik? Czy świat miałby być stałe jednym obrazem, jedną książką lub jedną i tą samą melodią? Jest pani pewna?

Staruszka nie odezwała się od razu. Podniosła głowę i ogarnęła spojrzeniem księgarnię. Niektórzy, szczególnie młodzi, wydawali się wyraźnie znudzeni tą akademicką wymianą zdań. Agent, Peter Coy, zastrzygł tylko uszami i nie odzywał się. Za to wydawca, Richard Pierce, z zapalem włączył się do rozmowy.

- Nie ma takiej racji, która usprawiedliwiałaby cenzurę

- wyrzucił z siebie, stukając palcem w stolik. - Pan Sulikowski pochodzi z Polski, z kraju, w którym miliony ludzi na własnej skórze odczuło działanie knebla. Co panią dziwi? Przekleństwa? Ordynarność? Pokazuje przecież prawdziwe, bolesne oblicze tego świata, tej ulicy... Pan Sulikowski zaatakował obscenic- ność jej własną bronią, pani...

- Panna... - wtrąciła cicho staruszka. - Panna Willcock... Judy Willcock...

- Nienawidzimy siebie, a mimo to tutaj jesteśmy - kontynuował chłodno Karol Sulikowski. - Każdy z was jest swoim potencjalnym wrogiem. Konkurentem do lepszej pracy, do lepszego wykształcenia, większych pieniędzy i przyjemności życia... Każdego z was inaczej boli głód, nie zrealizowane

ambicje, głupota urzędników czy bezsilność wobec zbrodni. Nawet wobec własnych możliwości. W tym właśnie tkwi atrakcyjność naszych wyborów... Możemy przecież zabijać... Tak, nikt nam nie zabroni. Na przykład teraz... Gdybym panią uderzył tą grubą książką, mogłaby pani umrzeć... *Co za przenikliwość! Ten Sulikowski zrobiłby z nią, co zechce! To pewne.*

- Przypierdol jej, stary! - Z końca księgarni rozległ się donośny głos. Niektórzy odwrócili się i zobaczyli obdartego ćpuna z kartonem pepsi w ręce. Stał przy drzwiach i gmerał brudną ręką w gęstych, splątanych jak żywopłot włosach. - Nie znoszę takich starych dup...

Sulikowski wstał. *Tak jest. Człowiek, który wstaje, powinien mieć coś do powiedzenia. No i wyraz twarzy. Amerykanki muszą go teraz zobaczyć! Stop! Korekta! Amerykanki i Amerykanie. Po równo. Jak w tej nowomodnej Biblii, która do nicości kastruje treść zacieraniem różnic.* Wyszedł powoli zza stolika i skierował się w stronę drzwi. Peter Coy nie miał już wątpliwości, że spotkanie z czytelnikami jest udane. Napięcie rosło, a jego klient mógł lada chwila wybuchnąć. Zanim Sulikowski zbliżył się do ćpuna, pojawili się dwaj następni. Wyglądali podobnie. Trzy sekundy zajęło im wyrwanie dwóch torebek stojącym najbliżej drzwi kobietom. Kiedy w pośpiechu znikali za drzwiami, ćpun zaczął wycofywać się z nożem w ręce.

- Jakież problemy? - Głos włóczęgi był drwiący i wyzywający.

Wszystko stracone, pomyślał spanikowany agent. Olbrzymie pieniądze zainwestowane w polskiego pisarza pójdą na marne. Życiorys Sulikowskiego nie przewidywał aż takiej kompromitacji. Facet, który bzyka kurę przed jej spożyciem, nie mógł być mięczakiem. Czytelnicy powinni o nim myśleć z podziwem, uwielbiać jak „brudnego Harry’ego”.

Sulikowski stanął w drzwiach księgarni, wyszarpnął spod marynarki rewolwer i bez wahania strzelił do ćpuna. Potem strzelił jeszcze dwa razy. Na chodniku leżały trzy trupy. *Przykra sprawa, nieprawdaż?* Już w momencie pierwszego strzału na ulicy zrobiło się jasno od fleszy.

- Wezwijcie policję. - Pisarz odezwał się jakby nigdy nic.

- Aha, może jeszcze kogoś z krematorium. Niech spalą te śmiecie...

- Ależ proszę pana! - nie wytrzymała staruszka. - Pan zabił tych ludzi z zimną krwią...

- Bronił naszej własności - wtrąciły prawie w jednej chwili okradzione kobiety. - Bronił nas przed nożem... *To chyba sprawiedliwy sposób rozumowania? Po pierwsze przekonujący, po drugie filmowy...*

- Od tego jest policja - nie ustępowała staruszka. - Nie można samemu wymierzać sprawiedliwości. Ci ludzie mogli być w skrajnej potrzebie...

- Nikt nie ma prawa zaczepiać mnie wbrew mojej woli - odpowiedział Sulikowski, siadając z powrotem na krześle za stolikiem. - Jeżeli to robi, powinien liczyć się ze zdecydowaną reakcją. Ja tego nie robię i nie życzę sobie tego doświadczać. Czy to jasne?

W księgarni rozległy się brawa zmieszane z syreną policyjnego wozu.

- Henry Smith-Gonzales, adwokat - przedstawił się Sulikowskiemu starszy, siwy mężczyzna. - Z przyjemnością będę pana bronił. Tym bardziej że wszystko widziałem. Poza tym ma pan tutaj wielu świadków... *It doesn't ring true!*

Policjant, który zjawił się trzy minuty później, nosił kolczyk w uchu i złoty naszyjnik. Jego murzyńskie rysy były trudne do odgadnięcia. Coy nadal milczał. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości, że Karol Sulikowski sprzeda się w olbrzymich nakładach na całym świecie. *Ba, to oczywiste, że nawet w pierdlu będzie znosił złote jaja. Przy czymś takim samopoczucie Sulikowskiego było gównem warte. Nie jest wykluczone, że on sam przestał istnieć. Stał się sygnaturą, którą mogli wypełnić inni. Nawet po śmierci. Załóżmy, podobnie jak agent, że Sulikowski piekielnie dużo pisał do szuflady...*

- Już pan zarobił swój pierwszy milion dolarów - powiedział Coy, pochylając się do ucha pisarza.

- Porucznik Johnson - przedstawił się policjant. - Dobrze pan strzela... - dodał, wyjmując broń z ręki Sulikowskiego.

- Zawsze z takim skutkiem?

- Nie lubię śmierci, poruczniku. Tak samo jak śmieci - podsumował beznamyślnie Sulikowski.

Podjechała telewizja. Reporterka mogła mieć nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Była zbyt zgrabna, aby Karol Sulikowski jej odmówił. Kiedy zadała mu pierwsze pytanie, obejrzał ją sobie z dołu do góry i pomyślał, że to musiało ją cholernie zmoles-tować. Tłumacz dyskretnie ustawił się za jego plecami. Reporterka mówiła tak szybko i z takim ogniem, że widzom z wrażenia zasychało w gardłach. Pisarz położył jej rękę na ramieniu i uspokoił:

- Spokojnie, proszę pani, spokojnie... - Pokazał palcem kamerę.

- Widzowie zaczekają, prawda? Chyba nie chcecie, żeby wam zdemolowała domy, co? Tak, w Polsce jest takie prawo, które zabrania wykonywania kary śmierci. Cóż, ten akurat szczegół polskiego prawa, ba, europejskiego, mam głęboko w dupie. Czy pani mnie zrozumiała?

- To znaczy, że jest pan za karą śmierci? - rozpałała się coraz bardziej reporterka. - Jest pan przeciwko resocjalizacji więźniów? Przeciwno dawaniu szansy?

Policjant stał z boku i przysłuchiwał się tłumaczowi, który z szybkością karabinu maszynowego wyrzucał z siebie słowa raz po polsku, raz po angielsku.

W księgarni i na zewnątrz stał prawdziwy tłum. Niektórzy oglądali Sulikowskiego na ekranach telewizorów w pobliskich sklepach. Starsza kobieta wyszła przed księgarnię i ostentacyjnie wyrzuciła książkę Sulikowskiego do kosza. Nie leżała tam długo, ponieważ wyciągnęło się po nią naraz aż kilka rąk.

- Oczywiście, że jestem za karą śmierci - stwierdził poważnie Sulikowski. - Jestem za eliminowaniem ze społeczeństwa odpadków. Resocjalizacja może dotyczyć tylko bardzo niegroźnych przestępstw dzieci do lat czternastu... Reszta powinna podlegać rygorom ostatecznym. Chyba orientuje się pani w statystyce zbrodni, prawda? Chciałaby pani zostać zgwałcona albo zadźgana nożem? Chciałaby pani czuć ból zadawany przez jakiegoś śmiecia? Z jakiej racji dzieci mają patrzeć i znosić

znęcanie się nad nim i ich matką po pijanemu? Resocjalizacja? Droga pani, nie ma na to czasu.

- Boże, co pan opowiada! - zawołał z boku jakiś młody człowiek z krzyżem na piersi. - Pan jest potworem.

- Gdybyś został pobity przez bandę szczeniaków kijami baseballowymi i obudził się w szpitalu jako kaleka, inaczej byś wołał, kolego - odpowiedział z drwiną Sulikowski. *Czy tego rodzaju pasja jest w literaturze strawna?* Prawnicy doprowadzili system kar i resocjalizacji do obłędu. Dlaczego? Z bardzo prostego powodu. Dla szmalu. Powtarzam raz jeszcze. Dla ciężkiej forsy... Za forszę bronią nawet morderców małych dzieci, zabójców niedołącznych starców i uczciwych, sympatycznych młodych ludzi. Wszystko pod hasłami sprawiedliwości i praw człowieka. *Byłby numer, gdyby Sulikowski zechciał nagle zostać prezydentem. Czyimkolwiek. Oj, przerzedziłoby się, przerzedziło...*

- Możemy już zabrać zatrzymanego? - Porucznik pytał, ale nie ruszył się z miejsca. Reporterka uśmiechnęła się do niego słodko jak lalka Barbie. Policjant pokiwał tylko głową i wyciągnął papierosy.

- W skrajnych przypadkach kara musi być zemstą - kontynuował Sulikowski. - Jeżeli nie ma wątpliwości, jeżeli nie ma cienia wahania, że przestępca jest winny, wtedy należy stosować wysokie kary więzienia w absolutnym odosobnieniu, publicznej chłosty lub śmieci. Ludzie zdeprawowani drwią z naiwności sędziów i kodeksów prawa, zarykują się ze śmiechu i zgrywają na cholernie niewinnych i pogrążonych w bólu. Opowiadają dyrdymały psychologom, ponieważ z góry wiedzą, w jaki sposób pracują frajerskie, uczciwe mózgi.

- Czy byłby pan gotów oczyścić nasze miasta z przestępców? Czy podjąłby się pan takiego zadania? - Reporterka już niemalże wychodziła z siebie. Jej nogi drobiły w miejscu, a ręka ścisnęła mikrofon z całej siły. Zdarzył się cud. Przez cały czas jej szefowie trzymali ją na wizji. Minuta po minucie Karol Sulikowski czynił z niej gwiazdę pierwszej ligi amerykańskiego dziennikarstwa.

- Tak, mógłbym to zrobić - odpowiedział pisarz, uśmiechając

się do porucznika Johnsona palącego papierosa. - Z prostego powodu. Jestem uczciwym człowiekiem. Zarobiłem swój milion dolarów i nie trzeba mnie przekupywać. Mam niewielkie potrzeby. Chcę wygodnie pisać książki i nie zderzać się ze światem. Izolacja twórcza. To mój ideał. Dlatego każdy zlikwidowany przeze mnie śmieć, byłby nim naprawdę. Bez możliwości przekupstwa, pomyłki czy nadużycia. Jestem sprawiedliwy i to gwarantuje wszystkim własne bezpieczeństwo. Nawet najbardziej przemyślna prowokacja nie ma u mnie szans. Wystarczy cię podejrzenia, że przestępca jest niewinny, i najwyższy wymiar kary odpada. *Niewątpliwie mamy wszyscy nadzieję, że facet ma wyłącznie makabryczne poczucie humoru...*

- A gdybyśmy taką zgodę dla pana uzyskali, czy uczyniłby pan Nowy Jork bezpiecznym miastem? - Ze szczęścia głos reporterki był na granicy szpasmu.

- Musiałbym mieć uprawnienia agenta 007 do nieskończoności - zaśmiał się krótko Sulikowski. - Czy pani dałaby mi takie uprawnienia? Bez obaw, że okażę się nieuczciwy?

- Noooo...

- Widzi pani, że to trudne - podsumował pisarz. - Wasze zaufanie do mnie powinno być zabezpieczone kilkusobową radą, którą sam bym wybrał. Gdyby wybrano taką radę demokratycznie, na pewno znaleźliby się w niej ludzie z układu. Znowu zadziałałby mechanizm korupcji... *Zaufanie, jakim pisarz obdarzył własny mózg, może doprowadzić do obłądu. Rozpoznanie: wywiad w afekcie? Cóż, niech pani zaryzykuje i uczyni ze mnie Bonda do nieskończoności. Nowy Jork będzie czysty. Potem następne miasta...* - Sulikowski przestał mówić i rozejrzał się.

- My wszyscy oczywiście wiemy, że zostałbym prawdopodobnie zastrzelony lub wysadzony w powietrze, prawda? Żyłbym trochę dłużej, gdybym działał anonimowo na zlecenie prezydenta. Jego dekret musiałby mieć klauzulę wyjątkowej tajności. Wtedy byłaby szansa... Co pani na to? *Taki stres nadawał się świetnie do telewizji. Na żywo i przez kilka minut. Nie dłużej. Potem musiała pójść reklama...*

*

Jako Rosjanin tłamszę w gardle tego imperialnego potwora i puszczam niesamowicie cuchnące, cebulowe bąki. Duszę mam tak pojemną jak półlitrowka samogonu. Kiedy stoję okrakiem nad granicą i szczam sobie w rżysko sąsiada, wtedy moja dusza nazywa się Dostojewski, Gogol albo Tołstoj. Uwielbiam wkładać ryj i opróżniać miejsca. Ugór to mój dyplom dojrzałości. Świat mówi o mnie „mroczny”, ale zapomina o uśmiechu. Kto z was położyłby się spać na szerokich torach? Takich, które nie wpuszczają wąskich pociągów? Kto z was chciałby się zaprzyjaźnić, gnijąc z wycieńczenia? Kto z was widzi w górze szablę? Nawet wtedy, gdy modli się do Boga? Z moją pustką radzą sobie tylko rewolucje. Przywalony strachem, kompleksami i siermięgą odbijam się od dna Nabokovem i walę po pysku walizkami pełnymi gotówki. Jestem wielki wielkością dolarowych szkół, jestem potężny potęgą własności, jestem ogromny tą szansą, niepohamowaniem tłumy, który pracuje jak rozregulowany budzik. Cyk, cyk, cyk...

Dziś spojrziałem pomiędzy nogi. Moja milieńkaja, moja caryco Katarzyno z pochwą niezbyt spolegliwą! Ja chcę śpiewać i drapać się tam, gdzie drapał się towarzysz Lenin. Dziś na przykład, parę minut po czwartej, wpadło mi do głowy, żeby odmieniać przez przypadki Europę. Nigdy w życiu nie było mi tak dobrze, nigdy w życiu nikt mnie tak nie pieścił... W Warszawie, Berlinie, Paryżu i Rzymie zarażałem się chorobami, o których starzy ludzie mówili, że są śmiertelne. Szto eto? Szto eto? Szto eto? Zawsze tak będę pytał. Do usranej śmierci będę wam zadawać to pytanie. Droga pani Chabrol, Schultz, Antonioni, Rodrigez czy Kowalska. Nasze spotkanie jest nieuniknione. Zegar tyka, a ja dojrzewam. Ja, pokrojony tort z ozdobami z kartofla w kształcie kremłowskiej gwiazdy. Brud? Głupota? Chamstwo? A może wykształcenie, delikatność i inteligencja? *Co za historia?! Nawet słowa nie pasują!* Wsio. Dzięki rublowi, który wwierca się w dupę dolara, funta i marki. Dzięki chmurom, które nad głowami mrozu i ciszy rodzą nieokiełznane zbrodnie i zagonione miłości. Spotkanie z

samym sobą doprowadza mnie do rozpacz. Jestem Raskolnikowem, synem, wnukiem, a może wujkiem Frankensteina, który straszy swoim dobrym sercem. Jestem człowiekiem. *Z daleka to się może podobać.*

*

Czy to czas stawia te dziwne pytania? Kto wysła w podróż Wędrowca, który nie może wszystkiego opowiedzieć? Dlaczego jest tak niedoskonały? Zna język, potrafi dobierać słowa i zostawia za sobą zdziwienia. Na krześle w kuchni, bez butów i pielęgniarki, tak spokojny, bo znalazł się właśnie tutaj, Robert Blumstein patrzył. Otrzymał zaproszenie od drogi, z której Ktoś nie przewidział powrotu.

Drugie zdziwienie. Piasek był jeszcze mokry. Łódź stała pośrodku ziemi, a z jej pokładu zsuwały się węże. Ptaki odleciały wcześniej. Kołowały nad życiem i podejmowały swoje pierwsze ptasie decyzje. Zwierzęta wychodziły zgodnie i nie rzucały się sobie do gardeł. Jedyny raz dzikość została poddana woli. Robert Blumstein wystawił twarz do słońca i było mu naprawdę dobrze. Powietrze pachniało nadzieją, a jedyni dobrzy ludzie na ziemi schodzili właśnie z łodzi. Pierwsze, co zrobili, to schwytali wybrane zwierzęta i spalili je w ofierze Bogu. Po co? Jakaż w tym była intencja? Zabijać? Blumstein patrzył na to w przerażeniu. Dobrzy ludzie spalili zwierzęta... Dobrzy ludzie. Bóg poczuł woń ofiary i obiecał sobie, że nigdy już nie rozprawi się tak totalnie z człowiekiem i ze światem. Bóg ocalił Noego, bo Noe był wierny. Noe zabił zwierzęta, Noe zadał cierpienie, Noe był silniejszy i mądrzejszy. Wykorzystał to. Dla Boga było to miłe. Dla Blumsteina niepojęte i bezsensowne. Po co? Po co Stwórca zadawała się słabością człowieka? Dlaczego wystarcza mu bojaźń, którą sam stworzył? Na obraz i podobieństwo... Czy takie dziedzictwo jest aż tak niebezpieczne, że wymaga strachu? Czy rzucone bez wiary byłoby gorsze? Kto z kim toczy tę nie kończącą się, fascynującą walkę o ludzką duszę? Rozczochrana i byle jaka głowa Blumsteina wydawała się sobie tak bardzo marna. Niegodna Boskiego zainteresowania, niegodna zainteresowania w takim

stylu. Okrutnym, wymagającym, roszczeniowym. Ta głowa przedstawiała wartość dla niego. Z nią było mu dobrze, ale czuł się okradany.

Jaka może być satysfakcja Boga z czyjegós strachu? Taka sama jak satysfakcja człowieka ze strachu bliźniego? Satysfakcja, że jest lepszy, że może i czuje więcej? Może ludzka słabość i niedoskonałość wymagają bata, aby istniał przynajmniej podstawowy porządek? Czy Bóg powinien zgodzić się na nieograniczenia w świecie tępaków, głupców, złodziei, morderców i cwaniaków? Czy powinien potraktować to równo? Mądrzy rozumieją, chociaż - to tylko przypuszczenie - będą inni i nie staną w szeregu. Nie będą jednak zabijać, nie będą kraść, nie będą źli. Będą dobrzy, uczciwi w modlitwie (może tylko w westchnieniach?) i postępowaniu. Lojalni i prawi wobec życia. Czy za to zostaną ukarani? Może zatem bóg ofiary z życia zwierząt przemawia językiem podstawowym? Takim, który pozostawia mało miejsca na wątpliwości? Czy język skierowany do najbardziej niedoskonałych daje prawo do doskonałego myślenia, wyboru drogi? Blumstein czuł woń spalonego zwierzęcia, woń spalonego ptaka, i patrzył.

Trzecie zdziwienie. Synowie Noego rozglądali się po ziemi. Było ich trzech. Młodzi, zdrowi, inteligentni. Znający ojca i znający Boga. Słyszeli Stwórcę i słowa Przymierza. Wiedzieli. Nie musieli wierzyć. Wiedzieli. Prosty układ. Bóg jest i nie chce, aby ludzie zabijali się. Mogą, ale nie powinni. Wybór i kara. Ząb za ząb. Śmierć za śmierć. Normalnie, czysto i zrozumiale. Blumstein słyszał słowa Boga i przewinął sobie taśmę z historią. Śmierć za śmierć... A prowokacja? Wygodny sposób na pozbycie się tych nie lubianych? Jeżeli będzie sądził ten sprytny, co wtedy z innymi? Pozory, pozory, pozory... Śmierć, która zależy od pozorów, długo musi czekać na wyrównanie rachunków. Śmierć za śmierć. W sytuacjach niewątpliwych, beznadziejnych, okrutnych. Łatwo podnosić rękę, gdy nie ma wątpliwości. Podnosić ją tylko wtedy, gdy ich nie ma? Likwidować odpadki, aby reszta nie gniła? Ból za ból, cios za cios. Bez łagodności, prawdziwie i konsekwentnie. Bez wątpliwości?

Banalność od kiedyś? Może? Wpisana w człowieka, jak wątroba i serce, gnoi na każdym kroku. Noe założył winnicę, zrobił pierwsze wina i napił się. Niespodzianka. Odkrył alkohol. Pijany padł w namiocie i zasnął. Był nagi, zwyczajny i swój. Jeden z synów, Cham, wszedł do namiotu i zobaczył go w pijanym śnie. Być może miał poczucie humoru i opowiedział o tym braciom z uśmiechem? Może powiedział to z odrazą? Widok nie musiał być ładny. Śpiący, pijany Noe, leżący nago na łóżku. Widok inny, ale wpleciony w życie. Dwaj pozostali synowie przykryli ojca, starając się nie patrzeć na jego nagość. Blumstein obserwował to w oniemiaeniu. Wstyd przed nagością? Własnego ojca? Ukochanego, identycznego w męskim ciele? Wstyd przed czym? Blumstein nie rozumiał. Przykrywali ojca, bo był nagi, czy przykrywali go, ponieważ chcieli uchronić go przed zimnem. I to, i to?

Dalej dzieje się coś niepojętego. Blumstein już nie stoi, ale siedzi i w osłupieniu otwiera usta. Ktoś ukradł, a Cygana powiesili. Czy tak? Noe dowiaduje się o niedyskrecji Chama, wpada w złość i pokazuje palcem winnego... Syna Chama, Kanaana! Ba, skazuje go na wieczne posługiwanie braciom Chama. Kanaan, nie wiedzący nic o tej olbrzymiej, niewyobrażalnie dużej, niewybaczalnej, och, wręcz straszliwej, nieporównywalnej z niczym innym na ziemi, winie Chama, ponosi karę za tatusia. Wnuczek dostaje w dupę za to, że jego tatuś zobaczył dziadka pijanego i nagiego.

Blumstein nie potrafi postawić pytania, nie chce zgadywać, nie chce spekulować. Patrzy w górę, chce usłyszeć Boga, pragnie zobaczyć sprawiedliwość, ale nadciąga tylko zdziwienie. Karty zostały rozdane. Ze zdziwieniem przychodzi smutek, że za tak niewiele tak wiele trzeba kary. Dlaczego Cham nie odwołał się do Boga? Czyżby zadrwił z nagiego i pijanego ojca w sposób niewybaczalny? Co takiego mógł powiedzieć syn, który słyszał Boga i pewien był Jego możliwości i siły? Czyżby chciał popełnić samobójstwo? Nie wiedział, że plugawa drwina z ojca (jeżeli taka w ogóle była?) będzie występkiem? Biblia nie nazywa go chociażby głupcem. Mroczna tajemnica przekleństwa Noego wyrzuca Blumsteina z krzesła. Ląduje na

podłódze. Wyczerpany i przestraszony trafia do łóżka. Nie mówi. Słucha. Pielęgniarka jest młoda i ładna. Blumstein jej nie rozumie. Widzi tylko, że coś się dzieje, coś się mówi, coś się słyszy. Jest Wędrowcem i w samotności przemierza znaki zapytania.

*

Kto zadaje te pytania? I kto na nie odpowiada?

- Czy nastąpi koniec tego, co w życiu przyjemne? Czy płodność nie rzuci ludzkości na kolana? Czy możliwa jest naturalna regulacja narodzin? Kto nazywa prokreację przyjemnością za najniższą cenę? Prokreacja za biedę, za nędzę, za choroby, brud i śmierć. Prokreacja za cenę orgazmu i głodu. Zbawcza czy zabójcza?

- To ściana. O tę ścianę rozbije się ludzkość.

- A jeżeli zahamuje? Jeżeli powstrzyma miliony urodzeń, jeżeli powstrzyma wojny i śmiecie? Ludzi będzie mniej, będzie ich tyłu, ile trzeba, aby przeżyć. Wojna nie będzie się opłacać, ponieważ ludziom będzie dobrze. Śmiecie zostaną przetworzone, pokonane w zamkniętym obiegu...

- Nikt nie powstrzyma milionów urodzeń. Nikt. Zawsze znajdzie się ką, w którym nędzarz z wrzodami na plecach zapłodni dogorywającą z głodu kobietę. To silniejsze niż śmierć, niż mądrość, niż religie... Przyjemność to zbyt wiele, aby jej nie dotknąć w obliczu ostateczności. Zawsze są miliony, którym na niczym nie zależy. Nic nie mogą już stracić, ponieważ mają już tylko skrawek życia. Tę jedną, kruchą własność.

- Musi być jakiś cel. Lepszy niż gorszy. Tyle już udało się przetrwać, odkryć i pokonać...

- Siła geniuszu równa się sile spóźnienia. Człowiek jest tym większy, im bardziej potrafi opóźniać własną zagładę.

- To niemożliwe. Musi być sposób na ocalenie. Nie można uwierzyć w głupotę i bezradność. Jest przecież dobro. Nie jest takie słabe, bo świat istnieje. Mimo milionów zbrodni, milionów świństw i milionów kłamstw. Ta równowaga istnieje, inaczej by nas nie było.

- Za każdym razem jest gorzej. Liczby, liczby, liczby... One zniszczą życie. Za dużo ludzi, za dużo śmieci, za mało pomysłów. Za dużo ludzi to choroby, wojny i nienawiść. Za dużo śmieci to również choroby, wojny i nienawiść. Straszne słowa „za dużo”. Stłamsi nas banalna i miazdząca siła tych dwóch słów. Człowiek po prostu chce mieć „za dużo” i nigdy nie przestanie. Nigdy. Chyba że umrze. I na pewno umrze.

- Jest jeszcze kosmos. Nie mamy pojęcia, jaką ma tajemnicę i siłę. Możliwości przetrwania są...

- Nie zdążymy... Chociaż... Może nieprawdopodobny zbieg okoliczności, wyjątkowo fortunny układ między ludźmi dałby czas na odnalezienie owej drogi. Może? Słaba nadzieja, bardzo słaba... To tak, jakby natura zapomniała na pewien wygodny okres o chorych ambicjach, charyzmatycznych szaleńcach i nienasyconych przywódcach. Czy tacy mogą przestać się rodzić? Czy nieobliczalna masa może wybrać dobrze? Jednak to ona musi wybrać, ta masa, to nierozpoznanie, zagadka ospałych i płytkich umysłów. Demokracja, która ocala na trochę, która posuwa historię ku pięknym, chociaż często tragicznym niespodziankom. Przeciwno dyktaturom, egoizmowi, anarchii i bezkarności. Jestem realistą i uśmiecham się na widok przyszłości z science fiction. Przemawia do mnie wizja ściany. Dalekiej i niewiadomej. Nie wiem, jak zareagują ci, którzy zobaczą ją pierwsi. Pozabijają się na krawędzi beczki z wrzącą smołą czy wymyślą cukierka. Co może się zdarzyć przed ścianą? Przyjdzie Bóg?

- A gdyby człowiek dostosował się? Razem ze szczurem? Gdyby jego zęby zdążyły polubić śmiecie, a wnętrzości zdołały je trawić? Gdyby plastikowa butelka nadawała się do wytwarzania biologicznej energii? *Co za mutacja? Szaleństwo genów i środowiska. Małżeństwo niemożliwego. Może śmierć z nadzieją na wargach? Dawniej też nie wyobrażano sobie nowych łądów. Jak wygląda taka ostatnia ściana? Co będzie czuł ten ostatni? Czy będzie wiedział, że jest ostatni? Żał, żał, że nie jesteśmy wybrani...* Może powstaną bakterie, które nie opowiedzą już nikomu o oryginalnej ludzkiej cywilizacji? Każda wielkość, każde życie ma granicę swojego makrokosmosu?

Koniec jednej może oznaczać czas innej. Niepojęte zwyczaje, nieodgadnione reakcje niewidzialnych robaczków. Samotność czy wspólnota... Jak jednak porównywać to z człowiekiem? Kto zadaje te pytania? I kto na nie odpowiada?

*

Tylko czasami słońce hipnotyzuje naprawdę. Zdarza się, że mała, upalna uliczka w Rzymie, Nowym Jorku lub Moskwie rzuca czar na przechodniów i graweruje w ich mózgach swój podpis. Na ulicach tysięcy miast i miasteczek, na skrzyżowaniach wiejskich dróg, pod płotami i pod galeriami, na twarzach artystów i w zamkniętych oczach kobiet Wschodu, czai się w takiej chwili poczucie obecności. Trafia zatwardziały morderców i niewinne dziewczynki. Ten jeden raz przychodzi szczęście i dobra odpowiedź. Kąpiel w ciepłe słońca i własnej wartości.

Jan Bykowski czekał. Wiedział, gdzie ją spotka. Nie musiał zgadywać. W najdroższym apartamencie hotelu „Marriot” zatrzymała się kobieta, której ocalił życie. Tak piękna i tak bogata, że reszta przestawała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Bykowski czuł, że płakała. Odgadł, że telefonowała. Mówiła, zwierzała się, drżała ze zdenerwowania. Skarżyła na zły los. Gdzieś tam w Lizbonie, Las Vegas i Tokio odbierali telefony ludzie, którzy grali swoje role. *Really? I am sorry*. Po co jej to? Bykowski z trudem pojmował ten styl. Znał jej przeszłość i tęsknoty. W wieku piętnastu lat została uznana za najpiękniejszą dziewczynę w kraju. Dwa lata później za najpiękniejszą w świecie. Została modelką i zaczęła zarabiać pieniądze. Duże, cudownie zielone kupki dolarów spadały na jej konto. Poznała wszystkich liczących się ludzi w branży. Wielkie nazwiska, wielkie pieniądze i jeszcze większe tęsknoty. Pogoń za dobrym samopoczuciem. Najlepsze wina, najdroższe drinki i błogie trawy. Więcej koksu! Przyjęcia w intymnych rezydencjach, oklaski i zachwyty. Kreacje i autokreacje. Czad! Prawdziwy życiowy czad, po którym przychodził kac. Co za skurwysyn! Jak śmiał wpierdalać się w tak miłe chwile? Co to w ogóle znaczy, taka

bezczelność? Ma być fajnie i kropka. W końcu za to się płaci. Zdrowy szmal, nie jakieś tam papierki dla gównozjadów. Bykowski znał jej rozpęd. Widział faceta z wiekiem długim jak londyńskie metro. Leżała pijana, a on rznął jej pizdę, jakby to była deska. Potem się z nią ożenił. I rozwiódł. Wyhamowała w szpitalu. Narkotyki precz! Drinki precz! Do pracy! Do zajęć. Do miłości...

Na ulicy panował przyjemny, ciepły zmierzch. Bykowski wszedł do hotelu i wolno wszedł do windy. Nie przewidywał tylko wyniku. Były dwa. Znał ich historię. W zarysach, ale znał. Jednak bez początku. A bez początku nie zaczynała się żadna z historii. Klimatyzacja gładziła go nawet pod pachami. W windzie obserwował śniadego Araba. Białka oczu strzelały po ścianach, a złoto na nadgarstku śpiewało pieśń muezina. Windziarz leniwie patrzył przed siebie. Za każdym razem, kiedy winda stawała na piętrze, mocz Bykowskiego deklamował Szekspira: „Być albo nie być.” I ten zapach.

Wzrok Bykowskiego powoli zanurzył się we włosach windziarza. Przemknął po szyi i dotknął dłoni. Windziarz wyglądał na schorowanego, zmęczonego życiem emeryta. Czysty, pachnący i elegancki. Bykowski jednak od razu wyczuł determinację. Pod napiętą jak pergamin skórą pulsowało zdenerwowane życie. Starszy człowiek był śmiertelnie przerażony. Kiedy spotkały się ich oczy, strach zniknął. Powiało zawodową uprzejmością. Arab wysiadł, zostawiając za sobą smugę zapachu drogiej wody kolońskiej. Duszej jak oddech psa. Wsiadła para starszych Amerykanów i trzech szwedzcy biznesmeni. Stara, zadbana kobieta przypominała przeterminowaną konserwę, natomiast mężczyzna poruszał się tak, jakby był nadmuchany. Mili ludzie. Uśmiechnięci i zimni, uprzejmi i wymagający, hojni i wygodni. Bykowski zauważył ich spojrzenie i przepraszający uśmiech. Było im głupio, że dali się przyłapać na ciekawości. To mogło być źle odebrane. Garnitur Bykowskiego wart był tyle, ile długopis Amerykanina. To właśnie zauważyli. Szwedzi pograżyli się w rozmowie. Szybko, szybko, jeszcze szybciej... Spoczone dłonie, wygolone podgardla, zaciśnięte krawaty. Koniecznie firmowe, czyli takie,

jakie uchodzą za godne. Reszta to szajs.

Windziarz został tylko z Bykowskim. Jechał i tężał. Wytrzymał tak od rana. Nic go nie bolało, do nikogo nie miał pretensji, zarabiał dobrze, a mimo to...

- To nie jest dobre wyjście. - Głos Bykowskiego zabrzmiał sucho i prowincjonalnie. Windziarz spojrział zaintrygowany. Jesteś taki cholernie tani, chłopcze, zdawało się mówić jego spojrzenie. Twoje ubranie, twój styl, twoja twarz i budowa należą do innego świata. Zalatujesz prowincją, brakiem wykształcenia, oglądy i pewności siebie. Cuchniesz tym wszystkim, co nazywa się „tłuszcza”. Nie masz nic, o czym można pomyśleć z szacunkiem.

- Skok z dachu nie będzie potrzebny - odpowiedział na milczące pytania Bykowski. - Jeszcze dwa dni. Potem pojawi się kobieta w czerni i wszystko minie. Samotność skończy się na cmentarzu...

Winda zatrzymała się. Weszła młoda Austriaczka z aparatem ortodontycznym na zębach. Miała trzynaście lat. Bykowski uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała mechanicznym skrzywieniem warg. Wiedział, że przed dwudziestoma minutami dostała pierwszego w życiu okresu. Podniósł kciuk do góry, ale nie znalazł zrozumienia. Dziewczynka odwróciła się i została ze swoją menstruacją sam na sam.

- Ma okres - rzucił w stronę windziarza Bykowski. - Po raz pierwszy.

Austriaczka wysiadła. Windziarz przyglądał się spod oka Bykowskiemu. Ten cienkusz zaintrygował go.

- Skąd pan wie, że wybierałem się na dach? - zapytał cicho windziarz.

- Wiem również, że jest pan chory na raka i nie ma żadnych przyjaciół - odparł Bykowski.

Wysiadł z windy i skierował się do apartamentu dziewczyny. Korytarz hotelowy pachniał odkurzaczem i dezodorantem. Bykowski poprawił w kieszeni świadectwo maturalne i zapukał. Cisza. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Nigdy przedtem nie widział takiego wnętrza. Błysk, blichtr i wygoda. Nieludzko dopracowane i funkcjonalne. Telefon, fax,

telewizor, radio i komputer w sieci. Klimat barw i zapomnienia. Gdyby nie to, że wiedział, na pewno by przepadł. Kompleks, zwany syndromem kmiota, rozerwałby go na kawałki. *Z jakim to gatunkiem literackim mamy tutaj do czynienia?*

Ona spała. Leżała na wielkim, podwójnym łóżku i głęboko oddychała. Na stoliku obok stało zdjęcie mężczyzny z lamborgini. Na zdjęciu świecił się czerwony flamaster: „Nigdy cię nie zapomnę, Ewo.” A więc tak miała na imię, pokiwał głową Bykowski i usiadł w fotelu przy łóżku. Miał nieprzyjemne wrażenie, że przyszedł na darmo. Patrzył na wypięte pośladki Ewy, na rozchylone faldy sukienki, na włosy rozrzucone w nieładzie. Jeżeli linia nóg mogła być doskonała, to z pewnością w takim właśnie wydaniu.

Na stoliku zauważył papierosy. Drogie. Zapalił i wydmuchał dym w stronę okna. Ewa poruszyła się, poczuła. Powoli uniosła powieki i utkwiała źrenice w jego oczach. Zerwała się i pobięła do drzwi. Bykowski nie drgnął.

- Przyszedłem opowiedzieć pani ciąg dalszy - zawołał za nią. Zatrzymała się i ostrożnie obejrzała. Wahała się. Nie podobały jej się jego usta, kształt głowy i sztywna, wiejska czupryna. Był taki pospolity, taki bez wyrazu. Kmiot, kmiot rozpoznawalny nawet przez papierosowy dym.

- Nie rozumiem pana - zaczęła powoli. - Przepowiedział pan śmierć mojego przyjaciela. Uratował mi pan... W pewnym sensie, oczywiście, życie... Dlaczego? Co nas łączy, że przyszedł pan aż tutaj?

- Podoba mi się pani i zamierzam spędzić z panią resztę życia - Bykowski powiedział to tak, jakby spuszczał wodę. - Jest pani piękna i chcę to mieć dla siebie. Nie będzie pani żałować...

- Pan oszalał - wybuchnęła Ewa. - Co pan sobie wyobraża? Mogę mieć najbogatszych i najbardziej wykształconych mężczyzn. Nie widzi pan tego? Nie czuje pan różnicy, jaka nas dzieli? Jestem piękna, mam pieniądze, znam odpowiednich ludzi... Boże, co to za farsa?

Bykowski wstał i podszedł do lustra. Usiadł i zapatrzył się w swoje odbicie.

- Proszę się nie łudzić - kontynuowała Ewa. - Nic nie da się

zrobić. Jest pan tak straszliwie pospolity, tak nudny, tak nieciekawym, że nie sposób to opisać. Czy potrafi pan coś, co nie jest nudne? Umie pan żartować? Jakie książki pan czyta? Kogo ogląda? Co wie na temat jedzenia? Co...

- Proszę koło mnie usiąść - przerwał cicho Bykowski. Ewa bez zastanowienia podeszła do niego i usiadła na krześle obok.

- Jest tak źle? - zapytał chyba tylko po to, żeby usłyszeć potwierdzenie. Sam widział. Całe pokolenia pracowały nad tym, aby w nędzy rodzili się ludzie brzydzy i nieciekawi, a w pałacach ładni i wykształceni. Jemu los przypisał dziewczyny nijakie. Zwyczajne, dobre i uczciwe kobiety. Bezcenne matki i żony. On jednak rwał się do diamentu, do kobiety, która każdym ruchem obiecywała orgię.

- Potrafię przewidywać przyszłość - powiedział, odwracając do niej głowę. Dotykał jej lekko łokciem i nie zamierzał z tego rezygnować. - Widzę to, czego nie widzą inni ludzie. Tak było zawsze. Dlatego jestem godny twojego piękna. Dlatego jestem lepszy od każdego innego faceta. Nie ma ceny na to, co potrafię. To dar, który daje niewyobrażalną siłę. Taka siła i takie piękno

- pokazał na Ewę palcem - powinny się zjednoczyć.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Wstała i podeszła do drzwi łazienki.

- Nie chcę cię - stwierdziła beznamiętnie. - Nie potrzebuję twojego daru. Mam wszystko. Mężczyzna musi mnie podniecać, musi być fascynujący, musi być piękny. Nic na to nie poradzę. Tym razem chyba źle odczytałeś przyszłość. Wyjdiesz sam?

Czy wyobrażasz sobie konia, który ma sześć nóg? Tak postawione pytanie zniechęca do myślenia. W ten sposób przeżywa swoje uniesienia władza. Nabrzmiała, nielojalna, zaskakująca, pijana, obiecująca i groźna. Kreująca dupków o białych rękach

i chudych szyjach. Jaka szkoda, że współcześni bardowie nie śpiewają o rozklepanych pośladkach władzy. O dupy, dupy! Wyszędzane w tysiącach krzeseł, foteli i ławek, nasycone

setkami rautów i przymileń, zapieczone garniturami, w których szyjka macicy mogłaby dostojeństwem rywalizować z mózgiem. Oficjalnie. *Nie jest wykluczone, że irytację bądź nienawiść dupa wywołuje z powodu swojej uniwersalności. Cele, jakie sobie stawia, są godne pozazdroszczenia. To fenomenalne, że większość z nich realizuje, nie tracąc nic ze swojej istoty.* Czas rządzenia nie zna odpoczynku, nie zna twarzy przyjaciół, nie zna litości. Mechanizm konieczny. Roślina, o której mówią, że jest oswojona, dusi niewinnych obszczymurów. Ba, uczy ich sikać w pożądanym kierunku i pluć nawet na własne spodnie. Proces tępienia zębów nie zostawia czasu na zabawę. Pokolenia idą falami. *No to jak? Lubić tę dziwę czy nie? Co za rozpusta! W biały dzień. Kto to słyszał?* To wielkie NIE, ta fala chaosu, bezwładu i niezadowolenia, ta zapluta konieczność. Kiedy można i niemożność układa się warstwami, kiedy wiruje i miesza wszystko, kiedy zabija i kiedy wynosi... Syndrom stabilności gryziony przez niedostatki. W jaki sposób prymitywny dureń zostaje masłem? Kto nazywa go dżemem? Jaka jest średnia rewolucyjna? Średnia inteligencji zamachowca? Tysiące punktów krytycznych związanych z pojedynczymi decyzjami. Myśl, która szczepi ambicje, nic i poniżenie. Ta sama, która daje poczucie konieczności i brak złudzeń.

Czy może być tak, że wszystko uzależnione jest od zapachu? Człowiek otrzymuje zapach, a jego pachy wydzielają feromony seksualności, pasującej tylko do niektórych pach. Są zatem miejsca, niewidzialne waby, wnętrza absorbujące jedynie zapach. Słowa, które przekonują, które rzucają miliony pod prasę, które gaszą instynkty samozagłady. Te słowa znajdują żer w niewidzialnych, podstępnie zapalających woniach. Charyzma idioty, gangstera, króla i filozofa. Charyzma poza wiedzą, pracą i talentem. Fenomen niewidzialnego, doskonałego, bezwonnego zapachu. Takiego, który wyczuwa wyłącznie skóra i mózg, niewyczuwalnego przez nos...

Jeszcze chwila, a rozpocznie się groźna gra z rozpoznaniem. Poszukiwanie sposobu, miary, automatu, który w łonie matki, a może zaraz po porodzie, określi poziom i rodzaj narodzonej

charyzmy. Może jej brak. Zwykle przeciętność. Ruszy selekcja. Lawina strachu przed Cezarami, Kaligulami, Napoleonami, Stalinami i Hitlerami. Przed małymi afrykańskimi kacykami, przed rewolucjonistami i nacjonalistami, przed wszystkim, co da się zmierzyć i porównać. Zapowiedź nowych wojen i nowego cierpienia? Może początek zagłady? Stagnacja? Śmierć postępu czy era łagodności? *Brak wodzów, brak umysłów wiodących, brak ryzyka, brak zmian. Ustępliwość, nieskończona tolerancja, prywatność, a może również eliminacja ciekawości... Wizja, w której nie ma wodzów. Jakaś taka nienaturalna. A gdyby tak wodza wybierano zastrzykiem? W świecie bez charyzmy nikt nie nadstawiłby tyłka? Nikt nie chciałby wymyślić zastrzyku, konieczności zmiany, potrzeby odliczania czasu... Kołowrót tradycji, jakiej nigdy nie było. Grób głęboki jak gardło prostytutki.*

Władza jest brzydka, ale daje. Władza jest brzydka, ale daje... I pomyśleć, że książę Prince chciał wymyślić lekarstwo na banalność. Znudzony poszedł w noc na poszukiwanie rozrywki. Władza dała mu śmierć. Z pracy rąk miejscowego chłopca. Władza jest brzydka, ale daje...

*

Zęby Benedykta zrobiły się zielone. Nadeszło odprężenie. Pierwszy w życiu orgazm z trawą. Długo oczekiwane spełnienie dopadło Benedykta bez żadnej wcześniejszej zapowiedzi. Jak zwykle liczył trawę u znajomych ojca, kiedy nagle poczuł, że musi wytarosić żdźbło. Orgazm dymał go falami. Gryzł, żuł, wypluwał i szarpał. Do piachu. Do samego! Wpierdolić nawet korzenie... Co za ulga. Ogromna, ogromna ulga, jak mawiał pewien profesor po wyjściu z uniwersyteckiej toalety.

Z zielonymi zębami i wyrazem twarzy przypominającym zakąskę Benedykt przytulił się do ekranu komputera. Trawa wystawała mu spomiędzy zębów, a serce pragnęło miłości. Uderzył kciukiem w klawiaturę komputera i wrócił do swojej mrocznej historii...

Zaraz, zaraz! W komputerze coś się porąbało. Na ekranie pojawiła się dziwna staruszka. Boże, jaka ona podobna do

prezydenta Busha! Siedzi na kupie bananów, wokół wiją się żmije, a ona wciska sobie w usta banana po bananie. No, no, no... Benedykt tego się nie spodziewał. Nerwowymi palcami wymiół żmije i zasadził trawę. Jeszcze parę ruchów i staruszka nie przypomina już Geoga Busha. Teraz wygląda jak Greta Garbo w *Annie Kareninie*. Skrzyżowanie konia z pożądaniem. Benedykt pragnie jej wprost zwierzęco. Rzuca się na monitor i próbuje jechać. Nic, nic, nic... Kobieta, o której znawca mógłby powiedzieć, że była gorąca jak dachy Bliskiego Wschodu, nie reagowała. Monitor wysiada, pęka, sypie się na podłogę... Już jej nie widać, została tam, w pamięci, na twardym dysku. Wściekłość Benedykta nie ma granic. Jest jak trawa, którą w nieskończoność wpierdala ta sama krowa i liczy ten sam palec. Gdzie jest doskonała wirtualność? Gdzie zdrowe zęby Grety i jej płaski brzuch, pod którym mieszka wyrostek? Spodnie są mokre, czas gdzieś za nimi, zbliża się wieczór i zapalają lampy. Benedykt wie, czuje, że nie zdążył. Nie zdołał nawet policzyć jej rzesz. Teraz nie ma siły, musi odpocząć i wrzucić spodnie do pralki. Za jakieś cztery godziny, późno w nocy, będzie siedział w oknie i patrzył na miasto. Jego oczy policzą żarówki i neony, jego uszy usłyszą westchnienia i przekleństwa, jego nos wsunie się do każdego sejfmu...

Oj, chyba się spóźni. W łazience są nowe szczoteczki do zębów. Trudno policzyć... Palce się ślizgają. Ile włosków ma jedna, ile druga, ile trzecia? Ludzie w fabrykach robią teraz dobre szczoteczki. Ze sztucznego włosa. Spodnie Benedykta schły, pralka tęskniła, a szczoteczki służyły wielu armiom świata. Do zamiatania schodów. Pod górę. Tak napisały gazety, których Benedykt nie czytał.

*

Jako Amerykanin wyzwalam się każdej nocy spod totalitarnych reżimów. To nieprawdopodobne, żeby Indianin miał wszystko dla siebie. Dlatego mu pomagam. Jestem tak cholernie demokratyczny, że w każdym stanie mogę inaczej tańczyć. Mogę na przykład upierdolić bandziora jednym strzałem na koszt państwa. Wystarczy, że chce mnie dotknąć. To cudowne.

I wcale nie muszę się długo uczyć. Nie ma czasu. Brak historii. Trzeba napierać do przodu, pokrywać nasze kobiety i cieszyć się ich skolko ugodnym feminizmem. Czasami w samolocie siegam rękami Kennedy'ego, Reagana lub Clintona. I fajnie. Znam wasz smak, chłopcy, znam wasze myśli i oczarowania.

Gorzej, gdy głowa mi ciąży jak Wietnam, a łydki drżą płazami w Normandii. Poza wiatrem bezkresnych szos i ponad kanionami w prezencie dostałem na własność wolność i siłę nowego życia. Przeciagam się i wiem, że zazdroszczą mi nawet umarli. Rany! Kolejka do mnie jest dłuższa niż wytrysk tego Murzyna z filmu pornograficznego. Sam nie wiem, w jaki sposób mogę się dogadać z moim uniwersyteckim pępkiem i moim nienormalnym, bezdomnym brudem. Jestem śmieciem i diamentem tego świata. Nawet przekleństwa mam skrajnie oszlifowane. Jestem sobą, chcę być sobą i wybaczam wszystkim. Tylko moja rewolucja się udała. Rąbanina na miarę szabel, armat i fartu. Słowo FART mógłbym odmieniać do usranej śmierci.

Rachunek prawdopodobieństwa wykręcił mi ten numer z paszportem. Urodziłem się Amerykaninem i mogę być prezydentem. Czy ja się czegoś boję? Chyba nie. No, może tylko jednego. Tego, że mógłbym nie poprosić tego Polaka o przyjęcie amerykańskiego paszportu. Ten gość nazywa się *(tu wstawić dowolne polskie nazwisko)*. Nie zasnąłbym, gdybym zapomniał. Ameryka bez jego amerykańskiego paszportu jest głupsza. Ja to wiem. A jednak. Człowieku, słuchaj, weź ten paszport. Proszę cię jako student Harvardu, mieszkaniec Białego Domu i ten niesprawiedliwy szeryf z Kansas. Na wejście dam ci milion dolarów, bo jesteś wykształcony i nie kradniesz. Po prostu bądź Amerykaninem. „W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen.” Dziękuję Ci, Panie.

*

Tym razem w bibliotece czuć było moczem. Mężczyzna siadł na swoim ulubionym miejscu i wciągnął powietrze do płuc. Babcia siedziała dwa stoliki dalej. Czytała i miała tytuł profesora zwyczajnego. Była na emeryturze i nigdy nie miała męża ani

dzieci. Osiemdziesiąt trzy lata życia poświęciła badaniom chorób odzwierzęcych. Jej zwieracze wyraźnie nie trzymały i nie znalazł się nikt, kto by jej o tym powiedział. Popuszczała. Raz, dwa, trzy... Psik, psik... Położył przed sobą zeszyt i udawał, że niczego nie czuje. Starał się oddychać ustami, ale wyobraźnia dała mu popalić. Poczul w sobie pawia. Kolejne zdania jego powieści po prostu jebły na papierze...

*

Kto zadaje te pytania? I kto na nie odpowiada?

- Może instynkt jest miejscem, w którym można znaleźć przeszłość? Może on właśnie odbywa podróże do źródła, do naturalnej wiedzy? W jaki sposób dzikie gęsi odgadują porę lotu i wyruszają piechotą nawet wtedy, gdy na zbyt słabych skrzydłach nie mogą się unieść? Co sprawia, że przez tysiące lat żółwie składają jaja na tych samych plażach i w jednakowej odległości od wody? Dlaczego kukulka podrzuca swoje jajo, zabijając obce, a mewy są takie kłótlive?

- Na te pytania nie trzeba odpowiadać. Odpowiedzi są poza instynktem, a pytania wpisane są w cykl zimy, lata, wiosny i jesieni. Przypominają matematyczne reguły: uporządkowane, klarowne i jednoznaczne.

- Czyżby instynkt był tym najważniejszym porządkiem świata? Wszystko ponadto miałyby być krokiem ku śmierci? Śmierci globalnej... Gatunków, planet, kosmosu... Śmierć nie zniknęła. Czy jednak cywilizacja nie ma lepszych śmierci? Przypadkowych, skrajnych, nieopanowanych... Bandyckich, wypadkowych, wojennych, a jednak lepszych. Takich, których nie udało się cywilizacji powstrzymać. Czy nie jest to wybór mniejszego zła? Czy wciąż nie odbywa się walka z opanowaniem śmierci?

- Być może... Czy nie jest to jednak porządek na chwilę? Ocalenie pozorne? Instynkt jest konstrukcją, która w sensie ostatecznym może oznaczać ocalenie. Instynkt zahamowany, odkształcony i oszukany coraz trudniej rozpoznaje swój czas. Gubi doświadczenie strachu, radości i porządku. Otrzymuje gotowe odpowiedzi. Udaje, że trzyma się zaakceptowanych

wzorów i staje się niebezpieczny. Odepchnięty, woła spoza świadomości i nigdy nie rezygnuje. Gotowy, kiedy przychodzi głód, kiedy żyją ambicje, miłość lub nienawiść. Gotowy, kiedy widzi przechodnia, kiedy czuje zapach, gotowy, kiedy przychodzi smutek. Czy człowiek uciekający od instynktu nie bierze na siebie ślepej odpowiedzialności za kształt świata?

- Czy to ma znaczyć, że instynkt nie powinien być żadną miarą hamowany? Czujesz, że masz zamiar uderzyć tego obcego, z fajką i wątrobowymi plamami na dłoniach? Czujesz i uderzasz? Zabijasz? I tak każdy? Absolutna wolność instynktu? Czy to jeszcze jest instynkt?

- Tak, to jeszcze może być instynkt. Przetrawiania. Instynkt JA, które chce być jedno, chociaż paradoksalnie szuka drugiego.

- Do czego to prowadzi? Czy nie do anarchii i rządów idiotów, prymitywnych zbrodniarzy, agresywnych niedorozwojów? Może wykres historii człowieka byłby naprawdę zgodny z naturą, gdyby nie obawa śmierci? Kto jednak powiedział, że instynkt zbrodni i dominacji ma zostać zaspokojony? Czy los ludzkości nie byłby wówczas ewolucją? Cywilizacja. Czy to nie jest najbezpieczniejsza z dróg?

- Czy cywilizacja wie, dokąd to prowadzi? Czy cywilizacja wie, jak to się zaczęło? Czy cywilizacja poradziła sobie z tym, co jest? Czy w tym przypadku rachunek prawdopodobieństwa ma jakiegokolwiek znaczenie? Czy nie jest zabawą umysłu, jałową, matematyczną spekulacją?

Kto zadaje te pytania? I kto na nie odpowiada?

*

Przekleństwa uderzały w Blumsteina tylko czasami. Przychodziły z zewnątrz jak zapachy lub zimno. Nie rozumiał ich, nie wiedział, że są wyrazem równowagi społecznej. Ci, którzy nie przeklinali bądź robili to tylko ze specjalnych powodów, nie prasowali cudzych ubrań, nie wywoziliby ulicznych śmieci, nie leżeliby skąpani w smarach lub nie piekli chleba. Być niżej oznaczało mniej rozumieć. Na samym dnie znajdowali się tacy jak on - wędrowcy wypluci przez naturę. Lekcja ponurych zdziwień trwała...

Czwarte zdziwienie. Blumstein widział cierpienie Abla i zawiść Kaina. Na gorącym polu, pod zakurzonym niebem, w bliskości Boga nastąpiło najgorsze. Blumstein krzyczał na Kaina, ale tamten nie zwracał na to uwagi. Mordował, ponieważ Bóg nie docenił jego ofiary. Gorszy brat wypatrywał sprawiedliwości. Skoro dawał Bogu, pragnął łaski, nie obojętności. Na czym więc miał polegać Boski eksperyment? Na udowodnieniu, że człowiek potrzebuje akceptacji? Czyżby Bóg o tym nie wiedział? Czy Szatan jest w tym wszystkim gorszą stroną samego Boga? Blumstein czekał na karę. Zdawało mu się, że Bóg nie jest tu bez winy. Jakąż siłę musiał mieć Kain, aby oprzeć się zazdrości? *Tak naprawdę zazdrości nie trzeba się opierać. Podobno. Trzeba z nią żyć i poklepywać po czymkolwiek. Może to zazdrość sprawia, że człowiek buduje nowy dom albo okrada banki? Co za uczucie?* Serce Blumsteina nie miało wątpliwości, że nic nie usprawiedliwia Kaina. Wiele tłumaczyło zazdrość, nic nie tłumaczyło morderstwa. Zbuntowane dziecko nie mogło zabijać, nie ono dało życie...

Kain skłamał Bogu i nie przyznał się do zbrodni. *Trzeba mieć nie lada powód, aby oszukiwać Tego, o którym się wie, że jest najpotężniejszy. Czyżby zazdrość miała siłę płodzenia przygłupów, a Kain załapał się na pierwszego?* Blumstein słyszał prymitywną wymówkę i przez jego skórę przeleciał dreszcz obrzydzenia. Zobaczył matactwa milionów zbrodniarzy ubrane w cyniczne tłumaczenia. Język Wędrowca smakował zgniliznę i obserwował cios Boga. Nadeszło wygnanie. Kara zawisła w powietrzu. Kain otrzymał nadzieję na łaskę, mógł żyć. Blumstein nie rozumiał zbrodni Kaina. Nie rozumiał jego spokoju. Brak przeżywania zbrodni oznaczał brak rzeczywistej kary. Bóg skazał Kaina na poniewierkę i wieczny nieurodzaj. Mimo to ród Kaina mnoży się, a Kain buduje miasto i płodzi syna, Lameka. Bóg obiecuje Kainowi, że w czasie wygnania nikt nie może go skrzywdzić bezkarnie. *Jak czuje się strach, zdziwienie, poniżenie i ból Abla? Życie stracone jak parsknięcie konia. Nikt o tym nie pamięta? Czy nie za łatwo? W ciemnościach zła Bóg wskazał zadziwiającą drogę. Postawił ścianę przed naturą. Zapytał siebie, czym jest sprawiedliwość? I człowiek*

*ogłupiał. Spojrzenie Wędrowca przypomina przepaść, w którą wpadają niewinne dzieci. Widzi Kaina-mordercę, odchodzącego z Boskim zapewnieniem bezpieczeństwa. Z jednej strony brak kary i ochrona mordercy, z drugiej pozornie tylko pomszczony Abel. Raz - Bóg ingerujący, dwa - obojętny. I wielkie oniemienie. Po latach syn Kaina, Lamek, mąż dwóch żon i dwóch synów, obiecuje każdemu, kto go zrani, śmierć i siedemdziesięciokrotną zemstę. Blumstein podziwia go i rozumie. Podłość i głupota są jak padlina, należy je usuwać. Lamek nie zna jednak granic. *Wygląda na to, że Lamek odpowiada na najtrudniejsze pytania. Jeżeli tak boli przekleństwo, to jak wielu dałoby się pokroić?* Gotów jest zamordować dziecko nawet za siniec. Wędrowiec boi się braku proporcji między winą a karą, boi się pozorów sprawiedliwości, boi się jej braku... Jego palce zaciskają się na poręczy krzesła, a *mózg* chce zabijać. Cios za cios, podłość za podłość. Jakże piękny byłby świat, gdyby cios spadał natychmiast. Puste więzienia, bezpieczne ulice, uśmiechnięci ludzie... Świat bez frustracji? Blumstein nie wie, że ciało kaleki, jego własne ciało, może także frustrować. Nie wie, że w niektórych wywołuje obrzydzenie i współczucie. Chce być dobry i sprawiedliwy, chce pomóc Bogu rozstrzygać te pokrętne wybory, oczyścić historię z agresji. Przez moment pod skórą pokręconego wędrowca Blumsteina skupia się pragnienie wyrównania rachunków. Co by było, gdyby swój dar wykorzystał do naprawy legend i mrocznych zapisów? Co by było, gdyby palnął Kainowi w łeb? Od razu, zaraz po zamordowaniu brata. Blumstein postanowił tam jeszcze wrócić. *Jeżeli wróci, może być niezła pozoga. Czy Bóg ukarałby Wędrowca?**

*

Restauracja nazywała się „Marconi” i serwowała wiele dań na przeciętną kieszeń. Bywali w niej ludzie z ulicy. Zwyczajni, nie domyci, spoceni, z czekiem na przeciętne lub marne życie. Czasami wpadał zagoniony hurtownik, obciążony kredytem przypominającym sznur dla meksykańskiego skazańca, czasami wbiegał domokrażca z torbą pełną ładnie oprawionych

książek, czasami wsuwała się bazarowa handlarka z dłońmi posiekanymi jak kotlety. Zbieranina bez smaku, bez czucia, bez oczu. Wielkie nic, któremu na imię człowiek. Wśród takich ludzi Jan Bykowski jadł swój biedny obiad. Żuł kluski ze skwarkami ¹ popijał zsiadłym mlekiem. Wodził wzrokiem po krzywo uszminkowanych ustach kobiet z wyschniętymi piersiami, obserwował nigdy nie obcinane paznokcie miejscowych alkoholików, zepsute zęby dorastających pańienek i skudlone włosy małego restauratora.

Piękna Ewa odrzuciła go. Znał jej koniec i nie miał prawa w nic ingerować. Powinien zapomnieć i znaleźć sobie inny cel. Powinien... W jego wieku to słowo znaczyło zbyt mało. Kobieta wywołała w nim falę pożądania i uczuć, z którymi nie miał okazji się zetknąć. Bykowski widział przyszłość, zauważał możliwości i mógł pomagać. Nie potrafił tylko odczytać własnego losu. Jak każdy jasnowidz został zawieszony pomiędzy spełnieniem kogoś obcego a własnym przeznaczeniem. Czuł, że nie powinien rezygnować, że mógłby dotrzeć do tej kobiety, gdyby tylko udało mu się znaleźć jej słaby punkt. Uroda? Tak, to z pewnością jej nie zachwyciło. Prowincjonalny, slumsowy, z płowymi, sztywnymi włosami, z szerokimi, chłopskimi policzkami i wielkimi, kwadratowymi zębami. Pieniądze? Tu także odpadał. Styl? Tego nie wiedział. Wydawało mu się, że ma sporo do powiedzenia. Jednak pierwsze podejście przekonało go, że prezentował styl nieśmiałego licealisty z prowincji. Nie miał tej siły, którą promieniał wokół zabity mężczyzna z lamborgini. Zastanawiał się, co powinien zrobić. Nagle poczuł energię. Tak, nie miał już wątpliwości, że odpowiedź nadchodziła.

Bykowski zauważył go przez szybę. Stał przed restauracją i rozglądał się za taksówką. Wyprostowany, w idealnie skrojonym szarym garniturze, ostrzyżony i ogolony jak do trumny. Chudy i sprężysty. Na palcu nosił mały sygnet z herbem. Bykowski wiedział, że to oryginał. Skóra mężczyzny miała jasny, brzoskwiniowy kolor, a nos zwieszał się nad chodnikiem jak dziób orła. Mógł mieć pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt lat. W lewej dłoni trzymał mahoniową laskę z rękojeścią z macicy

perłowej. Doskonały. Czujny i pewny siebie. Ich spojrzenia spotkały się przez brudną szybę restauracji. Czytali w sobie przeszłość i oczekiwania. Śmierć, ocenił zimno Bykowski. KTOS, odpowiedziały oczy nieznanego.

Bykowski wyszedł z restauracji i powoli zbliżył się do eleganckiego mężczyzny.

- Jan Bykowski - powiedział i wyciągnął rękę.

- Jakub von Klaust - odpowiedział z zagadkowym uśmiechem nieznanego. - Co za spotkanie... Ile mi zostało?

- Niedokładnie, dokładnie czy bardzo dokładnie? - odparł pytaniem Bykowski. Nie był wcale zdziwiony. Tamten wiedział, z kim ma do czynienia. Nie wiadomo skąd, ale wiedział.

- Przejdźmy się - zaproponował von Klaust. - Jest tak duszno... Ileż to razy było wokół mnie podobnie duszno? Czy pan wie, że inaczej jest duszno w Ameryce Południowej, a inaczej w Afryce lub na Bliskim Wschodzie? Nie, nie może pan wiedzieć... - przerwał na moment i skierował się w stronę parku.

- Chcę wiedzieć niedokładnie...

Bykowski siedł sztywno przy boku von Klausta i przygotowywał się do rozmowy. Obaj wiedzieli, że było to nieuniknione. Jasnowidz podniósł wzrok i cicho odpowiedział:

- Niecały rok. Będzie pan żył niecały rok.

Von Klaust wskazał łaską leżącego pod ścianą młodego włóczęgę i rzucił w przestrzeń:

- A on?

Bykowski nie zdziwił się. Wystarczyło mu kilka sekund.

- Zostało mu jeszcze czterdzieści siedem lat, dwa miesiące i osiemnaście dni. Umrze w listopadzie na dworcu kolejowym w Gdańsku. Zatruje się grzybami, które kilka miesięcy wcześniej ukradnie z balkonu pewnego księdza...

- Starczy! - uciał z irytacją von Klaust. - Nie można nic zrobić? Nie mogę się z nim zamienić?

- Zamienić na to, o czym pan myśli, nie... - Bykowski raczej szepnął, niż odpowiedział. - Życia nie można zamienić. Choć...

Głowa von Klausta wykonała gwałtowny, zupełnie niearystokratyczny obrót.

- Chociaż? - podchwycił z ledwie ukrytą nadzieją.
- Teoretycznie jest to możliwe, ale jeszcze nikomu się nie udało
- odpowiedział sucho Bykowski. - Proszę nie pytać. Po prostu
wiem. Dla pana nic nie mogę zrobić... Choć niezupełnie. Mogę
z panem być aż do śmierci.
- I za to mam cię wprowadzić... - arystokrata raczej stwierdził,
niż zapytał.

- Nie musi pan - wtrącił obojętnie Bykowski.

Zatrzymali się na niewielkim mostku nad stawami. Mimo że
słońce już zaszło, nadal było parno, a powietrze zdawało się
stać w miejscu. Przypominało to oczekiwanie na cyklon, który
w tej części świata nigdy nie nadchodził.

- Jestem szczęściarzem. Tak przynajmniej było do teraz. - Von
Klaust z łatwością zmienił ton rozmowy. - Zna pan ten typ?
Oczywiście, że tak. Wy to zwyczajnie wiecie. Rodzicie się z tym
jak inni ludzie ze swoimi liniami papilarnymi. Czy wielu jest
szczęściarzy?

- Bardzo niewielu - Bykowski po raz pierwszy uśmiechnął się. -
Pojawiają się i zabierają ze świata wszystko, co najlepsze.
Łatwo i z oklaskami. Nawet przekleństwa są w ich wykonaniu
jak muzyka. Dlatego tak boli, kiedy odchodzą. Szkoda szczęś-
ciarzy. Dla większości są bezcenną nadzieją bez pokrycia.

- Czy twoja obecność przy mnie daje mi jakąś korzyść?

- zapytał z dystansem von Klaust.

Bykowski zastanawiał się. Mógł odpowiedzieć, że tak, i na tym
poprzestać. Mógł dokładnie wyjaśnić, o jaką korzyść chodziło.
Nie wolno mu było tylko skłamać. Gdyby to zrobił, mógłby
stracić dar. Spojrzał von Klaustowi w oczy i odezwał się tak,
jakby liczył pieniądze.

- Zawsze możesz mnie zapytać. A ja mogę ci odpowiedzieć. Czy
taki komfort to zbyt mało?

Arystokrata wyjął pudełko cienkich, hiszpańskich cygaretek i z
namysłem zaczął otwierać. Jego pomarszczona, pełna wyrazu
twarz dodawała Bykowskiemu otuchy. Czekał, kiedy tamten
zacznie. Jasnowidz musiał czekać. Obaj czuli grę, która ich
pochłaniała. Niczego jednak nie mogli przyspieszyć. Kiedy dym
z cygaretki majestatycznie uniósł się w powietrzu, von Klaust

odwrócił głowę do młodego jasnowidza i odwzajemnił się równie bezbarwnym spojrzeniem.

- A więc mam ci wszystko oddać... - szepnęła z nutką goryczy. - Chciałbyś być szczęściarzem i nie wiesz, jak to zrobić... Nie boisz się? Być jasnowidzem i zarazem szczęściarzem to spore ryzyko...

- Wiem - przerwał mu Bykowski. - Pomóż mi tak dalece, jak możesz. Bez zbędnego ryzyka.

- Bez ryzyka... Co powiesz na operację twarzy? - rzucił z odcieniem rozbawienia von Klaust. - Wiesz, o czym mówię?

Bykowski potwierdził skinieniem głowy. Nie wiedział, raczej wyczuwał.

Wiatr, jaki uderzył ich w plecy, przypominał, że życie trwało i było bardzo zwyczajne. Zapach ściętej trawy, kolorowe ławki i spacerujący gdzieś ludzie, to wszystko potwierdzało obojętność, z jaką zderzały się nadzieje. W każdej sekundzie padało pytanie: kto? Niestety, na dobre odpowiedzi trzeba było długo czekać. Bykowski wciągnął głęboko powietrze i wydawało mu się, że odnalazł zapach Ewy. Pożądanie i duma kazały mu postawić wszystko na jedną kartę. Wiedział tylko, że nie ma prawa tej kobiety upokorzyć. To oznaczałoby koniec również dla niego. Jasnowidz poruszał się w dwóch czasach i nie wolno mu było niczego przyspieszać.

*

Jako Hiszpan służę sobie za wypastowany but z czubkiem, którym w czasie corridy mogą zahaczyć zbyt napalonego byka. Moja sylwetka jest naprężona i przytupuje już od kilkuset lat. Hej, wy tam! Na trybunach! Nie macie pod ręką Don Kichota? Las rąk. Połamali bandy i pokazali na mnie. Nie sposób ukryć swego prawdziwego oblicza. Kiedy widzę, jak ona tańczy, kiedy kręci tym swoim jędrnym kuperkiem flamenco i z oddali podaje mi pierś do possania, wtedy zgaduję wszystkie liczby na loteriach świata. Nie wiem, dlaczego mam być gorszy? Nie jestem biały, nie jestem czarny, nie jestem żółty. Daleko mi do Mulata. Nie widzę w sobie Araba. Jestem Hiszpanem, jestem krwią, jestem kogutem świata... Wczoraj przyśniło mi się Porto

Rico i zwymiotowałem. Zobaczyłem stada noży i mózgi w kolorze nasienia. Moim językiem mówi cała Ameryka. Ta druga, na dole. Czy z tego powodu jestem najznakomitszym malarzem świata? Ubrany na czarno, po chłopsku i prowincjonalnie, z pośladkami zaduszonymi przez spodnie, zanurzam się w przegrzane uliczki i szukam rytmu, który ostudzi serca europejskich kobiet. Na marginesie cywilizacji oddycham kulturą arabskiego Wschodu i papieskiego Zachodu. Jeżeli ktokolwiek patrzy na mnie z góry, to jego problem. Jestem zabawą i dreszczem nadmorskich kafejek, z krzyżem w czerni wysyłam swoją flotę na pomoc wyobraźni. Stoję z boku i nie gniewam się na słowo „margines”. Za mnie mówią kastaniety i wachlarze, za mnie mówią szpady i ciemne, sterczące sutki chust...

*

Zbrodniarz miał twarz Brada, czyli idioty. Zadziorną, lekko cwaniacką i nie napasioną wrażeń. Ot, szczeniak bez miejsca przy budzie. Benedykt wypatrzył go w chwili, gdy przekroczył próg sypialni. Na tle światła ulicznej latarni wyraźnie rysowała się zgarbiona sylwetka z *prętem* w dłoni. Zaraz potem wyłonił się następny. Jego twarz również zapamiętał. Wyglądał jak Eric, czyli debil. Śmierdzieli piwem i znajdowali się na jego terenie. Nikt ich nie zapraszał. Na nieszczęście działo się to w państwie, w którym bardzo nie podobała się obrona konieczna. Dom - jak sobie wyobrażano - wcale nie musiał być czymś zamkiem. Ba, niektórzy specjaliści od prawa twierdzili, że najlepiej dać się po prostu upierdolić (*tak, tak, celowo użyłem tego brzydkiego słowa*) we własnym łóżku, wtedy znikną wszystkie potencjalne problemy. Benedykt miał to głęboko w dupie. Pod jego poduszką leżał załadowany glock i czekał na taką właśnie okazję. Zapalił lampkę przy łóżku i spokojnie zapytał:

- Panowie do kogo?

Dwaj nie przewidziani goście niemalże w tej samej chwili rzucili się na niego. Benedykt wygarnął do nich jak do *tarczy*. Kiedy zwalili się z dziurkami w brzuchach, wstał i podszedł

bliżej. Jeden jeszcze się ruszał. Niepotrzebnie. Kolejna kula z glocka utkwiała mu między oczami. Ścierwo, pokiwał głową Benedykt, śmierdzące, roszczeniowe ścierwo. Nie domyta, debilna kurwa (*Benedykt dopiero teraz pozwalał sobie na przymiotniki*) z mózdzkiem jak królicze genitalia. Wykreślił numer policji i bez emocji poinformował o dwóch trupach.

- Policja? To dobrze. Przed chwilą zastrzeliłem dwóch obszczy murów, których do siebie nie zapraszałem... Tak, nie żyją. Weszli przez okno i przynieśli ze sobą prezenty... Nie, nie żartuję sobie. Przynieśli metalowe pręty, którymi chcieli mnie zatłuc. Sprzątnijcie tę padlinę...

Benedykt pokiwał głową i skasował obraz na monitorze. Po takiej zabawie mógł przystąpić do pisania scenariusza. Lubił bywać sprawiedliwy i nigdy się nie litował. Kreował sytuacje, o których czytał lub słyszał w telewizji. Prywatnie, w ciszy pokoju, toczył sugestywną wojnę z hołotą świata. Likwidował, likwidował i likwidował. Oczyszczał więzienia i ulice, nikogo nie usprawiedliwiał ciężkim dzieciństwem, dbał o satysfakcję pokrzywdzonych i czuł się doskonale. *No, no, no, ale historia!* Na monitorze komputera pojawili się bohaterowie...

*

Antoni Gabler usychał. *Czyżbyśmy czytali podręcznik do biologii?* Spotkał kobietę, która znajdowała się poza jakimkolwiek zasięgiem. Później przez czterdzieści lat wypatrywał jej w kościołach i kaplicach świata. Podróżował za nią, prowokując hierarchię zakonu do niezwykłej wyrozumiałości. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, miał niecałe trzydzieści lat. *Gdyby miał dwadzieścia, mogłoby mu urwać jaja. I co wtedy?*

W Paryżu znajdował się po raz czwarty. Po wspólnej modlitwie udał się na kolację. Początkowo patrzył wyłącznie w talerz i jadł kielbaski, zagryzając je chlebem od Lionela Poilane'a. Poczestunek paryskich mnichów był prosty, a zarazem wyszukany. Najwyraźniej gospodarze chcieli zostawić w pamięci zagranicznych gości sentyment do francuskich potraw i gościnności. Oczy podniesione znad talerza, oczarowane jeszcze przed

kilkoma sekundami firmowym kwadratem narysowanym na każdym chlebie, natrafiły na profil dwudziestoletniej zakonnicy. *Mój Boże, co za scena!* Wtedy właśnie serce brata Antoniego zaczęło szybciej uderzać. Przestał jeść, przestał myśleć, przestał zwracać uwagę na rozmowy i spojrzenia przy stole...

Słowa nie były potrzebne. Wystarczyło, że popatrzyli sobie w oczy. Jej były duże i ciemne. Przewierciły brata Antoniego niemalże na wylot. *Szkoda, że Edith Piaf nic o tym nie wiedziała. Zupełnie inaczej mogłoby się to wszystko potoczyć. Szkoda...* Zapamiętał jej wąskie dłonie, starannie obcięte paznokcie, idealnie regularne rysy twarzy. Skurczył się, kiedy wstała od stołu i wraz z kilkoma innymi zakonnicami ruszyła w stronę wyjścia. Jej biodra w naturalny i elektryzujący sposób akcentowały każdy krok. Plecy były wyprostowane, a materiał naciągnięty na piersiach zdradzał zgrabny i duży biust. Uwadze mnicha nie uszły także kształtne kostki młodej zakonnicy. *No, to już chyba żart!* Marzenia wyłoniły się same, uderzyły nagle i pozostały. Zakonnik wrócił do klasztoru i próbował zapomnieć. Nie znalazł ani wyciszenia, ani równowagi. Jego mózg stopniowo poddawał się szaleństwu. Potem przyszła pora na egzorcyzmy...

Upodobanie do slipek może przybierać niekiedy formy karykaturalne. Przez to również wspaniałe. Ta nieskomplikowana, ale dla niektórych niezbędna część garderoby potrafi urosnąć nawet do rangi symbolu lub - co jeszcze dziwniejsze - fetysza. Doświadczył tego pewien zubożały polski szlachcic, kiedy po blisko dwudziestu latach jego przetarte slipy zostały rzucone na podłogę domku kempingowego. Kolor, materiał i krój nie działały już na nikogo. Slipy te, zwane bardziej trafnie nachami, przeżarte zostały przez słońce i fale „złotego okresu komunizmu”, przez rozmaite „hulaj dusza!”, przez obstrukcje „stanu wojennego” oraz pogrzeb berlińskiego muru. Zapocone aż do niewiarygodności jęczały w hotelach Krymu i Złotych Piasków, uwodziły nudystki w namiotach nad Balatonem, gubiły się w samolotach do Tokio, Hongkongu i Moskwy.

Ich właściciel był znanym w środowisku „korpulentem” nafaszerowanym komunistyczną turystyką. Zawsze po dużym żarciu oddalał się w ustronne miejsca i ćwiczył bączki z uwielbianymi slipami. Ileż to razy elastik slipów wydymał się z pożądania? Ileż razy ocierał się o nagie uda koleżanek? Jak wspaniale leżakował w pianach najtańszych proszków do prania?

Po latach, kiedy slipy skamlały na podłodze domku kempingowego, a własny syn bohatera nazywał je ścierwem, nastąpiło cudowne odrodzenie. *Co szczególnego kryje się w historii starych majtek? Czy równie dobrze mógłby to być na przykład grzebień lub szelki? Fascynacja intymnością nadaje tej części garderoby wyjątkowe znaczenie. Porównywalne może tylko ze stanikiem i matczynymi, niezapomnianymi laktacjami...* Młodość wróciła z ohydną siłą i sprawiła, że slipy znów przylgnęły do pośladek właściciela. Rozpoczął się kolejny etap przejrzenia materii, nasycania wyblakłych krążków nowymi jadami, etap kłamstwa i obłudy, etap pompowania przyjaciół, którzy znali prawdę, a lepiej, żeby nie wiedzieli...

Historia slipów zubożalego szlachcica, ulubieńca komunistycznej turystyki i marnych toalet rozgrywa się na naszych oczach. Widzimy go codziennie. Przemierza trawniki, chodniki i korytarze. Jest najwstydlivszym tchnieniem buduarów, jęzorem ciała, które okupuje nawet osrane trawniki.

Nieraz kult rzeczy staje się irracjonalny. Ktoś pielęgnuje fajkę, ktoś wazon, a jeszcze ktoś nóż do papieru... Każde z tych zbliżeń ma swoją historię. Inne jest zaangażowanie, inna prywatność. Konotacje wokół slipów mogą usatysfakcjonować nawet debila, który rozciąga gumę i drapie się w rów. To skryte tekstylium może równie łatwo wywołać rumieniec na twarzy porządnej starej panny, jak rozbrykanej masturbantki. Tam, w zakamarkach nigdy nie prasowanych fałd, mieszka bez wyjątku wyobraźnia ludzi. Być może opowieści o slipach królów, modelek, prezydentów lub prostytutek smakowałyby przemijanie inaczej. Tak pięknie widać z nietypowej perspektywy. Gdyby slipy

znalazły swoje usta, co takiego szeptałyby do uszka? Slipy bez strachu, slipy bez barwy, slipy śmierdzące jak proch w wilgotnych otworach, slipy toczące wizje z ust szlachcica...

A kiedy nadejdzie dzień ostatni, nie pomoże już żadne kłamstwo. Slipy rozpadną się na ususzonej ze starości dupie i zostanie tylko mit. Wówczas to nowo narodzone dzieci zaczną blednąć i skrzypieć pośladkami z tęsknoty za slipami, które tak doskonale służyły. Historia, która potrzebuje archetypów, inicjuje zdziwienia, klótnie i plotki. Na lemat. Czasami pozostaje na zawsze tylko w encyklopediach. W tym przypadku powinniśmy być przygotowani. Dla dobra sztuki i dla dobra iluzji.

*

Jako Żyd wstydzę się, że jestem zdolny, sprytny i niezniszczalny. Nie potrafię myśleć o mojej miłości do pieniądza i umiejętności kreowania sztuki. Co za pech, że to właśnie mnie oskarżają o wszystkie bezeceństwa tu, tam i gdziekolwiek. *Czy to aby nie przeznaczenie?* Być może świat nie potrafi zrozumieć, że składa się z mądrych i głupich. Jaką winę ponoszę za geniusz rabinów, za wiarę wywiedzioną od Jezusa-Żyda, za talent wysysany z mlekiem matek? Czołgam się zatem zakamarkami historii, doświadczam miecza chrześcijan i muzułmanów, przekradam się pod obcymi nazwiskami, pilnuję śladów własnej krwi. Czasami jestem na siebie zdenerwowany. Za to, że bywam głupi i śmierdzę czosnkiem. Za to, że nie potrafię pomóc takim jak ja; zbyt dużo wiem, aby zmieścić się przy stole. Na szczęście wiem, co znaczy przyzwoitość. Nigdy nie skrzywdzę swojego. To właśnie jest tajemnica ciągłości, tajemnica przetrwania wśród ostów.

Rozumiem dobrze tego głupiego. On chce tak samo jak ja; wiedzieć tak samo dużo, rozumieć tak samo szybko, widzieć tak samo celnie, pamiętać tak samo długo, zdobywać tak samo intensywnie, posiadać tak samo wygodnie, tak samo trwale, tak samo dostatnio... Ale to nic nie znaczy. Całe życie składa się ze słowa „chcieć”. Tak samo rodzę się ja, tak samo Amerykanin, Niemiec, Polak, Francuz lub Rosjanin. Z tym samym „chcę”

zaczynamy ssać matkę.

Doświadczenie uczy prostej prawdy: mój naród jest jak rodzina. Potem bywam bankierem, wydawcą, politykiem, pisarzem, dziennikarzem, menadżerem, producentem, reżyserem, aktorem, lekarzem, prawnikiem lub profesorem. Rzadziej staję się rolnikiem, robotnikiem, mleczarzem, mechanikiem lub hutnikiem. Procentowo. Dlatego kredyt, jakiego sobie udzieliłem, jest tak cholernie wielki i tak bardzo doskwiera. Bywam kimś wbrew upodobaniom i nie mam zamiaru przestać. Pusta droga zaprasza do podróży. Zdarza mi się ujeździć hucpę aż do ochwacenia i wtedy właśnie słyszę głosy spoza stada. Jestem dobrym człowiekiem. Wsiadajcie, wsiadajcie, mówię, garbiąc się pokornie. A kiedy już jadą, zaczyna się podglądanie. I jak mam im wyjaśnić, co czuje pomysłowy, obrzezany Żyd? Mam im śpiewać, że to wszystko dla higieny?

*

Tego dnia biblioteka wyglądała jak wymarła. Ostatni dzień przed długą, wakacyjną przerwą nie zachęcał do odwiedzin. Mężczyzna był jedynym, który zaraz po otwarciu pojawił się w olbrzymiej czytelni. Dokuczał mu upał i zbyt ciasne spodnie. Piły go w krocze i sprowadzały myśli do jednego. Poprawiał się co kilkanaście sekund na skrzypiącym krześle i strzelał oczami w stronę dyżurnej bibliotekarki. Widział siwe włosy zaczesane płasko wokół głowy i szary kostium przyzwoicie zapięty pod samą szyję. Udawała, że go nie widzi i nie słyszy. Cicho przekładała woluminy, ani na chwilę nie podnosząc oczu. Jeżeli była to gra, to z pewnością opanowana po mistrzowsku. Mężczyzna nie pisał, czał się do skoku. Pocierał palcami stukartkowy zeszyt, bawił się długopisem i czekał na sygnał z mózgu. Po pół godzinie do czytelni przyszła samotna licealistka. Pierwsza, a może druga klasa, ocenił mężczyzna. Wpił się w nią oczami i odgadywał każde zawirowanie jej ciała. Zeszyt znów dopominał się o swoją dawkę sprośności. Obsceniczność, wulgaryzm, ekshibicjonizm. To wszystko przed nim. I długopis poleciał niczym najebany bąk...

Czarne myśli przywiodły mężczyznę na skraj. Nie potrafił

wrócić do wakacyjnego pomostu, nie chciał już patrzeć na licealistkę, potrzebował spokoju. Zmęczenie obscenicznymi wizjami pchało go w nieprzyjemnym kierunku. Drżącymi rękami zamknął zeszyt i schował długopis. Skurczył się i krok za krokiem ruszył do wyjścia. Bibliotekarka dopiero teraz odważyła się dyskretnie spojrzeć mu w plecy. Nie wiedziała, o czym pisze, ale instynktownie odgadywała chorobę. Licealistka nawet się nie obejrzała. Wyobraźnia mężczyzny była wulgarna, ale bezpieczna. Pasowała do świata jak ulał. Kiedy mężczyzna znalazł się na ulicy, uleciał z niego seksus, uleciał łobuz, uleciał arogant i cham. Wypalony podążał tramwajem do domu. Tylko jego oczy wyrażały żal. Zanim wszedł do swojego mieszkania, zobaczył takie same oczy i poczuł się lepiej. Kaleka na wózku wiedział to wszystko, co on. Kilkaście metrów dalej biła się grupa wyrostków i przeklinała każdy detal życia. Mężczyzna odwrócił się ze wstrętem. Nienawidził ich i błogosławił. Ten smak... Dzięki nim. Wielkie nic, które w głowie nabierało rozpędu. Tylko tam pasowało do życia i Bóg mógł je zrozumieć. Tylko tam, tylko tam mogło być prawdę.

*

Jakub von Klaust stał przed kliniką i czekał na efekt. Jak zwykle palił swoją hiszpańską cygaretkę i wspierał się lekko na lasce z rączką z macicy perłowej. Umierał, teraz nie miał już wątpliwości. Szczęściarz wypalił się prawie do końca. Było mu żal. Wszystkiego. Rejsów transatlantykami, wschodów słońca w stolicach świata, porannego zapachu powietrza po nocy spędzonej na safari, intrygującego spojrzenia kobiet, które na krótko uszczęśliwiał. Brakowało mu szelestu banknotów, gdy nie mógł płacić kartami kredytowymi, hoteli i bankietów, na których przyćmiewał nawet gwiazdy kina... Szczęściarz przychodził i błyszczał. Imponował tym, że po prostu był. Nieodgadnione koleje ludzkiej fascynacji nakazywały go podziwiać, zazdrościć, kochać i nienawidzić. Bez odpowiedzi. Przypominało to głód i nienasycenie. Potem nad-

chodził koniec. Niektórzy - podobni - strzelali sobie w głowę, inni topili się w oceanach lub wannach, pozostali znikali rażeni śmiertelną chorobą. Tak jak on.

Von Klaust bawił się po raz ostatni. Może nawet odczuwał pewnego rodzaju satysfakcję na myśl o kolejnym spełnieniu. Podjął wyzwanie i nie mógł zrezygnować. Jasnowidz przyniósł ze sobą ciekawość. Przypominał o młodości i zrealizowanych marzeniach.

Klinikę profesora Orama otaczała elektryzująca aura cudu. Powszechnie wierzono, że stosowane tam zabiegi przywracają ludziom młodość i dają piękno. Za kilka minut von Klaust miał się przekonać, czy jego wybór był słuszny. Był podniecony jak nałogowy koneser sztuki czekający niecierpliwie na aukcję.

Zobaczył Bykowskiego jeszcze na progu kliniki. To wystarczyło. Syn dobrej kobiety i alkoholika poruszał się z wdziękiem arystokraty. Von Klaust częściowo mógł to przypisać sobie. Przez pół roku pracował nad detalami i teraz mógł je zobaczyć i ocenić. Chodzenie. Stawianie stóp, kołysanie ciałem, ruch pośladków, ramion i szyi. Sposób poprawiania marynarki lub płaszcza, odwracania głowy i patrzenia na ludzi. Przed pójściem do kliniki Bykowski został ułożony. Godzina po godzinie uczył się jeść, pić, poruszać i mówić. Słuchał von Klausta i z uporem szaleńca przyswajał każdą sugestię. Dzień po dniu uzmysławiał sobie, że był nikim. Przyzwyczajał się do myśli, że dar został mu dany przez przypadek. Niczym na to nie zasłużył. Von Klaus oczywiście nigdy mu tego nie powiedział, raczej w każdej minucie udowadniał.

Na twarzy von Klausta pojawił się cień uśmiechu. Mężczyzna, który zmierzał w jego stronę, w niczym nie przypominał dawnego Jana Bykowskiego. Ubranie szyte na miarę, płaszcz kupiony w najlepszym salonie Paryża, buty opowiadające już na pierwszy rzut oka historię dobrego smaku oraz zegarek i sygnet z nie wiadomo czym herbem - to musiało zwracać uwagę. W tym miejscu kończył się von Klaust i zaczynał profesor Oram.

Nowe włosy, nowy kolor i fryzura. Nowe usta, nos i kształt oczu. Inne policzki i mniej odstające uszy. Zmieniona linia

ramion, brzucha, pośladków i ud. Wymyślona specjalnie dla niego broda i gładkość czoła. Spojrzenie von Klausta zatrzymało się na dłoniach. Wystarczająco długo, aby stwierdzić, że dzieło zostało zakończone. Na jednej z ulic Zurichu stali teraz dwaj dżentelmeni, zwracający uwagę samą obecnością.

- Czytałeś? - przywitał się z mimowolną rezerwą von Klaust.

- Wszystko - odpowiedział z identyczną rezerwą Bykowski.

Obaj ruszyli wolno w stronę centrum.

- Zastanawiam się, w jaki sposób mógłbyś to podsumować?

- rzucił przed siebie von Klaust. Przyglądał się twarzy Bykowskiego, uporczywie starał się znaleźć jakiś błąd, coś, co przypominałoby dawnego jasnowidza. Oceniał mimikę.

- Tego nie można podsumować - zaczął powoli Bykowski.

- Normalnie udaje się niewiele. Po co pytać? Zostałem przez ciebie wymyślony. Jestem przystojnym, eleganckim facetem z klasą. Mogłem ci zaufać, ponieważ znam twoją godzinę... Niestety, nie mogę ingerować w twoje szczęście. Tego nie mogę przewidzieć. Żaden jasnowidz nie zmierzy się z tajemnicą szczęścia. Tylko wy to wiecie, chociaż... Myślę, że wy również nie znacie odpowiedzi. Tak jak my...

Oczy von Klausta prześliznęły się po drzwiach prowadzących do mijanej właśnie ekskluzywnej restauracji. Bolało go.

Znów odczuwał upływ czasu. Od ich pierwszego spotkania minęło przeszło sześć miesięcy i zbliżał się termin. Poza tym zdarzyło się coś, czego nie przewidział. Ani on, ani Bykowski. Szczęściarz nie był jednak pewien, czy jasnowidz nie wiedział.

- Na lotnisko - wtrącił nagle Bykowski. - Zjemy w samolocie...

W taksówce Bykowski nie odzywał się. Przeglądał miejscową gazetę. W klinice uczono go niemieckiego. Non stop. Von Klaust uważał, że tego języka należy się nauczyć przede wszystkim. Przynajmniej podstaw. To było pierwsze nieuczciwe zagranie wobec jasnowidza.

- Wszystko jasne? - zapytał cicho von Klaust.

- Wszystko - odpowiedział tak samo cicho Bykowski. Czytał, pokiwał głową szczęściarz. Jasnowidz był bardzo utalentowany, bardziej, niż można było to sobie wyobrazić przy pierwszym spotkaniu. Poza tym wyraźnie się zmienił. Miał dystans,

rezerwę, pewność. Skąd to przyszło? - zastanawiał się von Klaust. Wygląd? Rzeczywiście fascynujący. Nawet barwa skóry. Jasnobrązowa, idealnie gładka, zachęcająca do dotykania. Von Klaust wymyślił Bykowskiego jako swoją ulepszoną kopię. Zaprojektował obraz, który profesor Oram idealnie ukształtował.

- To proste - odezwał się nagle jasnowidz. Nawet nie podniósł głowy znad gazety. - Pieniądze. Mam pieniądze. Dużo. Tak dużo, że nie muszę o nich w ogóle myśleć. Jestem kimś i nic nie zmusza mnie, żebym to udowadniał...

- Tak, oczywiście - mruknął von Klaust. Był trochę przestraszony. Bykowski czytał w myślach. Przerazająco łatwo odgadł nie wypowiedziane na głos pytanie. Chyba jednak o czymś zapomniał... Szczęściarz nie zawahał się. Kiedyś na pewno by tak nie powiedział. Teraz miał coraz mniej czasu na subtelności.

- A twoje pochodzenie? Bez kompleksów?

- Myślę nad tym. - Oczy Bykowskiego również się zmieniły. Pozostał ten sam kolor, ale nabrały wyrazu. Prowincjonalny głodomór gdzieś zniknął. - To wymaga czasu...

Jeszcze w samolocie przez prawie pół godziny na ustach von Klausta igrał uśmiezek zadowolenia. Pochodzenia nie można było wyeliminować. Z tym nawet szczęściarze sobie nie radzili. Dlatego niektórzy szybko umierali. Genialne dzieci, ginące w wypadkach lub katastrofach.

Na lotnisku w Warszawie czekał na nich nowy model sportowego volvo. Szczęściarz kupił go dla Bykowskiego. Ofiarował jasnowidzowi olbrzymi majątek, ale nie zamierzał przestać za wszystko płacić. Zostawił sobie chociaż tę satysfakcję. Pracownik firmy Volvo czekał na nich blisko dworca. Wręczył im kluczyki i uśmiechnął się. Jeszcze jeden sympatyczny, prowincjonalny głodomór, przemknęło przez myśl von Klaustowi.

Jasnowidz kierował. Niezbyt pewnie, ale uważnie. Szczęściarz zafundował mu zaraz na wstępie znajomości przyspieszony kurs prawa jazdy. Von Klaust wyczuwał, że od chwili spotkania przed kliniką w Zurychu coś było nie tak. Wyobrażał sobie, że Bykowski wie i cierpliwie czeka na wyjaśnienia.

- Wiesz, czy tylko udajesz? - zdecydował się zapytać von Klaust.
- Chcesz o tym mówić? - odpowiedział pytaniem Bykowski.

- Wiem tylko to, że chcesz mi o czymś powiedzieć...

Von Klaust odetchnął. Głośno, tak żeby jego przeznaczenie słyszało. Więc jednak nie wiedział.

- Chcę ją zobaczyć - odezwał się znów Bykowski. - Muszę ją zobaczyć. Natychmiast...

- Jedź na Marszałkowską - szepnął von Klaust. - Pokażę ci, gdzie mieszka. Kupiła dom, bywa na przyjęciach... Zna całą pierwszą ligę. Polityków, artystów, wydawców, dziennikarzy i bankierów...

- Bankierów? - zdziwił się Bykowski. - Przecież to cholernie nudni goście.

- Niezupełnie - zaprzeczył spokojnie von Klaust. Znów czuł swoją przewagę. - To ludzie, z którymi można robić duże pieniądze. Szybkie i prawdziwe. Świat operuje kapitałami i warto umieć z tego korzystać. No, chyba że ktoś już ma pieniądze...

Bykowski potwierdził skinieniem głowy. Pięknie to zrobił, stwierdził von Klaust. Nonszalancko i ... arystokratycznie. Trochę to szczęściarza zabolalo. Operacje zostały wykonane po mistrzowsku.

- Czy po zabiegach zostały jakieś ślady? - zapytał wprost von Klaust.

- Prawie niewidoczne. - Zęby Bykowskiego zostawiły w powietrzu biel uśmiechu. - Niektóre znikają, inne są zaledwie cienką linią...

- Tutaj. - Von Klaust pokazał Bykowskiemu niewielki dom z dala od ulicy. - Możemy wejść. Przedstawię cię...

- Tak? - zdziwił się nazbyt energicznie jasnowidz. Nie wyglądało to dobrze. Gdzieś w oddali szczęściarz wyczuł prowincjonalną zadyszkę. Zbyt mało czasu nie pozwoliło im potrenować. W sprawach uczuć Bykowski mógł się okazać kompletnie zielonym graczem. W dodatku nie miał jeszcze kobiety. Nigdy, jak sam powiedział.

- Pracowałem nad tym i jestem z nią zaprzyjaźniony - wyjaśnił von Klaust. - Znamy tych samych ludzi... No, prawie tych

samych... - poprawił się z nie ukrywaną wyższością. Przy Bykowskim starał się rozluźnić, nie eksploatować nadmiernie swojego stylu. Wiedział, że dawał w ten sposób nie najlepszy przykład, ale nie zdobył się na nic innego. Jasnowidz musiał wypracować swój własny styl.

- Nie - odpowiedział zaskakująco przytomnie Bykowski.

- Jedziemy do ciebie... Przepraszam, do mnie. Czy mój dom jest ładny?

- Jedź - zawiesił głos von Klaust. - Twój dom jest piękny. Sam go wybierałem. Urządziłem cię trochę na wyrost, ale mam nadzieję, że mi to wybaczysz. Masz dwa samochody. Drugi to terenowy landrover. Kupiłem ci ubrania, dobrałem zasłony i zaprojektowałem sypialnię...

- Świetnie. To ważne miejsce - zaśmiał się sucho Bykowski.

- Czy załatwisz mi dziewczynę, która nauczy mnie miłości? Piękną, delikatną i mądrą. Teorię znam i pamiętam, co mi mówiłeś...

- Ona czeka. - Twarz von Klausta nie wiadomo dlaczego posmutniała. W środku zaczęło go boleć. Gasł. Z każdą sekundą oddalał się od swojego szczęścia. Nawet kobiety nie rozpały go tak jak kiedyś. Teraz jednak zazdrościł Bykowskiemu. Tego pierwszego razu. Tylko on wiedział, ile trudu kosztowało go znalezienie odpowiedniej partnerki. Tylko dzięki niemu w domu jasnowidza czekała dziewczyna, od której na plażach i ulicach nie można było oderwać wzroku. Została zrobiona z podobnej gliny, co Bykowski. Pracowały nad tym inne kobiety i inni mężczyźni. „Górna półka.” Odrażająca czasami, ale górna. W sypialni Bykowski zatrzymał się i powoli ogarnął wzrokiem całość. Półcień, dyskrecja, wielkie łóżce i klimat zatrzymanego czasu. Dziewczyna stała w poświęceniu słońca zza firanki. Stosowała stary i sprawdzony chwyt. Miała na sobie tylko kuszą halkę w białym, niewinnym kolorze. Kiedy odwróciła głowę, a jej bujne loki rozsypały się wokół ramion, Bykowski przestał czytać jej przeznaczenie. Odciał się i pozwolił unosić pożądaniu. Szła do niego, a pod przeźroczystą halką tańczyły dwie brzoskwińowe piersi...

- Chcę ci podziękować - odezwał się jasnowidz, wychodząc spod

prysznic do salonu. - Dziewczyna, którą mi przysłałeś, była fajna...

- Cyt, cyt - przerwał z niesmakiem szczęściarz. - Złe słowo. Spłaszycie wszystko, co przeżyłeś. Ona była niezwykła, cudowna, niezemska, wspaniała, niesamowita, a nawet eksplodująca... Tak mi się wydaje - zakończył von Klaust, znów przenosząc wzrok na gazetę. Bał się, że Bykowski w końcu odgadnie prawdę. A może się nie bał, może po prostu tego nie chciał. Jasnowidze nie byli wygodnymi przyjaciółmi. Okradali z prywatności i tak naprawdę mogli zabijać słowami.

- Pojedziemy? - Bykowski stał w oknie prowadzącym na taras i obserwował drzewa w ogrodzie.

Jechali. Do niej. Do pięknej Ewy. Do kobiety, która mogła zniszczyć nadzieje jasnowidza. Być może mogła więcej. Może zabić? Jechali na prywatne przyjęcie urządzone przez Ewę, kochankę mężczyzny z lamborgini. Bykowski nie myślał o tym. Rozważał to von Klaust. Miał przeczucie, że właśnie ta kobieta przyniosła tamtemu mężczyźnie śmierć.

*

Cywilizacja starych rodzin... Poza zielonymi trawnikami, zacajona w drzewach i ciągnących się prawie w nieskończoność pokojach. W zakątkach Wielkiej Brytanii, na obszarach Ameryki, na ślepych drogach Europy, pod palmami egzotycznych wysepek lub w postkolonialnej Afryce i Azji. Rodziny królów, książąt, parów, sułtanów, hrabiów czy margrabiów, rodziny bankierów i przemysłowców, rodziny wielkich posiadaczy ziemskich, rodziny kąpiące się w ropie lub złożach diamentów... *Na pocieszenie można powiedzieć, że płsa wśród nich wielu idiotów. Z drugiej strony - czy to jest naprawdę pocieszenie? Najważniejsze, że mózgi wygadanych parweniuszy trawią wszystko.* Grupa najobojętniejszych śpiochów historii, odgrodzona i zakochana w stagnacji, nienawidząca zmian i prozaicznych pytań, szczęśliwa do niewyobrażenia codziennością kamerdynerów i służących, kierowców i sekretarek, administratorów i ochroniarzy. Chwila narodzin i obojętność dorastania. Obcojęzyczne gu-

wernantki i samotne bony. Wreszcie wiadome szkoły, w których na ścianach wiszą zdjęcia pradziadka, dziadka, ojca oraz wujków i braci. Zimny, samonapędzający się kapitał. Bez smrodu, bez chamstwa, bez nędzy i spoconych twarzy. *I to jest wspaniale! Co ma jednak zrobić ten, któremu los dał duszę arystokraty, a ciało pozwolił urodzić się w nędzy?* Rodziny poukładane za czarnymi szybami rolls-royce'ów, odmierzające swoje kroki uważnie niczym żalobny kondukt. Przyzwyczajone do gazet, telewizji i radia, prężące się na uroczystościach i w pałacach.

Nogi królowych i księżniczek wystukują kilometry wspomnień. Stłuczone kolano, pierwszy pocałunek w parku, ślub, który nie mógł się nie odbyć, narodziny dzieci i emocje ich dorastania. Nogi, które tak pięknie tańczyły, tak szybko pływały i tak mocno kochały. Powstania i rewolucje rozpięte na skórze łydek i kolan. I ten ból, że ktoś odchodzi i zostają pałace. Stare rodziny mają w oczach upór maratończyka, nie oglądają się, to przeszłość je dogania i nie pozwala zapomnieć. Wywiedzione z dziecinnej beztroski poczucie bezpieczeństwa bliskie jest śmiertelnemu znudzeniu. Dlatego obrazy, dlatego podróże, dlatego przyjęcia i apetyt ponad miarę. Cywilizacja starych rodzin... Niepojęta dla sprzedawcy warzyw lub ulicznej prostytutki. Niedostępna dla bogatych nuworyszki i najzdrowszych cwaniaków. Cywilizacja czasami tylko patrząca w gwiazdy, które przepowiadają koniec.

Młodzi ludzie krzyczą dla idei? Rzucają cegłówkami i podpalają samochody? Religijne hordy skazują obojętnych? Samotność zatacza te same kręgi i tak samo pokazuje łyzy. Cywilizacja starych rodzin to ignoruje. Jest jak marmurowy pośladek skierowany prosto w słońce. Tak wygląda najbardziej optymistyczny kształt świata. Dalej jest już tylko muzyka...

*

Wędrowiec Robert Blumstein pochylał się nad podłogą i tak naprawdę nic nie czuł. Miał ciało, które robiło, co chciało, i funkcjonowało poza umysłem. Pielęgniarka zauważyła go i podeszła bliżej. Była młoda i świeża. Patrzyła z dziecięcą odrazą

na cieknącą z ust Wędrowca ślinę. *Cóż, to normalne. Nikt zdrowy nie pozostaje obojętny na widok flegmy. Żadna miłość nie karmi się takimi widokami.* Jej czarne, wilgotne oczy zachowywały się jak w kinie. W końcu pochyliła się i unikając nadmiernego kontaktu, poprawiła zwieszoną głowę i barki. Chwilę potem udała się do łazienki. Od tego ranka duszny, lekko słodkawy, starczy zapach Wędrowca ciągnął się za nią przez całe życie. *Nie ma co ukrywać, że nawet najlepiej umyte życie szybko zaczyna śmierdzieć. Wonie potrafią być takie bezlitosne... A tak szczerze, to z kim można sobie na ten temat przyjemnie porozmawiać? Kto jest najbardziej kompetentny? Pracownik departamentu oczyszczania miasta, chirurg czy może dentysta?* Czas i przestrzeń pięknej pielęgniarki zaledwie się

o Blumsteina otarły. Dziewczyna należała do codzienności i taka miała pozostać aż do śmierci. Tylko Wędrowiec przeżywał swój sen...

Piąte zdziwienie. Na olbrzymiej równinie powstawało miasto. Tysiące ludzi udawało się do centrum, gdzie budowano wieżę. Bez nienawiści i w zgodzie podawano sobie kolejne cegły. Słowa rzucane z góry były rozumiane na dole. Wędrowiec zatrzymał się w cieniu wieży i podziwiał rosnącego kolosa. Widział uśmiechnięte usta i rozumiał wypowiedane zdania. Jego wyobraźnia zamarła w spokojnej niszy. Po raz pierwszy odczuwał siłę nieskończonych możliwości i dostrzegał cel. *Taki stan powinien wzbudzić w nim nieufność. Coś to za gładko szło...* Nie wyobrażał sobie, że ludzie do tego stopnia mogą być razem. Nawet ci, którzy nie lubili poufałości, odnajdowali się w bliskości wieży. Geniusz Boskiego stworzenia wybuchął na oczach Wędrowca. Miasto Babel kwitło.

Bóg pojawił się nagle. *A swoją drogą ciekawe, czy kiedykolwiek pojawiał się powoli?* Pomieszał języki i sprawił, że budowa stała się niemożliwa. Wędrowiec patrzył na upadek wieży i nie rozumiał. Dlaczego Bóg uczynił człowieka słabszym? Dlaczego optymistyczną ideę wspólnoty i zrozumienia zamienił w obcość i zagubienie? Może dostrzegał, że u kresu nieskończonych ludzkich możliwości kryje się niedoskonała

natura? Czy ograniczenie czyni jednostkę lepszą, nie pozwala na nadmierną pychę i zbrodnicze, egoistyczne ambicje? A zatem strach przed Bogiem ma być wartościowszy od poczucia własnej siły? Bóg jako ostatnia nadzieja? Miłość z poczucia marności? Wędrowiec gubił się w domysłach, obserwując odchodzących z tobołami ludzi. Dzielili się na grupy i według języka.

Oczy Wędrowca poszybowwały ku górze. Bóg odszedł. Został człowiek. Często głupi, zachłanny, agresywny, próżny, plugawy i pyszny. Może to właśnie nakazało Bogu utrudnić ludziom porozumienie? Blumstein cofnął się na moment do pierwszego nieporozumienia. Do Raju. Miał wrażenie, że zaczyna rozumieć... *Ciekawość*. Czy to nie było to? Tam, gdzie pojawiała się ciekawość, Bóg ingerował. Pokazywał swoją siłę. Wędrowiec zadumał się. Myślał o tych, którzy urodzili się mądrzy, dobrzy, wrażliwi i inteligentni. Czy pomieszanie języków nie rzuciło ich na kolana? Czy Bóg nie dał szansy prymitywnym i gruboskórnym? A może tylko w ten sposób dobro potrafi zwyciężyć? Może inteligencja potrzebuje ciągłej konfrontacji, zderzania się ze śmiercią, chorobami i głodem? *Powiedzmy... Może Bóg w ten sposób wypełnia własną inteligencję? Na obraz i podobieństwo. Może w tym sensie przyszłość jest dla Niego niespodzianką? Jedyńą, jakiej doświadcza i jaka Go interesuje?*

Wędrowiec Blumstein podniósł jedną z wypalonych cegieł. Stał teraz obok wieży, która rozpadła się przed setkami lat i zniknęła pod kępami chwastów. Wieża Babel. Problem. Dlaczego Bóg tak nierówno i niesprawiedliwie podzielił ludzkość? Dlaczego nie stworzył jej dobrej i samowystarczalnej, skoro widział niedoskonałość? Z własnej próżności? Z zemsty za grzech Ewy? Może dlatego, że docenił radość życia, jaka jest udziałem nawet najgłupszego? Może z tego właśnie wyrósł dar wędrowania i odrażające kalectwo ciał?

Wędrowiec cierpiał. Czy Bóg musiał ingerować w język, jeżeli na początku było słowo?

Szóste zdziwienie. Wędrowiec zatrzymał się na granicy pustyni i z zachwytem wpatrywał w przechodzącą obok niego kobietę.

Mimo zmęczenia była niewiarygodnie piękna. *Czy nie jest to przypadkiem jedyny rajujący widok na tym świecie?* Jej zapach pozostawił w powietrzu niewidzialny, zmysłowy tunel. Wędrowiec podążył za nią, wpatrując się w pociągające ruchy jej bioder. Towarzyszący kobiecie mężczyzna nie był ani piękny, ani przystojny.

Wędrowiec doskonale wiedział, kogo ma przed sobą. Abram i jego piękna żona, Saraj, uciekali przed głodem do Egiptu. Mężczyzna ze strachu przed śmiercią i nędzą nakazał żonie mówić, że jest jego siostrą. *Później się okaże, że to w tej rodzinie normalka. Syn Abrama, Izaak, również przedstawiał swoją żonę jako siostrę. Ze strachu przed ewentualnymi zalotnikami. Stwórca jednak nad nimi czuwał. Obaj zostali przyłapani i obaj...* Wędrowiec widział zachwyty faraona, zabierającego kobietę na swój dwór. Abram, jej mąż uważany za brata, chętnie na to przystał i bez żadnych oporów korzystał z darów faraona. Blumstein patrzył na to z odrazą. Nie lubił tchórzostwa. Zachowanie Abrama przypominało tani, kupiecki spryt. *Ale interes się kręcił, co?*

Zdumienie wędrowca Blumsteina było tym większe, gdy zobaczył cierpienia, jakimi Bóg ukarał faraona za zabranie Saraj. Władca Egiptu traktujący tę kobietę jak żonę, obdarowujący bogactwem jej rzekomego brata, został uznany za winnego. *No i proszę! Niezły numer.* Wędrowiec patrzył w niebo, a jego dusza krzyczała: Dlaczego? Dlaczego karzesz, Panie, niewinnego człowieka i jego poddanych? Przecież to Abram skłamał i sprzedał swoją żonę!

Faraon dowiedział się prawdy i z bólem zwrócił Abramowi Saraj. W dodatku obdarował go na drogę i nakazał bezpiecznie odprowadzić do granic Egiptu. *Gdzie teraz szukać takich ludzi? Czy przypadkiem nie żyją tylko w operach mydlanych i melodramatach?* Wędrowiec z podziwem i uznaniem patrzył na gest faraona. Niechętnie odprowadził wzrokiem oddalającą się karawanę. Czekał na reakcję Boga. Wydawało mu się, że w pyle pustynnego piasku zniknął tchórz, spryciarz i konformista. Odchodził z piękną i posłuszną żoną, z olbrzymim bogactwem i w asyście dworzan faraona. Wędrowiec nie potrafił nawet

zgodnąć, dlaczego Bóg wyróżnił kogoś takiego? Dlaczego ukarał faraona? *No właśnie. Co z tą sprawiedliwością?* Wędrowiec wpatrywał się w piasek i ze strachem myślał, że Bóg może mieć całkiem ludzkie nastroje i humory. Wstrząsnął się i najszybciej jak potrafił, oddalił od siebie przerażające przypuszczenie. Zrozumiał, że tak może wyglądać śmierć, że taka właśnie może być granica wyobraźni. Ruszył. On także został uwiedziony przez biodra. Saraj odchodziła. Marzył...

Siódme zdziwienie. Niełatwo było pozbyć się zauroczenia. Wędrowiec nie opuścił wymiaru Abrama i wędrował śladem jego kroków. Był świadkiem odwagi i poświęcenia.

Wędrowiec przeniknął nawet sen. *To brzmi jak niewiarygodny temat na film. Gdyby nie ciężenie, Blumstein nie wydawałby się zwyczajnym człowiekiem. Na szczęście co pewien czas zwiślał z krzesła.* Po raz kolejny poczuł się mały i nic nie znaczący. Bóg poinformował śpiącego Abrama, że przez czterysta lat jego potomkowie będą ciemieni. Wędrowiec odczytał to jako karę za sprzedanie Saraj. Nie potrafił jednak pojąć, dlaczego Abram miał żyć i umrzeć w spokoju, a nie narodzić jeszcze, niewinni ludzie, doświadczać bólu i cierpień? Nie rozumiał, dlaczego Bóg doświadczał człowieka za jego uczucia, wrażliwość i nadzieje. Dla Wędrowca tylko zło każdego z osobna mogło być uzasadnieniem kary. Zbiorowa odpowiedzialność krzyczała od nadmiaru okrucieństwa. Wędrowiec Blumstein miał uczucie, że długo jeszcze nie uwolni się od ruchu bioder Saraj...

*

Gdyby namalować strach ludzi na pokładzie tylko jednego lądującego samolotu, wówczas powstałby obraz, przy którym wyobraźnia popełniłaby samobójstwo. Prawdopodobnie byłby to widok na jeden raz. Śmiertelnie przerażający. O tym właśnie myślał Karol Sulikowski. Leciał do Warszawy i wyobrażał sobie swoich czytelników. Zostawiał za sobą kilka miesięcy przymusowego pobytu w Stanach i idiotyczną przepychankę amerykańskich prawników. Prokurator chciał go skazać na

śmierć. Takiej kary domagał się za zabicie trzech łobuzów. Tańczyły tysiące słów i popisy prawne. Wszystko na rachunek. Na szczęście znaleźli się tacy, którzy za to wszystko zapłacili. Sulikowski zdobył sławę, znacznie więcej niż milion dolarów i znienawidził prawo niemal tak samo jak przestępców.

Człowiek, który przywitał go na lotnisku, nazywał się Sylwester Pol i był dyrektorem największego polskiego wydawnictwa. Z wyglądu przypominał koguta. Długa szyja, szpiczasty nos, zapadnięte policzki i płonące, rude włosy od urodzenia wystawiały go na ciężką próbę. Przywitał się z Sulikowskim wylewnie i po słowiańsku. Objął za szyję, wyczałował w oba policzki i poklepał po plecach. Podobnie uściśnął agenta, który uśmiechał się tylko niepewnie i udawał, że taka konfidencja rzeczywiście mu odpowiada. Błysnęły flesze i pojawiły się pierwsze kamery telewizyjne. Coy spojrzął na Sulikowskiego, który skinął głową, że gotów jest na krótką rozmowę z dziennikarzami. *A co będzie, jeżeli zwycięży szaleństwo i wywiad wypadnie źle? Co grozi bogatemu pisarzowi, który zachowuje się nienormalnie? Nienawiść czy uwielbienie?*

- W jaki sposób udało się panu uniknąć kary śmierci za zamordowanie trzech młodych ludzi podczas pańskiego wieczoru autorskiego? - zaatakowała podstarzała reporterka z radiowym mikrofonem w dłoni. Sulikowski zdołał zauważyć, że pomiędzy jej przednimi zębami znalazła sobie miejsce całkiem figlarna diastema.

- Czy zawsze nosi pan przy sobie broń? - zawołał młody chłopak, ustawiając się profilem do kamery. - Co zrobi pan z pieniędzmi zarobionymi na swoim procesie? - pisnęła z boku dziewczyna ze szpetnymi bliznami po ospie. *No tak, dziennikarze również tęsknią za swoim milionem dolarów. Dlaczego by nie?*

- Czy korzysta pan z usług prostytutek? - krzyknął mężczyzna w eleganckim, czarnym garniturze. Nikt ze stojących w pobliżu ani przez moment nie miał wątpliwości, że sam pytający od takich usług nigdy nie stronił. *To niewątpliwie bardzo zdrowe. Poza tym daję gwarancję satysfakcji.*

Sulikowski podniósł dłoń, dając znak, że chce odpowiedzieć.

Coy i Pol zareagowali na to grymasem niepewności. Wokół dziennikarzy zebrał się spory tłumek. Sulikowski posłał wszystkim przeciągłe spojrzenie i chrząknął. Wiedział, że znali jego sprawę wyłącznie ze skąpych przedruków i czasami tendencyjnych relacji w mediach. Nie miał także wątpliwości, że dopiero wznowienie jego powieści uczyni go w Polsce sławnym. *Jemu chyba naprawdę odbiło, co?*

- Przede wszystkim dziękuję wam za zainteresowanie moją osobą - rozpoczął z prezydenckim uśmiechem. - Obiecuję wam, że na mojej książce się nie zawiedziecie. Nawet więcej. Będziecie nią zachwyceni. Potwierdzą to ci, którzy czytali pierwsze wydanie...

- Niech pan odpowie na pytania! - krzyknął ktoś z tyłu. *No proszę. Znalazł się jednak ktoś konkretny.*

- Zapytaliście mnie o dobrodziejstwo, jakim jest zawód prostytutki... - kontynuował Sulikowski. - Otóż tak, twierdzą, że ta niezwykle potrzebna instytucja wymaga poważnej reformy. Wierzę, że każde uczciwe państwo tworzy warunki prawne do rozwoju domów publicznych na rzeczywiście odpowiednim poziomie. Z czystymi pokojami, eleganckimi łazienkami, kulturalną i przyjazną obsługą i przede wszystkim z opieką wysoce kompetentnych lekarzy...

- A gdzie szacunek dla kobiecej godności? - przerwała mu oburzona staruszka z ikoną pod pachą. *Co za zdrowa, pozbawiona orgazmu, reakcja!*

- To piękne pytanie - uśmiechnął się do niej Sulikowski.

- Dziękuję za nie. Godność jest w każdym z nas. Przychodzi wtedy, gdy możemy wybierać. Jeżeli nędza nie zmusza nas do zadawania sobie śmierci, nie przynosi cierpienia i chorób. Są kobiety, które uprawiają ten zawód, ponieważ tego chcą. Są również takie, które zostały do tego zmuszone. Tak nie powinno być. Prawo musi stwarzać warunki do wolności wyboru... *Liberałowie nazywają taką pewność siebie normalnością, faszyści brakiem organizacji. A jak nazwą to intelektualistów?*

- Kurwy nie mogą mieć żadnego wyboru! - zaryczał pijany mężczyzna w zniszczonej kurtce ze skąju. - Mają dawać du...

Stawiam sto do jednego, że gościowi podnosi się tylko po kieliszku. I to na krótko.

- No właśnie... - Sulikowski pokazał na pijaka palcem.

- Teraz pani widzi, kto naprawdę krzywdzi te kobiety...

Pisarz gestem pozdrowił wszystkich i ruszył w stronę wyjścia z lotniska. Gonili go, zabiegali drogę, wyciągali mikrofony, zadawali dziesiątki pytań. Dusili go i każdy miał nadzieję, że skutecznie. Bez rezultatu. Sulikowski zamilkł. Kiedy wsiadł do szarego bentleya, zapomniał o siedzącym obok agencji, o jadącym za nimi dyrektorze Polu, o dziennikarzach... *W takich chwilach ludzie przeważnie podejmują decyzje. Te mądre i te głupie. Także te bez znaczenia. Jaką decyzję podejmie pisarz, którego umysł pracuje z szybkością wielu tysięcy obrotów na sekundę? Jaką decyzję podejmie mężczyzna, który w Nowym Jorku pozostawił nasienie w łonie kolumbijskiej aktorki wyłącznie dlatego, że nazywała się Fermina Daza?*

W domku na peryferiach Warszawy odnalazł wspomnienie dzieciństwa. Wnętrze urządzili całkowicie obcy ludzie. Sulikowski nie miał rodziny i nie spodziewał się jej znaleźć. Zlecił wszystko swojemu prawnikowi i wylądował na gotowym. Zniknęło jego stare, małe mieszkanie niedaleko Pałacu Kultury, zniknęły tramwaje pod oknem i falujące tłumy. W nowym miejscu było cicho, a na uliczce pojawiał się co najwyżej jakiś drogi samochód z panoramicznymi szybami. W tym miejscu wszystkie prywatne rzeczy Karola Sulikowskiego zmieściły się w jednym pokoju. W pozostałych każdy szczegół był nowy.

Pisarz otworzył album ze zdjęciami i musnął palcami twarz małej dziewczynki, wyglądającej zza siatki. Nadzieja... Przemieniła, nie sprawdziła się, zostawiła niewielką, ale wyczuwalną bliznę. To nawet nie była miłość. Raczej tęsknota za spokojem i urodą. Teoretycznie wszystko mogło się zgodzić. Dwie młodości, dwa ciała, dwie rodziny... Cóż, gdzieś tam wysoko minęły się dwie wyobraźnie i dwa rodzaje fluidów. Nie pasowały. Chociaż teoretycznie wszystko się zgadzało...

- Mamy sąsiadów - odezwał się Coy, zaglądając cicho do pokoju. - A właściwie jednego. To džentelmen.

Sulikowski obrzucił agenta zamyślonym spojrzeniem, wstał i

skierował się do wyjścia. Po trosze z ciekawości. Chciał zobaczyć człowieka, o którym agent mówił z takim uznaniem. Miejsce obok furtki doskonale nadawało się do obserwacji. Po przeciwnej stronie ulicy stał czerwony, luksusowy jaguar i zachwycająco połyskiwał idealnie położonym lakierem. Sulikowski wyszedł na ulicę i z rękami w kieszeniach spodni podszedł do samochodu. Pochylił się i zajrzał do środka. Pustka wnętrza uderzyła go jak nagły cios. Kiedy podniósł głowę, napotkał spojrzenie zimnych oczu. Uśmiechnął się niepewnie i skinął głową. Odwrócił się i chciał odejść, ale powstrzymał go głos jasnowidza.

- Proszę zostać... Przed tym nie da się uciec.

Sulikowski zatrzymał się i powoli przesunął oczy w stronę głosu. Wystarczyło jedno krótkie spojrzenie, aby przyznać Coyo- wi rację. Obok jaguara stał mężczyzna, który w każdym szczególe mógł być wzorem dżentelmena. Pisarz poczuł dreszczyk emocji. Od Bykowskiego biła niezrozumiała siła i pewność siebie.

- Nie rozumiem... - szepnął Sulikowski, unikając wzroku jasnowidza.

- Jan Bykowski. Jesteśmy sąsiadami - uśmiechnął się jasnowidz. Jego ręka była chłodna i żyłasta. Sulikowski z trudem odwzajemnił energiczny uścisk dłoni. - Jest pan naznaczony...

- dodał z pewnym niedowierzaniem Bykowski. *Szkoda, że nie wygarnął wszystkiego od razu. Kto inny na pewno by to zrobił...*

- Nadal nic z tego nie rozumiem - próbował poskładać myśli Sulikowski. - Mówi pan bardzo tajemniczo... Za bardzo.

Bykowski odwrócił jego dłoń i przez chwilę studiował jej powierzchnię. *Co za banal! Skuteczny?* Z wyraźnym skupieniem pokręcił głową. Pisarz miał wrażenie, że obaj znaleźli się sekundę w bliżej nie znanej rzeczywistości. Wtedy poczuł przenikliwy ból głowy i prawie natychmiast wrócił do siebie. Jasnowidz puścił jego rękę i zapalił papierosa. Obaj popatrzyli w górę, jakby szukali słów.

- Nie spodziewałem się, że to jest możliwe - zaczął powoli Bykowski. - Oni cię stamtąd odepchnęli. Wyrzucili cię, mimo że

byłeś ze mną... Jesteś wyjątkowo mocno naznaczony... Jak obcy...

- Czy mógłby pan mówić prościej? - poruszył się z lekką irytacją Sulikowski. - Co znaczy „naznaczony”? To jakaś magia, czary, sztuczki? Jestem pisarzem i...

- Wiem, kim jesteś - przerwał mu Bykowski. - Znam cię od początku do końca. „Naznaczony” oznacza przekleństwo. Jesteś przeklęty...

- To jakieś bzdury - wybuchnął Sulikowski. - Dlaczego niby mam być przeklęty? Aaaaa... Wiem. Czytał pan w gazetach o moim procesie... I o tych trzech, których zastrzeliłem, tak? Proszę powiedzieć, nie pogniewam się...

Twarz Bykowskiego była nieruchoma jak maska. Wydawało się, że jasnowidz jeszcze raz czyta przeznaczenie pisarza. Towarzyszył temu śmiertelny spokój i chłód bijący z oczu. Pisarz zawstydził się nagle, poczuł się nagi i ubezwłasnowolniony. Nieznajomy mężczyzna pochłaniał jego najintymniejszą aurę i coraz bardziej usztywniał mięśnie. *I pomyśleć, że dziesiątki pokoleń zakonników czuło to samo w chwilach oczyszczającej kontemplacji. A niektórzy po prostu to mieli.*

- To nie śmierć pana naznaczyła. - Bykowski znów odgrodził się od pisarza dystansem. - Widzę uczciwość... Uczciwość, której należy się bać... To wszystko. Do widzenia.

Bykowski otworzył pilotem samochód, wszedł do środka i zapalił silnik. Nie zdołał jednak zamknąć drzwi, ponieważ przytrzymał je Sulikowski. Jasnowidz spojrział na niego z litością. Pisarz w ogóle tego nie zauważył.

- Chcę wiedzieć - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Ja też - odparł sucho jasnowidz. - Jest pan ciekawy, czy może uniknąć najgorszego, prawda? Może pan. Pod warunkiem, że nigdy pan nie ruszy...

Drzwi jaguara zatrzasnęły się i w nozdrza Sulikowskiego uderzył zapach egzotycznej wody kolońskiej. Pisarz patrzył za odjeżdżającym samochodem i przeżuwał słowa jasnowidza. Nie zauważył nawet, że od dłuższego czasu z wyraźnym zainteresowaniem obserwuje całe zajście Coy. Anglik przecierał chusteczką spoconą twarz i próbował zrozumieć zachowanie

Bykowskiego i Sulikowskiego. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że przez chwilę uczestniczył w wyjątkowym spotkaniu. Jego podziw dla intrygującego pisarza z Polski wzrósł. *Po czymś takim, gdyby byli niemęscy, obaj poszliby obierać marchewkę. Czyż nie tak?*

*

Jako Szwed straszę obcych swoimi zimnymi nogami. Daję powody do zazdrości, nurzając się odważnie w podatkach i samotności. Moja blada skóra i pszeniczne włosy ułatwiają identyfikację. Jestem zapatrzony w prostotę, w zwyczajny, drewniany kij od szczotki. *Czy nie jest to wzór do naśladowania? Bez aspiracji, bez zwolenników i wrogów... Zwyczajne zapatwienie w cokolwiek. Jakże wspaniały przykład demokratycznego przystosowania, prawda?* Nie wstydzę się swojego pochodzenia, dlatego, kiedy chcę zwariować, wypływam promem za granicę. Moje smutne oczy są na ogół porządne. Widzą to, co należy widzieć, i nie dają nic ponad to, co należy dać. Każda renta i każdy odkurzacz mają dla mnie swoją cenę. *No, kochani, kto chciałby mieć taki spokój duszy?* Każdego roku uszczęśliwiam Nagrodą Nobla ludzi, którzy odważyli się sięgać dalej. Widzę czarne nuklearne grzyby na niebie i nie wysypiam się na zgłiszczach dawnych lasów. Jestem chory z prostoty i tolerancji dla innych. Nie pozwalam bić dzieci, które podłączyłem pod olbrzymi policyjny kontakt. Za moje dobre chęci zastrzelono we mnie premiera, zostawiając niesmak i podejrzliwość. Moim hobby jest samotność. Od tego często wariuję i zapominam o ciszy. Ja, wyzwolony białas, z apetytem na niecodziennosc, opalam się na plażach Cypru lub Włoch, próbując rozgrzać w sobie zwierzę. Stygnę z drgającym krocem w czterdziestostopniowym upale. *Co za widok! Na gorących łonach nagich Szwedek inne nacje gotują sobie herbatę. Zaiste, życie nie ma litości dla pracy ludzkich rąk i dla wyobraźni.*

Od czasu do czasu budzę w sobie króla i przypominam światu, że żyję rozciągnięty między śniegową bajką a zimnym

komputerem. Przytulony do maszyny marzę o gwiazdach, które wypalą strach. Ja, renifer zagrożony wędrówką ras, zamrażający historię na teraz, wypatruję statków, które od dawna nie przywożą mi niespodzianek. *A swoją drogą, ilu jest szczęściarzy, pragnących zatrzymać czas? W takiej chwili nawet chiński ryż staje się wybuchową mieszanką...* Przerażony przyszłością zatopioną w miliardach ludzkich głów jem pyszną mleczną czekoladę i cieszę się, że jestem tak bardzo dorodny, tak doskonale nadmuchany.

*

Bykowski nie musiał się rozglądać. Wyczuł ją instynktownie. Stała w otoczeniu trzech eleganckich mężczyzn i śmiała się, pokazując równe, białe zęby. Kokietowała ich bezlitośnie, a oni z trudem powstrzymywali się przed wybuchem. Wystarczyło spojrzenie, aby jasnowidz odczytał ich prawdziwe intencje.

W olbrzymim, luksusowo urządzonej mieszkaniu krzyżowały się interesy i poglądy. Kelnerzy roznosili jedzenie i drinki, a nastrojowa muzyka zachęcała do intymnych szeptów i tańca. Oczy jasnowidza zatrzymały się przez moment na półmiskach z norweskim łososiem, wielkimi krewetkami i wielosmakowymi potrawami z ryżu. Nauki von Klausta nie poszły na marne. Po sztućcach ocenił, jakie jeszcze potrawy zostały na ten wieczór przygotowane. Z satysfakcją światowca bardzo wolno i dokładnie przesunął wzrokiem po alkoholach. Tutaj także nie znalazł nawet cienia standardu. Piękna Ewa preferowała dwa rodzaje barków: luksusowy, reprezentowany przez szampany Dom Peri- gnon Rosé, koniak Talent de Thomas Hine z 1914 roku i jedną butelkę wódki Chopin oraz niemiecko-francuski, z armaniakiem Flarambel i ginem Beefeater.

- Widzisz? - pytanie szczęściarza zabrzmiało wyjątkowo retorycznie. Bykowski doskonale zrozumiał, czego dotyczyło. Podniósł głowę i z miną zimnego konesera rozejrzał się po ścianach. Poczul się bezbronny i wyobcowany. Jego ogólnikowa wiedza i ogłada nie wystarczyły nawet na tyle, aby westchnąć z zachwytu. Von Klaust tym razem nie pozwolił sobie na lekceważenie.

- Gauguin, Van Gogh, Degas... - odezwał się ledwie słyszalnym głosem. - Matisse, Renoir...

- Wojna. - Przerwał mu Bykowski. - Każdy z nich został skradziony i wywieziony. Są tutaj, ponieważ ktoś potajemnie wywiózł je ze wschodu... Muszą mieć dużą wartość.

- Wiele milionów dolarów - potwierdził von Klaust. - Masz rację, że przywieziono je ze wschodu. Tamten kupiono na aukcji w Londynie... Kosztował siedem i pół miliona dolarów...

- Niektóre powieszono tu całkiem niedawno. - Bykowski z przymkniętymi oczami odczytywał historię płócien. - Inne kupiono w latach pięćdziesiątych...

Von Klaust uklonił się znanej projektantce mody i skinął dłonią w kierunku siwego mężczyzny w smokingu. Zapalił z wdziękiem hiszpańską cygaretkę i zamroził rysy twarzy w uprzejmym grymasie. Jasnowidz odwrócił głowę, dając znak, że dla niego także temat sztuki został tego wieczoru wyczerpany. Z wystudiowanym, nonszalanckim zainteresowaniem smakował sytuację.

Wśród starych i przygarbionych sylwetek polityków, bankierów, biznesmenów, artystów i dziennikarzy przewijało się młode i dynamiczne pokolenie. Kobiety uwodziły strojami, a mężczyźni błyskali złotymi roleksami i sygnetami. Niektórzy stali przy szwedzkim stole, inni siedzieli w głębokich fotelach i rozmawiali. Na środku wielkiego salonu tańczyło kilka efektownych par.

Większość obecnych obrzuciła nowo przybyłych ciekawymi spojrzeniami. Kilka osób poznało von Klausta i posłało w jego kierunku gest powitania. Odpowiadał zawsze tym samym zagadkowym, ale uprzejmym uśmiechem. Po chwili oczy pięknej Ewy zatrzymały się na jego twarzy i jakby z wysiłkiem przesunęły się na Bykowskiego. Były jedyne w swoim rodzaju. Obiecywały więcej, niż mogły ofiarować. Zapowiadały rozkosz i nienasylenie. Natura robiła takie prezenty raz na wiele milionów narodzin.

W spojrzeniu dziewczyny przez sekundę mignął strach. Bykowski doskonale to odczytał. Widział także, jak jej wzrok łagodnieje i staje się zaciekawiony. Jasnowidz nie spuszczał z

niej oczu. Jego przystojna twarz i wspaniale ukształtowane przez chirurgów lekko cyniczne usta próbowały zrobić na niej wrażenie. Bez efektu. Plecy jednego ze stojących przy dziewczynie mężczyzn zdecydowanie temu przeszkodziły.

Von Klaust nie przestawał się uśmiechać i przyciągać uwagi kobiet. Oceniał zainteresowanie i wrażenie, jakie zrobiło wejście Bykowskiego. Nie zawiódł się. Zarówno starsze, jak i młodsze panie z zachwytem patrzyły na pewną siebie, nienaganną prezencję jasnowidza. Podziwiały jego rysy, włosy i sposób poruszania. Miękkły pod spojrzeniem przenikliwych oczu. Tylko ten jeden szczegół pozostał w Bykowskim nie zmieniony. Spotkanie z jego wzrokiem przypominało gwałtowne zderzenie z betonową ścianą. Najpierw przychodził popłoch, potem ciekawość, a na końcu ciemność. Tajemnica, która z magnetyczną siłą ustalała odwieczną hierarchię osobowości.

Ewa podała rękę von Klaustowi i z wyczekującym, lekko napiętym wyrazem twarzy czekała na prezentację.

- Jan Bykowski - powiedział von Klaust, czując przenikające go zimno. - Mój... przyjaciel.

- Ewa Zylber. - Przedstawiła się, podając Bykowskiemu dłoń.

Kiedy ich ręce się zetknęły, zeszywniała i nagle zapragnęła uciec. Wydawało jej się, że mężczyzna czyta w jej myślach, że z łatwością odgaduje słabości. Nie miała siły zareagować. Mogła tylko czekać i mieć nadzieję, że przybysz szybko wypuści jej dłoń.

- Jest pani bardzo piękna... - odezwał się Bykowski. Przeszył ją spojrzeniem i dodał, pochylając się: - I czasami bardzo wystraszona. Tak jak teraz...

Trzej mężczyźni obserwowali to ze zdziwieniem. Nigdy wcześniej nie zauważyli, aby Ewa Zylber poczuła się niezręcznie lub sztywno. Tym razem była śmiertelnie poważna i zimna. Czar zabawy i luźnej rozmowy prysł. Wszyscy trzej uśmiechnęli się sztucznie, obrzucili von Klausta i Bykowskiego niechętnym spojrzeniem i w milczeniu oddalili się w stronę tańczących dziewcząt.

- Skąd pan wie, że jestem wystraszona? - zapytała kobieta,

poprawiając włosy. Próbowwała zachować zimną krew. Jej ręce znów były wolne, a spojrzenie zręcznie unikało oczu niepokojącego gościa.

- Czuję to - odparł bez wahania jasnowidz. - Czasami tak bywa. Zresztą... przy mnie jest pani bezpieczna.

- Czy jest pan iluzjonistą? - odezwała się z odcieniem ironii. Wsunęła dłoń pod ramię von Klausta. - Czy nie uważasz, że to trochę...

- Nienormalne? - dokończył refleksyjnie szczęściarz. - Tak, na pewno. Jan Bykowski jest kimś wyjątkowym. Posiada dar, o którym większość ludzi może tylko marzyć. Masz przed sobą jasnowidza.

Bykowski chciał zażartować, ale jego spojrzenie zetknęło się z oczami starej kobiety w czarnej, bardzo prostej sukni. Przykuwała uwagę jej wyprostowana sylwetka i zamyślony, prawie nieobecny wyraz twarzy. Jasnowidz odwrócił głowę do Ewy Zylber i zapytał:

- Kim jest ta staruszka na kanapie?

Von Klaust był szybszy. Zanim Ewa zdążyła otworzyć usta, skrzywił się z wyższością i odparł:

- To pani Lidia Potocka. Zaprzyjaźniona z Ewą... - Przerwał nagle i zbladł. Bykowski dodał mu sił pewnym siebie spojrzeniem. Von Klaust nie uległ słabości i dokończył: - Prowodzi salon z antykami. Jeżeli chcesz ją poznać...

Bykowski już nie słuchał. Wiedział to, co powinien. Przeczytał aurę nad głową staruszki, a w ustach poczuł dziwną suchość. Wiedział, że ich drogi muszą się przeciąć. Zbliżał się czas. Wyprostował się i odwracając głowę, posłał dziewczynie zagadkowy uśmiech.

- Zatańczymy?

Odpowiedziała spojrzeniem, które przekornie utkwiała w oczach von Klausta. Szczęściarz usiadł na fotelu pokrytym złotym aksamitem i zmrużył powoli powieki. Dłoń Bykowskiego odnalazła palce pięknej Ewy. Pociągnął ją za sobą, objął i poprowadził w rytmie powolnej, zmysłowej melodii. Nie broniła się. Przyłgnęła do niego i pozwoliła sobą kierować, nie spuszczać z oczu von Klausta. Jasnowidz tego nie wiedział. Jego talent nie

zdołał ogarnąć uczuć, które tamci dwoje sobie przekazywali. Szczęściarz i dziewczęcość zegnali się na zawsze.

Większość kobiet rzucała w stronę tańczących ukradkowe spojrzenia. Każde z nich wyrażało podziw dla nieskazitelnej urody tych dwojga. Tak pięknej pary większość gości nigdy nie widziała.

Von Klaust zastanawiał się, w jaki sposób dziewczyna przekona jasnowidza, że zostali ulepieni z całkowicie innej gliny. Wiedział również, że własny udział musi ograniczyć do milczenia.

- Cieszę się, że panią poznałem - powiedział cicho Bykowski. - Kiedy tak tańczymy, wydaje mi się, że jesteśmy dla siebie stworzeni...

- Tak? - zapytała sucho. - Czy zamierza mi pan powiedzieć coś, co powinnam wiedzieć?

Szczęki jasnowidza drgnęły. Nie wytrzymał. Uaktywnił swoje zdolności i zobaczył czerń. W tym jednym przypadku, najbardziej prywatnym i dla niego ważnym, nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Czerń była straszna i zakrywała każdy szczegół. Nic z tego nie rozumiał. Dziewczyna, na której mu zależało, została odgradzona od jego daru tajemniczą siłą. W żaden sposób nie mógł się dowiedzieć, jaka będzie ich wspólna przyszłość. Miłość nie pozwalała się odczytać.

- Zle się pan czuje? - Głos Ewy wcale nie wyrażał troski. Raczej zniecierpliwienie, a może nawet irytację i niechęć.

- Chciałbym cię bliżej poznać... - odezwał się, patrząc z uwagą na jej piękną twarz. Kiedy składała usta do odpowiedzi, zapragnął ją pocałować. Wyczuła to. Odsunęła się do tyłu i z chłodną uprzejmością powiedziała:

- Cóż, wszystko przed nami. Proszę się dobrze bawić. Teraz muszę porozmawiać z innymi gośćmi. Przepraszam...

Oddaliła się, kusząc ciałem pod opiętą krótką czerwoną sukienką. Bykowski zagryzł zęby i raz jeszcze spróbował się przebić. Znów zobaczył czerń. Wrócił do rzeczywistości. Widział zarys majtek na jej pośladkach i odsłonięte plecy. *Czy elegancka kobieta może się tak nosić?* Zatrzymała się blisko von Klausta.

Szczęściarz z trudem wstał, objął ją w pasie i przytulił. Wspięła się lekko na palce i musnęła ustami jego policzek. Jasnowidz odwrócił się do okna i próbował wymazać to z pamięci. Nie udało się. Gdyby sytuacja mu sprzyjała, mógłby im wykrzyczeć w twarz, że nie mają żadnych szans, że ich wspólny los może zakończyć się tylko w jeden sposób. Wiedział jednak, że nie na wiele to by się zdało. Przyszłość miała zaledwie kilka wariantów. I tylko jeden z nich był właściwy.

- Nie smuć się... - usłyszał tuż za sobą. - Taki piękny wieczór, a ty jesteś stworzony do miłości.

Odwrócił głowę i zobaczył przed sobą dwie jasnowłose dziewczyny. Zatrzymał się oczami na ich ledwie osłoniętych piersiach i wymownie poruszył brwiami. To wystarczyło, żeby zrozumiał, jak bardzo były nieskomplikowane i jak typowy czekał je los.

- Macie na mnie ochotę... - podsumował swoje wrażenie.

Nawet się nie zawahały. Spojrzały na siebie i wybuchnęły głośnym śmiechem. Skurczył się lekko, wbił w nie oczy i monotonnie zaczął mówić:

- Jesteś studentką. Chcesz być aktorką... Masz chłopaka, który cię zdradza... Miesiąc temu przerwałaś ciążę. Kradniesz w sklepach słodycze i masz nadzieję, że... Czy mam podać nazwisko? - Dziewczyna z przerażeniem obserwowała oczy jasnowidza i nie była w stanie wykrztusić słowa. - Dobrze. Nie podam nazwiska. Ten człowiek, ten reżyser, ma żonę, troje dorosłych dzieci i właśnie kupił ci w Warszawie mieszkanie... On tu jest.

- Boże... - Druga z dziewcząt zapomniała o kokieterii i trzęsła się ze strachu. - On wszystko wie...

- Ty pracujesz w przedstawicielstwie firmy papierosowej...

- Bykowski cierpliwie męł słowa w ustach. - Jesteś związana z kobietą, ale interesuje cię... - Tutaj jasnowidz przerzucił spojrzenie na pierwszą dziewczynę. - Interesuje cię ona. Prowadzisz zakamuflowaną grę, ponieważ wstydzisz się rodziców... Ojciec nigdy by ci tego nie wybaczył...

- Niech pan przestanie! - Krzyk przerwał prowadzone w salonie rozmowy i wszystkie twarze zwróciły się w stronę Bykowskiego.

- Nie chcę tego słuchać...

Jasnowidz skłonił się lekko i odwrócił, żeby odejść.

- Proszę zostać... - Pierwsza z dziewcząt była zafascynowana i ciekawa. - Czy... Czy mógłby mi pan przepowiedzieć przyszłość?

Niektórzy z gości przysunęli się bliżej. Na twarzach dwóch podstarzałych polityków zastygły drwiące uśmiešky. Kobiety były bardziej otwarte.

- Dobrze - odpowiedział obojętnie Bykowski. Utkwił spojrzenie w czoło dziewczyny i ponownie zaczął monotonicznie wypowiadać słowa: - Twoja choroba nasili się... Będziesz kradła coraz częściej. Jednak dokładnie za pięć tygodni ukradniesz czekoladowy baton po raz ostatni...

- Nie rozumiem. - Dziewczyna o mało nie wyszła z siebie. Z emocji zacisnęła dłonie, a jej kostki zrobiły się białe.

- Małgosiu, nie denerwuj się. To iluzja, chwytury... - zaśmiał się jeden z polityków.

- Pan minister Rogalski... - wtrącił chłodno jasnowidz.

- Czy pan również chciałby coś usłyszeć na swój temat? Przyszłość? Sukcesy?

Minister Rogalski przestał się uśmiechać i najwyraźniej walczył z własną ciekawością.

- Kaziku, chyba nie boisz się, że ten pan powie nam o tobie prawdę... - wtrąciła dystygowana kobieta w czerwonej sukience. Była prezesem jednego z nowo powstałych prywatnych banków. Minister rzucił jej pozornie spokojne spojrzenie i wyszczerzył zęby do jasnowidza.

- Cóż, niech będzie. Jak zatem widzi pan moją karierę?

- zapytał wprost.

- Ona już się kończy - odparł tak samo bezpośrednio Bykowski.

- Poda się pan do dymisji i już nigdy nie odzyska dawnej pozycji...

W salonie zrobiło się przeraźliwie cicho. Ktoś wyłączył magnetofon i wszyscy goście otoczyli kołem jasnowidza. Von Klaust stał z tyłu i trzymał za rękę Ewę Zylber. Z uczuciem przytuliła policzek do jego ramienia.

- Kim on jest? - zapytała cicho.

- Kimś bardzo potężnym. - Głos von Klausta zabrzmiał wyjątkowo smutno. - Tacy ludzie pojawiają się niezwykle rzadko.

- Nie lubię go... - podsumowała na wpuł do siebie.

- Nie podoba ci się? - zdziwił się szczęściarz. - Czy nie jest przystojny, elegancki i pewny siebie... W dodatku ma pieniądze.

Von Klaust odczuwał rozdrażnienie i satysfakcję. Jego wysiłek poszedł na marne. Piękna Ewa pozostała obojętna. Była oschła i z trudem znosiła obecność Bykowskiego. Von Klaust nie rozumiał dlaczego. Nie potrafił odgadnąć, w którym momencie popełnił błąd.

- Czy to możliwe, żeby ci się nie podobał? - zapytał ostrożnie. - Inne kobiety za nim przepadają... Sama zobacz. A ty... Dlaczego?

- To zrozumiałe. - Obydwoje usłyszeli za swoimi plecami głos staruszki, Lidii Potockiej. - On ją zamordował...

Shczęściarz odwrócił głowę i z ledwie tajonym niesmakiem popatrzył na staruszkę. Ewa Zylber chwyciła ją nerwowo za suchą rękę i potrząsnęła.

- Pani Lidio, co pani opowiada? - jęknęła przez zaciśnięte wargi. - To jakiś koszmar... Proponuję skończyć z tymi głupstwami i...

- Nie denerwuj się, moje dziecko. Było, minęło - uspokoiła ją staruszka. - Przypuszczam, że kiedyś musieliście się już spotkać. Dlatego tak źle na niego reagujesz. W życiu nie ma wielu przypadków...

Nie dokończyła, ponieważ jedna z kobiet stojących przy jasnowidzu zemdląła i upadła na podłogę. Ewa Zylber natychmiast precisięnęła się przez gości i pochyliła nad leżącą. Na szczęście profesor Garlicki, uchodzący za najslęnniejszego polskiego neurochirurga, uspokoił ją, że wszystko w porządku. Ewa podniosła niechętny wzrok na Bykowskiego, ale nie zdążyła nic powiedzieć. Jasnowidz uprzedził ją.

- Przepraszam... - pochylił przed nią głowę. - Zadano mi konkretne pytania, więc starałem się na nie odpowiedzieć. Przepraszam. Chciałem być miły...

- Cóż, pan Bykowski powiedział Renacie, że jej mąż właśnie zmarł przy stole operacyjnym... - odezwał się szef jednego z zagranicznych funduszy.

- Rozległy zawał serca... - beznamiętnie dokończył jasnowidz. - Nic nie można było zrobić.

Prezes niemiecko-połsko-francuskiego holdingu, dr Rafał Malicki, podszedł do telefonu i bez słowa wykręcił numer. Poza Bykowskim i von Klaustem wszyscy byli śmiertelnie poważni. *Takie numery przechodzą tylko na jakimś cholernym zadupiu. To pewne!*

- Dobry wieczór. Mówi Rafał Malicki. Czy mogę zamienić słówko z moim przyjacielem, profesorem Sosnowskim?

Z każdą sekundą twarz doktora Malickiego robiła się bledsza. Odłożył słuchawkę bez pożegnania. Pokiwał głową i skierował się w stronę drzwi wyjściowych. Zrobił kilka kroków i ciężko opadł na najbliższy fotel. Jedna z kelnerek błyskawicznie podała mu szklankę wody. Wypił duży łyk i szepnął:

- To prawda... Dopiero skończyli go reanimować... Nie udało się... - Doktor Malicki schował głowę w dłoniach i starał się opanować. *Nie ma wątpliwości, że ten rodzaj wypowiedzi literackiej jest bardzo wzruszający...*

Bykowski bez słowa ruszył w stronę wyjścia. Po drodze włożył do ust serowy koreczek i wolno odwrócił głowę.

- Przepraszam - powiedział twardym głosem. - Tak miało być... Przeznaczenie. Przed tym ucieczki nie ma.

- A ja? - wykrztusiła pierwsza rozmówczyni Bykowskiego.

- Powiedział pan, że za pięć tygodni ukradnę ze sklepu ostatni baton... Wyleczę się? To możliwe?

Bykowski obrzucił ją tylko krótkim spojrzeniem i z przekonaniem odparł:

- Będzie tak, jak powiedziałem...

Dziewczyna uśmiechnęła się z ulgą. Bykowski zbliżył się do Ewy. Von Klaust usiadł ukradkiem na krześle przy ścianie i ciężko oddychał. Choroba rozwijała się. Nie chciał, by na niego patrzono, i marzył o łóżku. Czuł, że słabość dopada go bezlitośnie szybko.

- Zepsułem pani wieczór - odezwał się Bykowski, wbijając

spojrzenie w kształtny biust dziewczyny. *Czy wbiłby, gdyby był obwisły?* - Mam nadzieję, że zgodzi się pani na wspólną kolację w...

- Nie mogę... - przerwała mu kobieta. - Nie mogę...

Jasnowidz prześwietlał ją, szukając przyczyn. Nic nie znalazł. Z irytacją potoczył wzrokiem po ścianach. Uczucie czyniło z niego bezbronnego, ślepego chłopca.

- Ona naprawdę nie może. - Głos staruszki znów zabrzmiał z tyłu. - Nie jesteście dla siebie... *Zaraz się rozplacę!*

Bykowski spojrział na nią uważnie i zrozumiał. Tym razem docenił jej talent. Pobłażanie zniknęło z jego twarzy i pojawił się cień szacunku. Miała dar, który na początku go rozśmieszył. Teraz pragnął to wykorzystać.

- Dobrze - skłamał z rezygnacją. - Przyjdę.

Staruszka dotknęła ręki niezdecydowanej Ewy. Przez chwilę stały sztywno, jakby żadna nie chciała zrezygnować. W końcu dziewczyna przytaknęła. Była zaniepokojona i po prostu ciekawa. Przez przypadek otarła się o zjawiska, których nie rozumiała i nigdy nie zamierzała doświadczać.

Sucha, starcza dłoń podała jej wizytówkę. Po raz drugi tego wieczoru napotkała wzrok jasnowidza i po raz drugi zadrżała z przerażenia. Pomyślała o tym, że powinna go zabić, i o tym, że już go gdzieś spotkała. Blask jej oczu jakby przygasł, a czerwone, zmysłowe usta zbladły. *Uprzejmie informuję, że nie ma to nic wspólnego z wampiryzmem.*

*

Kto zadaje te pytania? I kto na nie odpowiada?

- Czy to prawda, że denerwuje cię twój własny mózg? Może jesteś chora?

- Jestem przerażona. Jestem rozszalona. Jestem niewyobrażalnie wściekła. Noszę w sobie przedmiot, który jest zaledwie fragmentem mnie, a decyduje o wszystkim, co robię i czuję. Gorzej. On nie daje mi wszystkiego, co posiada. Wydziela mi siebie i w dodatku udaje głupiego...

- Sądzisz, że twój mózg chce ci zaszkodzić, że bawi się z tobą w jakąś grę? Może rzeczywiście daje ci z siebie tyle, ile uniesiesz

jako człowiek?

- Dlaczego więc dał Chrystu...

- Nie bluźnij! Czy czujesz się aż tak wyjątkowa? Czy inni nie mają prawa czuć podobnie?

- Może... Ja jednak nie otrzymałam nawet skrawka tego, co otrzymał Einstein, Kopernik, Edison, Picasso czy Bach... On mnie oszukuje i zabiera wszystko dla siebie. Nie mogę znieść tego wstrętnego pasożyta w mojej głowie!

- A cóż takiego otrzymali ci... no, wiesz, według ciebie, wybrani? Lepiej żyli? Byli bogatsi i szczęśliwsi? Świat bardziej ich pokochał? Czy chodzi ci tylko o pamięć lub ich talent?

- Dostali zdolność do smakowania i poznawania prawdziwego świata. Mózg dał im sposobność dotknięcia boskiego geniuszu. Pozwolił żyć naprawdę. Odkrywali światło w całkowitych ciemnościach. Jako pierwsi poznawali mechanizm przemijania...

- Może nie zostałaś przeznaczona do odkrywania tajemnic? Czy nie wydaje ci się, że prowadzenie ksiąg rachunkowych lub malowanie pomieszczeń również może dostarczać satysfakcji? W jaki sposób twój mózg cię oszukuje? Nie pozwala ci widzieć, kochać, dotykać i rozumieć?

- Chcę więcej! Wiem, że może mi dać więcej...

- Co zrobiłaś, żeby cię zaakceptował, żeby stał się hojny? Czy pracowałaś nad sobą? Poświęcałaś dziesiątki godzin na odgadywanie tajemnic, które cię otaczają? Nie. Tego nie zrobiłaś. Pasteur wynalazł szczepienia ochronne, Kolumb odkrył nowy ląd, Watt stworzył silnik parowy, Fleming „wyhodował” penicylinę... A ty?

- Ja pracuję w szkole. Uczę dzieci czytać i pisać. Mam takie samo prawo chcieć więcej, jak każdy człowiek. Mój mózg nie daje mi żadnych szans. Nawet nie podpowiada, od czego mam zacząć. Jest zimny i traktuje mnie jak urządzenie do wykonywania określonych czynności. Nienawidzę go za to, że uczynił ze mnie niewolnicę... Dlaczego nie pozwala mi mówić trzema, pięcioma, a może nawet dwudziestoma językami? Dlaczego nie ofiarowuje geniuszu matematycznego? Jakim prawem wykorzystuje zaledwie osiem procent swojej mocy? To

leń, który nie daje nawet jednej czwartej. Gdybym chociaż potrafiła pisać nieprawdopodobnie mądre książki... Nic. Dał mi nudną przeciętność i odwrócił się tyłem.

- Na pewno? Może dał ci także ten rodzaj niechęci i nienawiści do siebie? Może podarował wściekłość i bezsilność? Czy nie uczynił cię w ten sposób bardziej inteligentną, żywą, bliższą sobie? Czy nie pokazał możliwości, jakie tkwią w twojej głowie?

- Nie pokazał mi drogi! Cóż mi po możliwościach, po zachwytach, jeżeli nie potrafię znaleźć drogi. Teoria i kropka. Dlaczego liczba połączeń nerwowych w moim mózgu jest za mała? Kto zdecydował, że nie mogę rządzić sobą absolutnie? Co przeszkadza, abym mogła się teleportować albo zabijać w sobie wirusy?

- A może mózgi ludzkie są rozproszonymi kopiami samego Boga? Może w każdym z osobna, jak w jednej komórce, kryje się wszystko, co wiemy i możemy kiedykolwiek wiedzieć? Mózg jako trudno dostępna baza danych o wszystkich prawach natury i o samym Stwórcy? Jaki Bóg zechciałby ujawnić wszystkie swoje tajemnice?

- Czym w takim razie jest mój charakter? Czym odmienność i upodobania? Co naprawdę oznacza ludzka wyjątkowość i niepowtarzalność? Czyżby to była miliardowa częśćka od kompletu?

Kto zadaje te pytanie? I kto na nie odpowiada?

*

Czerwony jak krew jaguar wytoczył się na polną drogę i powoli sunął w stronę widniejącego w oddali domu. Po obu stronach ciągnęły się zamarzniete pola, z których wystawały smutne, oszronione szeregi drzew. Krakanie tysięcy wron, opuszczających o tej porze miasto, niesło się monotonnym echem po okolicy.

Szczeńciarz siedział na tylnym siedzeniu i zamyślony patrzył za okno. Czasami przenosił wzrok na puszyste włosy Ewy Zylber i zagadkowo zwięźlał usta w uśmiechu. Dziewczyna kierowała pewnie, rzucając od czasu do czasu spojrzenie w lusterko.

- Jesteś pewien, że ona na nas czeka? - zapytała sceptycznie.

- Na pewno - potwierdził von Klaust, krzywiąc się z bólu.
- Powiedziałbym, że wymusiła na mnie to spotkanie.
- Dlaczego on nie daje mi spokoju? - Dziewczyna ostrożnie zmieniła temat. - Powiedziałam mu, że nic do niego nie czuję. Tydzień temu otrzymałam list, w którym zaprasza mnie na kolację. Czy on nie wie, że jesteśmy ze sobą?

- Wie - potwierdził szczęściarz, prostując się na siedzeniu. - To nieuleczalny przypadek. On robi wszystko tylko w jednym celu. Dla ciebie. Nie obchodzą go jednak twoje uczucia, nie obchodzi go twoja niechęć, nie chce wiedzieć nic na temat twoich upodobań. Bykowski wierzy w swój dar i zamierza cię zdobyć wbrew wszystkiemu... *Machol To chyba właściwe słowo.*

Samochód miękko wjechał na dziedziniec przed starym, porośniętym winem domem. Budynek sprawiał wrażenie dopiero co wyrwanego z głębokiej angielskiej prowincji. Atmosferę tajemniczości wyzwalaly ponure ściany, dęby rozpościerające gałęzie ponad dachem, zasłonięte kotarami okna i masywne, odrapane drzwi z mosiężną kołatką. Mimo zmierzchu przed domem nie paliło się żadne światło.

Dziewczyna wysiadła pierwsza. Podeszła do tylnych drzwi jaguara i pomogła wysiąść von Klaustowi. *W normalnym kraju wypadłaby mu w takiej chwili sztuczna szczęka.* Z lękiem rozejrzała się po podwórku. Jej dłoń wślizgnęła się pod ramię szczęściarza. Oboje zatrzymali się przed drzwiami domu, a von Klaust energicznie uderzył w kołatkę. Ostry i przenikliwy wiatr wdzierał się pod ich ubrania, ziębiąc aż do kości.

Zamek szczęknął i w olbrzymim korytarzu ukazała się ciężka postać Lidii Potockiej.

- Jesteście... - stara kobieta stwierdziła krótko. - Wejdźcie do saloniku. Tam zwykle przyjmuję gości...

Von Klaust zdjął kurtkę z ramion Ewy i ukrywając ból, zsunął płaszcz. Nie rozglądał się. Cierpiał i miał wrażenie, że lada chwila zacznie krzyżeć. Gdzieś we wnętrzu jego ciała choroba dokonywała ostatnich zniszczeń. Zbliżał się czas. Szczęściarz milczał jednak i starannie przyoblekał twarz w nieokreślony wyraz zadumy. *Oto niedościgniony wzór dżentelmena!*

W salonie pachniało kawą i tytoniem do fajki. Na ścianach

wisiały stare obrazy, a na podłodze leżał gruby dywan z motywem setek małych i dużych oczu. Wokół okrągłego stołu stało osiem wygodnych foteli przykrytych wielkimi brązowymi narzutami, a na leżącej na stole białej serwecie stał dzbanek do kawy i trzy filiżanki.

- Siadaj, moja droga, siadaj - odezwała się hipnotyzerka, nalewając kawę do filiżanek. - Na tych obrazach znajdują się ludzie, którzy nie wierzyli...

Dziewczyna usiadła blisko von Klausta i sceptycznie ogarnęła wzrokiem postacie patrzące na nich z obrazów. Kolory o odcieniu ciężkiego brązu, fioletu i srebra nadawały im nieprzyjemny wyraz. Ewa uśmiechnęła się niepewnie i sięgnęła po filiżankę z kawą.

- Nie wierzysz mi - stwierdziła cicho hipnotyzerka. - Twój przyjaciel, a mój ulubieniec, siedzący tutaj Jakub von Klaust, opowiedział mi o twoim lęku przed jasnowidzem Bykowskim. Wyjaśnił mi również, że obecna twarz Bykowskiego została zaplanowana i wykonana operacyjnie. Jasnowidz zawdzięcza to właśnie von Klaustowi...

- Boże... - odezwała się tym razem naprawdę przestraszona Ewa Zylber. - Nic o tym nie wiedziałam... Dlaczego? Dlaczego to ukryłeś?

Szczęściarz otworzył szerzej na wpół przymknięte oczy, uśmiechnął się i z wysiłkiem odparł:

- Było za wcześnie. Poza tym... - zawahał się, jakby szukał właściwych słów. - Może jednak zaufaj pani Lidii, dobrze?

Jego dłoń dotknęła lekko policzka i włosów dziewczyny. W geście tym krył się bezmiar uczucia i smutku, miłość i tęsknota za młodością, ból i przecucie nadchodzącej śmierci. Szare oczy von Klausta znieruchomiały, czytając spojrzenie Ewy. Mężczyzna zapomniał przez chwilę o cierpieniu i odmłodził. Lubił patrzeć w oczy kobiet, które nigdy do końca nie odsłaniały swojej tajemnicy. *Banał. Hemoroidy. Miętkość.* Miał wówczas wrażenie, że widzi coś więcej, niż wyrażało spojrzenie, że ociera się o wiedzę, która została zapomniana przed tysiącami lat.

Hipnotyzerka przymknęła oczy i podniosła dłoń do czoła

dziewczyny.

- Teraz postaraj się zasnąć - powiedziała cicho i łagodnie.

- Jesteś spokojna, bardzo spokojna... Zасыpiasz...

Głowa Ewy opadła na oparcie fotela, a ciało powoli się odprężyło. Von Klaust obserwował dziewczynę i czuł narastające w nim przerażenie. Hipnotyzerka skoncentrowała się na Ewie Zylber i monotonnym głosem wywoływała trans. Nagle dziewczyna krzyknęła.

- Powiedz mi, co widzisz... - poleciała hipnotyzerka.

Twarz dziewczyny zrobiła się biała, a czoło pokryły drobne krople potu. Usta wykrzywiły się jak do płaczu. Powoli, z wysiłkiem, zaczęła mówić dziewczęcym głosem:

- Stoję na drodze... Wszędzie błoto. Zimno mi... Widzę wóz i konie... Na wozie mój ojciec, moja matka i trzech bracia... Oni są mali i wołają, żebym się pośpieszyła. Oddalam się, wchodzę w krzaki... Nie mogę kucnąć, ponieważ jakiś mężczyzna przewraca mnie na trawę i zaczyna rozdzierać moje ubranie... Widzę go... To syn starosty...

- Jak on wygląda? - odezwała się cicho hipnotyzerka. - Czy możesz go opisać?

- On ma białe włosy i taka brzydką chłopską twarz... Całuje mnie i gryzie moje piersi... Nie! Nie chcę tego! Nie mogę krzyczeć... On mnie uderza i zadaje mi ból... Czuję, że zaczyna mnie... Nie! Nie chcę tego! Jeszcze raz próbuję zawołać ojca, ale starościc zatyka mi usta zabłoconą ręką... Znowu mnie gryzie i szarpie... Boli... Nie! On wyjmuję nóż i wbija mi w szyję... Nie chcę tego! To strasznie boli...

- Dobrze... - wtrąca łagodnie hipnotyzerka. - Już nic ci nie grozi... Tamta zła chwila jest już za tobą... To było dawno... Wcześniej przytulała cię matka, bawiłaś się z braćmi... Pamiętasz? Tak, na pewno pamiętasz... Ojciec miał dla ciebie dużo czasu i strugał ci zabawki z drewna... Pamiętasz?

Twarz Ewy Zylber złagodniała. Oczy przestały zaciskać się kurczowo, a na ustach zadrgał młodzieńczy uśmiech.

- Pamiętam... Mamy młyn. Piękny, duży młyn... Przychodzą do nas ludzie i rozmawiają o religii... Nic z tego nie rozumiem, ale oni są dobrzy i nigdy nie krzyczą... Mój ojciec czyta książki...

Ma ich bardzo dużo. Inni też czytają...

- Czy potrafisz mi przeczytać jakiś tytuł? - głos Lidii Potockiej jest głuchy i zmęczony. - Spróbuj sobie przypomnieć...

Dziewczyna kołysze się na fotelu, nerwowo - jak zniecierpliwiona uczennica - porusza nogami. Von Klaust oparty o brzeg fotela z niedowierzaniem w oczach nie spuszcza z niej wzroku.

- Socyn... Tylko to mogę zobaczyć...

- Czy kraj, w którym mieszkasz, ma króla?

- Tak, często o nim słyszę... Ojciec i wuj chwalą go... Mówią, że jest mądry...

- Kto to jest?

- Zygmunt III... Tak, tak go nazywają...

- To dobrze, że pamiętasz swojego króla... - Hipnotyzerka siedziała ze zmrużonymi oczami i lekko drżała. Zmęczenie zaczynało ją osłabiać. - Znów jesteś w lasku koło drogi... Ten chłopak, ten starościc rozbiera cię, gwałci i gryzie... Boli cię i nie możesz znieść widoku jego brzydkiej, chłopskiej twarzy... Widzisz tę twarz, prawda?

Dziewczyna zatrząsała się i z przerażeniem zacisnęła pięści. Jej głowa szarpnęła się na prawo i lewo, wyrwała się z objęć starościca. Von Klaust zobaczył wyciągniętą rękę hipnotyzerki i posłusznie podał jej kilka zdjęć. Stara kobieta rozłożyła je na stoliku tuż przy Ewie Zylber. Szczęściarz wywiązał się ze swojego zadania i czekał na efekt. Przed zahipnotyzowaną dziewczyną leżały twarze sześciu mężczyzn, w tym von Klausta i młodego Bykowskiego. Zdjęcie tego ostatniego pochodziło sprzed operacji.

- Widzę... To wstrętna chłopska gęba... Nienawidzę jej...

- Popatrz tutaj, na stolik... - poleciła hipnotyzerka, delikatnie odwracając głowę Ewy w stronę zdjęć. - Czy poznajesz go? Czy poznajesz tego, który cię gwałci?

Ewa Zylber otworzyła oczy i trzęsąc się, bez zastanowienia pokazała zdjęcie młodego Bykowskiego. Hipnotyzerka odcznęła głęboko i pomogła dziewczynie opaść na oparcie fotela.

- Teraz wszystko mija... Jesteś bezpieczna i masz wokół siebie przyjaciół. - Słowa z trudem wydobywały się z gardła staruszki.

- Powoli budzisz się i czujesz naprawdę szczęśliwa... Jest

pięknie, jest słonecznie, jest inaczej...

Von Klaust patrzył i nie rozumiał. Jego wnętrzości trawił nieustający ból. Wyjął z kieszeni marynarki lekarstwo i połknął, popijając kawą. Zmęczonym wzrokiem patrzył na budzącą się Ewę i ciężko oddychającą Lidię Potocką. Dziewczyna zamrugala oczami i rozejrzała się z lekiem po pokoju.

- Co się ze mną działo? - zapytała niepewnie. - Zemdlałam?

- Byłaś zahipnotyzowana - odparł szczęściarz, dotykając z uczuciem jej ręki. - Czy poznajesz te zdjęcia? - pokazał palcem stolik.

Dziewczyna pochyliła się i przez chwilę wpatrywała w twarze mężczyzn.

- Znam wszystkich... Tego też już widziałam... - wzięła w dłoń zdjęcie młodego jasnowidza. - Tak, na pewno go widziałam... Tylko nie wiem gdzie...

Hipnotyzerka podniosła spojrzenie na szczęściarza. Wyczuł, o co pytała. Chciała wiedzieć, czy jej domysły były słuszne, czy Jan Bykowski jest człowiekiem ze zdjęcia. Von Klaust nie odpowiedział. Wstał i ostrożnie, aby nie upaść, skierował się do drzwi. Ewa Zylber w milczeniu podążyła za nim. Na fotelu pozostała nieruchoma stara kobieta.

- Wybacz mi, mój drogi Jakubie... - Do uszu von Klausta doleciał głos Lidii Potockiej. - Wybacz mi, ale przed przeznaczeniem nie można uciec...

- Czy jesteś pewna, że powinienem to powiedzieć? - zapytał, zatrzymując się przy drzwiach. - Jeżeli jej powiem, czy to coś zmieni? Czy zmieni przeznaczenie?

Ewa Zylber przytrzymała jego ramię i zdziwiona podniosła głowę.

- Coś przede mną ukrywacie? - zaniepokoiła się i podejrzliwie wbiła spojrzenie w twarz von Klausta. Szczęściarz nie zwrócił na nią uwagi. Wydawało mu się, że jego szczęście dobiega kresu, że pojawienie się trudnych pytań oznacza bliską śmierć.

- Przeznaczenia nie można zmienić, ale można powiedzieć prawdę... - wyszeptała hipnotyzerka i w przeciągu kilku sekund zapadła w mocny sen. *Jak niedźwiedź.*

Von Klaust przytrzymał się dziewczyny i cicho zamknął za sobą

drzwi. W ciemnościach, w chłodnych podmuchach wiatru, zrozumiał nieuchronność nadchodzących zdarzeń. *Prosit!*

*

W bibliotece zapachniało pomarańczami. Mężczyzna zatrzymał pióro nad papierem i przymknął oczy. Tym razem jego pełen niespodzianek umysł zaprosił go z powrotem w przeszłość. Umilkły głosy nakazujące mu walczyć ze zbrodnią i wulgarnością, zamarł świat słów, którymi dziobał zło. Wróciło Boże Narodzenie. Gdzieś na peryferiach wielkiego miasta zakwitły białe czapy śniegu i zapaliły się żółte żarówki na drewnianych słupach. Wróciła cisza snująca się pomiędzy dachami prawie identycznych domów. Drzewa pochyliły się nad światłami choinek, czarując swoją nieprzeniknioną ścianą bieli i czerni. Z granatowego nieba mrugały gwiazdy, a drobne płatki śniegu iskrzyły pod butami.

Wtedy uderzyła samotność. Wróciły pierwsze bombki, przydymione anielskie włosy i cukrowe paluszki w fioletowych i czerwonych celofanach. Z zakurzonego pudełka wyjrzała srebrna gwiazda z dwoma drucikami. Pamięć odnotowała głównie samotność. Przy stole zawsze kogoś brakowało. Może dlatego więzy krwi były tak mocne? Mężczyzna uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu lat. Nie czuł, że po jego policzkach zaczęły spływać łzy. Przypomnił sobie dłonie matki, która z uporem i łagodnością broniła go przed cierpieniem. Nie wiedział, jak ma odpowiedzieć na ból, który w nim jęknął. Smutek i radość, gorycz i miłość... I pytania. Co można z tego cofnąć? Jak zatrzymać? Kto i dlaczego zabiera to, co wartościowe? I wdzięczność, że jednak także daje, że nie pozbawia wszystkiego.

Pomarańcze pachniały coraz intensywniej. Jako dziecko wrócił tylko na chwilę. Za nim i przed nim był szpital. To święta wydarły go z nijakości. Nigdy później pomarańcze nie smakowały mu tak bardzo. Nigdy nie zjadł ich tak dużo. Pomyślał, że są pory, w których coś powinno się zdarzyć, aby naprawdę znaczyć. Był brat, byli dziadkowie, była matka i ulubiona ciocia... Na łóżku leżała paczka od siostry. Mężczyzna

dotknął koszuli na piersi. Piżama, w której wtedy siedział, była sprana, a flanelowy materiał z trudem utrzymywał białopomarańczowe pasy.

Potem święta Bożego Narodzenia przysypały go znaczeniami. Wyprawa z siekierą do lasu, sosna o zbyt rozłożystej koronie i sznurki, które musiał przywiązać, aby choinka zmieściła się w pokoju. Oprawianie drzewka na mrozie obok komórki... Choroba matki, która po raz pierwszy nie miała siły przygotować świąt. I szyby, które na jej oczach myli. Oczy mężczyzny bezwiednie skierowały się w jasne okna biblioteki. Wierzył, że jego matka była wówczas szczęśliwa. Teraz wiedział, że już wtedy zaczęła gasnąć. Komunizm uwikłał ją w okrutną grę z beznadziejnością.

Twarz mężczyzny zmieniła się i zastygła pełna nienawiści. System, który nie pozwalał ludziom wybierać miejsca swojego zamieszkania, nie godził się na łączenie rozrzuconych po świecie rodzin, szpiegował korespondencję i telefony, pozwalał wychowywać w zakłamaniu i fałszywym bezpieczeństwie, zmuszał do upodlenia i kompleksu bezsilności. System, w którym szanse były równe, jeżeli... Wszystko pod kontrolą, wszystko ograniczone, wszystko wydzielone... Idealnie dawkowana śmierć.

Mężczyzna wstał i powoli skierował się do wyjścia. Po drodze musnął spojrzeniem dwoje młodych ludzi pochylonych nad jedną książką. Nie mógł wiedzieć, że energia, którą w sobie niósł, nie była obojętna. Oczy dziewczyny na długo jeszcze zachowały zdziwienie tych kilku sekund. Mężczyzna wydarł z niej całą młodość i dotknął środka kobiecości. Poczula to, ale bez strachu. Chłopak pozostał z przekonaniem o swojej sile i młodości. Do tego, że wiek nie miał ceny, musiał dopiero dojrzeć.

Stąpając po schodach, mężczyzna był wyjątkowo pogodny. Przeżył dni, w których zapisało się jego szczęście. Poznał ludzi, którzy odchodzili i kolejno zostawiali mu swoją miłość. Wypisywali to niewidzialnymi barwami w jego pamięci. Budzili żal, że pożegnania były nieodwracalne. Poczucie bezinteresownej więzi rozsypane na kilka pogrzebów, na czas wypełniany przez

nowe pokolenia...

Słońce zmusiło go do założenia okularów. Przygarbiony i pogodzony z przeznaczeniem, szedł ze wzrokiem utkwionym w chodnik. Jego ręce splotły się na plecach i nieświadomie odwzorowywały sylwetkę kolegi ze szkoły. Tego, któremu ojciec umarł w ogrodzie na zawał serca. Mężczyzna dobrze go pamiętał. To u niego właśnie po raz pierwszy oglądał telewizję... W ten sposób zapętało się życie bez nienawiści. Siad samotności unosił się pomiędzy samochodami i żółknącymi w upale liśćmi. *Może tak właśnie wyglądają narodziny szaleństwa?*

Zza rogu wytoczył się wózek inwalidzki, popychany przez siwą pielęgniarkę. Mężczyzna odwrócił głowę od wystawy i odprowadził wzrokiem Wędrowca. Nie mógł wiedzieć, że dla tamtego był to pierwszy w życiu spacer. Nie miał powodu odgadywać, że Wędrowiec nawet o tym nie wiedział. Dwa światy były od siebie odcięte, a mimo to rozpoznawalne. Przekazywały sobie najprostszą informację: „Ty jesteś tam, ja jestem tu... Czy nie jest dziwne, że jesteśmy razem?”

W tym rozpalonym słońcu kryło się wszystko. Tęsknota za absolutną wolnością i usta dziewcząt ze starannie umyтыми zębami. Poza nieobliczalnym talentem leżała pogarda dla zbrodni i wił swoją ścieżkę pająk. Taki piękny dzień, przemknęło przez głowę mężczyzny. I strony do zapisania w zeszytcie puste...

*

Zwyczajny dzień i noc nie mają w sobie nic z miłości. *Niestety, to parszywa prawda.* Powieszona na tysiącach przypadków wypełniają czas i rzadko opowiadają o kolorach. Szarość i przeciętność, poszukiwanie oryginalności i poczucie rywalizacji. Uśmiech przychodzi tylko czasami, jakby od niechcienia lub po prostu z nieba. Może pojawić się pod jakimkolwiek pozorem, przeminąć i zniknąć. Wówczas nie ma nic. *Nie da się ukryć, że wyłącznie miłość, namiętność i pasja rządzenia mogą wyprowadzać człowieka z otchłani.*

Kiedy jednak kobieta i mężczyzna zauważają się, kiedy zapala się między nimi światło, wtedy wszystko wybucha. *Zaiste,*

gramatyka uczucia może być nie do opisania. Każdy szczegół podporządkowany zostaje miłości. Obowiązki inaczej smakują, problemy znajdują swój punkt odniesienia, optymizm nie przemija. Ilu ludzi odnajduje siebie w czymś takim? Stu? Milion? Miliard? Ilu został dany ten niecodzienny, wibrujący żar?

Cóż z tego, że dzieli ich wiek? Ona przyszła i powraca do niego jak świeża fala. Jest piękna, zgrabna i od początku próbuje zachować miękki dystans. Czaruje go, jakby od niechcenia, urokiem swoich dwudziestu lat. Jest zadbana. Ilekroć do niego przychodzi, tyle razy starannie dobiera ubranie i makijaż. Celowo odsłania swoje kształtne, długie nogi. Jej dłonie są szczupłe, a paznokcie krótko obcięte. Często się uśmiecha, pokazując równe białe zęby. Czasami, kiedy on zbyt otwarcie żartuje przy kimś trzecim, pochyla lekko głowę, starając się nie okazywać zmieszania. Doskonale wie, dlaczego on to robi. Nawet jeżeli się tego boi, nie potrafi zrezygnować. Pozwala mu posuwać się krok po kroku do niewiadomego końca. Jest pewna swojej zmysłowej urody i czeka na jego pierwszy znak. Oboje wiedzą, że ten najważniejszy został już uczyniony, ale nadal ma to wyraz wyłącznie nie dopowiedziany i platoniczny. *Dopiero w takiej chwili mężczyzna rozumie sens samodzielności? Rozgrzesza tych, którzy okradali banki i fałszowali pieniądze...*

Fascynujące pytanie: dlaczego? Co sprawia, że oboje coraz bardziej do siebie lgną? Nawet, jeżeli na początku była obojętność, teraz zawiązuje się coś w rodzaju porozumienia. Gra jest trudna, niezwykle delikatna i z pewnością elektryzująca. Ona jest zbyt świadoma swojej urody, aby wszystko stało się szybko i konkretnie. On nie chce popełnić błędu i wpaść w małostkowość. Jest dojrzały, ale niczego nie może być pewien. Wybrał stopniowe oswajanie, przyzwyczajanie do wspólnie wytyczonego celu. Z pozoru nic poważnego. Liczy się, że mają coś wspólnego. Chcą się widywać, a cel pozwala im zachować dystans.

Z każdym dniem czują, że ściana pozorów staje się coraz bardziej krucha. On czeka na jej pierwszy gest. Przyczajony obserwuje jej reakcje. Widzi jej spojrzenia, jej elegancję, jej

ledwie uchwytnie napięcie. Nieodgadnione. Może po prostu chce być miła, ponieważ cel naprawdę się dla niej liczy? Może ma chłopaka, którego - jak sądziła do tej pory - kochała? Może nadal go kocha i zwyczajnie z nim sypia? Być może w jej domu atmosfera jest zbyt ciężka, aby potrafiła się mocniej otworzyć? Tajemnica. Najważniejsze, że zaczyna używać jego imienia. Ostrożnie, jakby z lękiem. W jej głosie rozpoznaje prawie nieuchwytnie tchnienie kobiecości, zamaskowanej tysiącami niewidzialnych mrugnięć kokieterii. Ciekawość... *W takich chwilach pomaga muzyka. Wyraża coś więcej niż spotkanie. Popycha wyobraźnię i tonie...*

Zadzwonila. Po raz pierwszy. Nie mógł z nią zagrać, nie mógł zaintrygować żartobliwym cynizmem. Obok byli ludzie, którzy nie powinni niczego odgadnąć. Jego prywatność była zastrzeżona. Rozmawiał z nią na tyle lekko, że otoczenie niczego nie zrozumiało. Ot, jeszcze jedna jego kpina. Miał nadzieję, a właściwie wierzył w to, że rozumiała. Odwołała spotkanie. Uczelnia. Elegancko. Uprzedziła.

Czy jest zbyt nieśmiała, aby przerwać krąg jego niepewności? Fascynuje ją nie dopowiedziany i zawieszony w próżni układ? *A może jest konserwą, która - co godne uwagi - nie otwiera się sama? Pokarm, Lolita z puszki...* Brak doświadczenia? Bezgranicznie ufa swojej urodzie i chce go uzależnić? Na zimno, bez uczuć i konsekwentnie? Kiedy on się zdecyduje, ona dostrzeże tylko szarość i nijakość ich znajomości? Albo inaczej... To ona jest przerażona uczuciem, które bezlitośnie w niej rośnie? Na ile jest dorosła, żeby udźwignąć odpowiedzialność i cierpienie? Czy w ogóle się z tym liczy? Co robi, kiedy tama pęknie i będzie należeć już tylko do niego? Czy potrafi normalnie żyć? Ten mężczyzna nie musi być przecież jej... *Niewątpliwie. Może należeć do sąsiadki albo do tego plastyka z przeciwka. W grę wchodzi jeszcze jakieś trzy, cztery miliardy ludzi, nieprawdaż?*

On zastanawia się, jaki powinien być kolejny ruch? Dotyk? Pocałunek? Wspólne kino? Kawiarnia? Dyskoteka? Słowa? Co może powiedzieć, aby niczego nie zepsuć? Jak długo można zawiązywać wzajemną ciekawość? Jak ochronić prywatność?

Czy można uciec od przerażenia, jakie wywołuje świadomość uzależnienia? *Alchemia uczuć pożera wyobraźnię. To do niej podobne. I pomyśleć, że tak samo słodko reagowali Krzysztof Kolumb, Johann Gutenberg, Karol Marks, Wilhelm Conrad Roentgen i Mao Zedong...*

*

Jako Szwajcar staram się zawsze patrzeć w górę. *Dziwne, że naród ten do tej pory nie powybił sobie zębów, prawda?* Dopiero w pobliżu godziny dwunastej odnajduję okulary, przez które inni patrzą na świat. Sypiam na brzuchu i rzadko jestem rozrzutny. Kiedy ślizgam się na nartach ze szczytów Alp, odczuwam wyższość nad mnożącymi się bez zahamowań Afrykańczykami czy Azjatami. *No właśnie! Może ktoś wreszcie zechciałby wyjaśnić, dlaczego oni tak uparcie się płodzą? Z nudów czy zwyczajnej tęsknoty za orgazmem?*

Nie wdycham smrodu, nie gryzą mnie muchy i oddaję mocz w bardzo wykwintnych toaletach. Bywam małomówny i czasami nieprzystępny. Złośliwi twierdzą, że urodziłem się po to, aby szlifować diamenty. *To oczywiście kokieteria. Do szlifowania diamentów nie trzeba mieć szwajcarskiego paszportu...* Mam swoje łucznicze legendy, ale nie lubię się nimi chwalić. Mój mózg jest jak bank. Nie udziela informacji. *Czy jednak nie jest do kupienia?* W moich kieszeniach odnajduję zarówno królów, jak pospolitych bandytów i złodziei. To pumeks, którym regularnie doczyszczam sobie pięty.

Przyjemnie jest żyć z poczuciem, że kobiety patrzą na mnie jak na sztabkę złota. *Wszyscy, jak tu stoimy, mamy niewątpliwie nadzieję, że sztabka jest odpowiednio twarda i pasuje do ręki.* Teoretycznie mogę je zapraszać do przytulnych pensjonatów i częstować alkoholem. Jako człowiek praktyczny szanuję jednak czas i nie zapraszam. Na tym także polega neutralność. Dzięki niej poznaję dziesiątki szpiegów, którzy bawią się w niegrzecznych chłopców znaczone kartami. Cudowne jest to, że płacą za to ich rządy. *Cudowne jest przede wszystkim to, że na rozmaitych piętach zawsze znajdują się ci, którzy za stabilizację płacą śmiertelnym strachem innych. Gdyby było*

odwrotnie, nic nie uległoby zmianie. Trzecia możliwość oznacza chaos i grabieżę. Czy ktoś zgłasza się na ochotnika? Tak? Po co? Nie lepiej od razu palnąć sobie w leb?

Prowadzę interes, na który moi przodkowie pracowali przez setki lat. Przestrzegam tajemnicy bankowej i gdzieś mam polityczne kalkulacje świata. *Tak, tak... A taka praca wymaga poświęceń i cierpliwości. Wyobraźmy sobie, że z kapitału przodków znika dziesięć milionów dolarów. Po jednym dla dziesięciu całkowicie zwyczajnych ludzi. Czy robi to komukolwiek jakąkolwiek różnicę? Cóż, właściciel jest jeden, a zyskuje dziesięciu. A gdyby tak zyskało stu, dwustu, pięciuset? Bardzo szlachetna pokusa. W taki oto sposób można udupić filantropię. Ej, wy tam! Jestem przeciwko egalitaryzmowi w jego losowej formie! Forse można rozdać tym, których wskażę. Ja, drugi Szwajcar...* Obawiam się wyłącznie wariatów. Silny wariat może poparzyć mi przelyk. Słaby wariat może służyć silnemu wariatowi. To właśnie jest podmuch rewolucji. Mimo że jestem mało wierzący, staram się wzdychać w kierunku gwiazd. Są tak samo spokojne jak ja. Nieosiągalne. Przynajmniej na razie.

*

W łonie starej pielęgniarki zapaliły się niewidzialne świeczniki. *Nic wielkiego. Takie świeczniki zapalają się codziennie w łędźwiach i w łonach milionów ludzi. W dodatku niektóre nigdy nie gasną...* Kobieta była brzydka i zawsze źle ubrana. Jej włosy przylegały ściśle do głowy, nadając twarzy wyraz wyrafinowanego cierpienia i skrytych żądz. Tego wieczoru, kiedy jej piękna i młoda poprzedniczka (ze śladami zapachu Wędrowca w nozdrzach) zeszała z dyżuru, w duszy podstarzałej kobiety wykuł się robał, który kazał ciału puścić się na szerokie wody. *Na usta ciśnie się tylko jedno słowo: odma!*

Wędrowiec oddalał się właśnie w bliżej nieokreślony czas. Siła bezwładu rzuciła go w prorocze symbole, które zionęły pytaniami... A pielęgniarka dopiero zaczynała wyrzucać ze swojego serca pustkę i samotność. Popychała wózek z Wędrowcem w stronę pustej izolatki i cieszyła się z towarzystwa. Nie ogląda-

ła się na migającą nad drzwiami jednej z sal żarówkę, nie martwiła o lekarstwa chorych, nie obawiała zamkniętego w gabinecie lekarza. Zamknęła za sobą drzwi izolatki, ściągnęła z wózka pokręcone ciało Wędrowca i z uczuciem położyła je na łóżku. Zza okna ślizgała się po kołdrze smuga księżycowego światła. Noc była głęboka i cudownie spokojna. Pielęgniarka rozebrała się dokładnie tak, jak aktorki, które wiele razy oglądała na filmach. Powoli, z wdziękiem, kokieteryjnie i obiecująco do utraty zmysłów... Pod białym, wykrochmalonym fartuchem znajdowały się czarne pończochy, podwiązki, majtki i stanik. Najtańsze, ale czarne. Ciemności starannie kryły niezgrabne i owłosione ciało pielęgniarki. Wędrowiec miał szczęście, nie czuł dotyku ani zimna.

Pielęgniarka przystąpiła do łagodzenia swojej wieloletniej samotności. Wpiła się w drętwe wargi Wędrowca i stopniowo, coraz bardziej nerwowo, zaczęła splatać się z jego miękkimi kończynami. *Za takie świństwo powinna smażyć się w piekle. Basta!* Wyobraźnia przytrzymywana na wodzy przez ponad pięćdziesiąt lat zaplątała wszystko, co można było zaplątać. Węzły i okulbaczenia stawały się ciasne i bolesne. Rozkosz zbliżała się wściekłymi krokami. Wędrowiec nawet tego nie zauważał, widział tłum krzyczący przeciwko Bogu, widział nienawiść, która jak fala podniecała do buntu kolejne głowy...

Osmie zdziwienie. Woda wokół wyspy Patmos cicho szumiała. Z wdziękiem dotykała plaży. Gdzieś pośrodku oliwkowych gajów stał ten wybrany i nasłuchiwał. Wędrowiec obserwował ekscytację nieznanego i czekał na przyczynę. Usłyszał głos, który mało nie rozerwał mu uszu. Człowiek pod drzewem upadł na twarz. Wówczas nastąpiło uspokojenie. Chrystus zaczął mówić, a Wędrowiec denerwować. Usłyszał o siedmiu gwiazdach i siedmiu świecznikach. Zdziwienie narastało. Dlaczego siedem, a nie osiem lub dwanaście, dlaczego gwiazdy, a nie liście lub zachody słońca, dlaczego świeczniki, a nie puchary lub talerze? Symbole przeraziły Wędrowca, uczyniły głupim i bezsilnym. Chrystus mówi o nienawiści...

Wędrowiec dotyka plecami kory jednego z drzew i rytmicznie zaczyna się drapać. Wiatr jest ciepły i łagodny, wydaje się, że

wszystko rozumie i celowo pozwala się podsłuchiwać. Dlaczego tak pokrętnie, dlaczego nie wprost? Wędrowiec nie rozumie. Po co proroctwo tak niejasne? Jeżeli Bóg posiada siłę i przemawia przez Chrystusa, jeżeli wie o ludzkich słabościach, które nazywa Szatanem, to dlaczego bawi się w tak niejasne zapowiedzi? Wędrowiec słucha i uśmiecha się sam do siebie. Tylko tego może być pewien. Patrzy na człowieka pod drzewem oliwkowym i obserwuje z góry wyspę. Jest mała, urodzajna, nastrojowa i tajemnicza...

Gdzieś dalej, gdzieś w drodze Wędrowiec zauważa człowieka spod drzewa. Tamten spisuje słowa Chrystusa i wielkie krople potu pękają mu na czole. Nie ma już dawnej wyspy Patmos, a czas popchnął do przodu nowe narodziny i kolejne śmierci. Oliwki również nie te same, chociaż ta sama siła nakazuje im przybierać ten sam kształt i smak. Wędrowiec patrzy na atament i suchą dłoń człowieka... Dlaczego pisze o tym, co i tak się stanie? Dlaczego apokalipsa, skoro nie ma odwrotu? Co sprawia, że Bóg informuje tak niedoskonale i wymaga tak wiele? Czy wiara skazana na domysły sprawia mu większą satysfakcję? Co jest tak pociągającego w gniewie bożym, o którym sam Bóg doskonale wie? Wędrowiec kompletnie ogłupiały przesuwa się w paradoksalnej niszy, wśród zdziwień, które bolą jak uderzenia pejcem w twarz. Widzi ostatnią świątynię kapłanów Ramzesa II Wielkiego i czuje ogień tysiącletnich papirusów... Chrześcijanie zacierają to, co było przed nimi, zabijają tych, którzy byli tak samo dobrzy i tak samo źli... Ponad pięć wieków po narodzinach Chrystusa świątynia znika...

Wędrowiec stoi w progu historii i z przerażeniem w oczach wpada w olbrzymi wir. Dopiero teraz otrzymuje tysiące obrazów, które opowiadają o szamotaniu się człowieka. Wspólna jest tylko krew... Nazwy nie mają znaczenia. Luteranie, kalwińscy, anglikanie... Krew i jeszcze raz krew. Głowa Wędrowca staje się gorąca od płomieni. Z gardła wyrывa się okrzyk: Boże! Boże! Boże! I cisza. Nie ma wiru, nie ma historii, nie ma zdziwień. Cisza. Ta najpiękniejsza z cisz.

Usta pielęgniarki są otwarte i pełne pożądania. Wędrowiec nie

czuje ani jej wąsów, ani szczeciny na łydkach. Jest mu całkowicie obojętne, co dzieje się z jego rękami i nogami. Nawet

o nich nie wie. Ciała obojga są nagie i splątane. *O, nareszcie! To jest właśnie pornografia. Wstrętna i zatruwająca umysł. Poszła ty precz, prostytutko!* O świcie, jak zwykle zimnym i dżdżystym, kobieta zapragnęła rozprostować kości i poluzować biodra. Była usatysfakcjonowana i różowiutka. Nawet włosy na jej nogach straciły swoją intensywną barwę i stały się mniej widoczne. Hormon zadyndał w powietrzu i poddał się aż do następnej nocy.

- Proszę mnie natychmiast puścić! - rozkazała pielęgniarka, nie mogąc się rozplątać. - Nie widzi pan, że jest już widno?

- pytała, rozkoszując się brzmieniem tej jednostronnej konwersacji. - Mój Boże, ale z pana brutal... - szepnęła z satysfakcją i spróbowała po raz kolejny wyzwolić się z zaplątanych członków Wędrowca.

Dwie godziny później znaleziono ich podczas obchodu. Pielęgniarka płonęła ze wstydu, a kaleki mężczyzna po prostu był. Profesor podniósł leciutko brwi na ich widok i zbliżył się do łóżka. Uważnie obejrzał zawiązane na supły ręce i nogi Wędrowca. *A reszta? Co z resztą?*

- No, no, no... - mruknął do siebie. - Salvador Dali miał jednak rację, mówiąc że podstawą zwycięstw jest strój... Nie wiedziałem, że literatura ma na panią aż taki wpływ...

O podobnych dniach poeci piszą wiersze, zapamiętują lub przynajmniej planują. Prawo omija mroczne zakamarki dusz pielęgniarek, które są prawdziwym błogosławieństwem dla tych najbardziej potrzebujących. *W nagrodę wszystkie absolwentki powinny otrzymywać hologram swojego ukochanego mężczyzny. I buzi.* Z całą stanowczością należy podkreślić, że lot niejakiego Reisfelda z wieży Eiffla nie skończyły się tak, jak się skończył, gdyby w odpowiedniej chwili przyszła do niego pielęgniarka. Taka kobieta z pewnością nie pozwoliłaby szalonemu krawcowi skakać na zbyt krótkich skrzydłach. Podarowałaby mu noc albo przynajmniej

bełę materiału. I wtedy na pewno nie umarłby w locie na zawał. Brak odpowiednich kontaktów potrafi czynić niepowetowane szkody. Nad Wędrowcem - co oczywiste - przeznaczenie rozpostarło swoje opiekuńcze skrzydła. Po absorbującej nocy salowa nakarmiła go kluskami z mlekiem i poklepała przyjacielsko po głowie. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że w ten właśnie sposób zbliżyła się do Boga najbardziej, jak tylko mogła to sobie wymodlić. Dotknęła wędrowki, która ubrana w Smoka, Bestię i Baranka wyzęła na oczy Wędrowca wyłącznie zapytania. Pół godziny później życie pokazało, co potrafi. Wędrowiec zrobił w pieluchę kupę. Ogromną. Taką z trzech dni. Tfu!

*

Palce Benedykta wykonały piruet i ożyły. Poślubione trawie, przykładnie zdradzały ją z komputerową kochanką. Dotykały dziesiątków antykoncepcyjnych klawiszy za każdym razem zaskakiwane skalą ich temperamentu i świeżości. Benedykt wybudował pokój. Staroangielski, ciężki i zatopiony w drewnie. Kilkakrotnie zmieniał kolory baldachimów, wystrój kominka, wzór parkietu, fakturę skóry na pikowanych fotelach obok okna oraz tapety na ścianach. Odwiedzał Buckingham Palace, podpatrując ramy lusterek i kształt kryształów na żyrandolach w gregoriańskiej sali balowej, odwzorowywał kolumny Palm Court w hotelu Ritz, trafiając nawet do domu dziewiętnastowiecznego historyka, Thomasa Carlyle'a...

Robiło się coraz ciaśniej. Benedykt zaczynał tęsknić do anonimowości. Miał dość ciągłego pilnowania i lęku przed porównaniem. Chciał zniknąć, zamknąć się z komputerami i wychodzić na ulicę, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Obsesyjnie nawiedzał go sen o liczeniu trawy w całkowicie nieprzewidywalnych miejscach. Trawa na pustyni, trawa na wydmach, trawa w ogrodach szejków, trawa przed bramami milionerów z kolonialnego Hongkongu... Ileż szczęścia krył w sobie świat!

Jakub von Klaust obudził się i poczuł lęk. W pokoju panowała ciemność, a zza okna wpadała smuga żółtego światła latarni. Usiadł na łóżku i schował spoconą twarz w dłoniach. Narkotyk nie pomagał, ból atakował po raz ostatni. Było coś jeszcze. Dopadł go kąśliwy żal. Dopiero teraz zrozumiał prawdę, co znaczyło urodzić się szczęściarzem. Pojął nieogarnioną transfigurację genów i Tajemnicy. Oszczędziły mu cierpień, wątpliwości, upokorzeń i odrzucenia. Nie znał smaku porażek, głodu ani biedy. Nie ocierał się o brzydotę i choroby. Teraz wystawiono mu rachunek. Śmierć odrywała od niego plaster szczęścia.

Opadł na poduszkę i ciężko oddychał. Zatęsknił za Ewą Zylber. Za jej uśmiechem, za złocistą skórą, za kształtnymiudami i sterzącymi piersiami. Za blond włosami, które oplatały go w trakcie miłości. Za zapachem perfum i spojrzeniem ciekawych oczu. W narkotycznym oszołomieniu widział jej pełne, lśniące usta zawieszane nad jego oczami. Tęsknota uderzyła w niego z huraganową siłą. Ból fizyczny zmieszał się z bólem wspomnień. Czuł, że jego pewność rozsypuje się na drobne kawałki, że dusza skowyczy z niemocy i potrzeby ciepła.

Nie chciał podnosić słuchawki i wszczynać alarmu. Wiedział, że to nic nie da. Po raz ostatni był niezależny. Śmierć i choroba przerzucały go sobie z rąk do rąk, igrając z jego szczęściem. Wydawało mu się, że jasnovidz Jan Bykowski wchodzi do jego sypialni i smutno się uśmiecha. Tak, jakby go informował o własnym cierpieniu i bezsilności. Szczęściarz dopiero teraz zrozumiał. Przebiła go na wskroś rozpacz człowieka nieszczęśliwie zakochanego. Ujrzał przeznaczenie, które temu samemu mężczyźnie pozwoliło przed wiekami prymitywnie i okrutnie spełnić swoją żądę, po czym w nowym wcieleniu zmusiło do poznania goryczy odrzucenia i nicości. Von Klaust doświadczył nagle złych przeczuc. Zaczął tracić przytomność. Skulił się na łóżku i wbił sobie obie pięści w brzuch. Nie widział żadnego tunelu, żadnego światła, żadnej nadziei. Lęk nie miał w sobie nic ze szczęścia. Był pełen zła i nienawiści...

Nie chciał być stary. Nie mógł znieść myśli o własnej chorobie i

niedoleństwie. Ze wstrętem i żądzą mordy patrzył na własny koniec. Za nic nie dziękował i nie miał wątpliwości, że miał takie prawo. I pytał. Dlaczego Ktoś mu to robi? Dlaczego nie może być wiecznie młody? Komu zależy na tym, aby on, tak przystojny, mądry i bogaty, umierał w cierpieniu? I po co ta śmierć? Czy rzeczywiście nie ma żadnego znaczenia, że prostak, brzydali i śmierzdel zostają? Jaki cel ma świat aż takiej równości? Czy nie szkoda jego talentu i szczęścia? Wierzył, że tak naprawdę na świecie zostaje przede wszystkim chamstwo. Toczy się plugawe NIC, te miliony pokracznych ciał, zastygających co noc w ruicznym spazmie. Szczęściarz wyszczerzył z satysfakcją zęby. On był inny. Wyjątkowy i naprawdę udany. Nie obchodziły go pokrętne filozofie i bojaźliwe religie, nie miał zamiaru dotykać czegoś, co uważał za globalny odpad. Nawet w takiej chwili, kiedy ostry jak szpikulec ból dźgał jego wnętrzności, nie potrafił myśleć o ludziach inaczej. Kochał tych, których wybierał. Reszta mogła być niewidzialna. Z upiornym grymasem sięgnął po szklanę. Nie wypowiedział żadnego imienia, nie modlił się i nie skamlał o łaskę. Bał się świata, z którego odchodził...

Ewa Zylber weszła miękko pod prysznic i wsunęła twarz pod strumień wody. Zamknęła oczy i poddała się gorącemu masażowi. Para błyskawicznie wypełniła nie domkniętą kabinę i majestatycznie oplotła łazienkę. Brązowa i elastyczna skóra dziewczyny świeciła się ezoterycznym światłem przydymionej żarówki. Po plecach i pośladkach sunęły perliste wężyki. Gorące usta rozchyliły się i pozwoliły strumieniowi rozbijać się o równe szeregi białych zębów.

Dziewczyna nie miała daru i nie mogła wiedzieć, że w jej mieszkaniu zjawiał się ktoś drugi. Jej siłą była uroda. Wędrowała ulicami i jak magnes wabiła wszystko, w czym kryła się jakakolwiek płeć. W samotności stawała się bezbronna.

Jasnowidz zachowywał się zdecydowanie i bez nerwowości. Zdejmował z siebie ubranie i starannie wieszał na oparciu siedemnastowiecznego fotela. W sypialni panował półmrok. Łóżko było pościelone i przygotowane do spania. Dochodziła druga w nocy. Nagi Bykowski usiadł w narożnym fotelu pod

oknem. Zapalił papierosa i delektował się zapachem najlepszego tytoniu. Tej nocy postanowił osiągnąć cel. Uznał, że czas na normalność przeminął. Postanowił, skoro nie mógł odczytać własnego przeznaczenia, że zareaguje instynktownie. Tylko w ten sposób potrafił pokonać tajemnicę czerni. Kobieta, której pragnął, nienawidziła go, a on nie miał zamiaru z tym się pogodzić. Widział jej przyszłość i znał każdy szczegół upodobań. Była to jednak przyszłość bez niego. W każdym innym przypadku wkraczała ciemność. *Czas na kolokwializm: „chłop z jajami”*.

Jasnowidz robił coś, co odbierało mu dar. Przeczuwał to. Niepojęte zawirowanie losu w każdej chwili mogło rzucić go na kolana. Odważył się dążyć do zmiany przeznaczenia. Ośmielił się występować przeciwko własnej wyjątkowości, przeciwko sile, która nadała mu kształt. Z każdą sekundą stawał się słabszy.

Teraz liczyła się tylko krew. Zew najprymitywniejszego z wilków, najzjadlejszego z tygrysów i najgłodniejszego z szakali porywał go do walki.

Dziewczyna weszła do sypialni i zbliżyła do łóżka. Wtedy poczuła zapach papierosa i dotyk dłoni Bykowskiego. Chciała krzyknąć, ale rzucił ją na prześcieradło i gwałtownie zaczął całować. Jego nagość przeraziła ją. Jej własna podniecała go z każdą sekundą coraz bardziej. Nienawidziła go i próbowała odepchnąć. Nie pozwolił jej jednak na najmniejszą przewagę. Kiedy jego członek w nią wszedł, wiedziała już, że przegrała. Patrzył na nią zwycięsko i powoli. Z premedytacją poruszał pośladkami, bawiąc się jej sutkami. Nie walczyła. Myślała o zemście. Za tamten stary i za ten nowy gwałt.

Jasnowidz skończył. Wstał, poklepał dziewczynę po pośladku i pogwizdując, skierował się do łazienki. Strzału nie usłyszał. Poczul ból w piersi i potężna siła rzuciła go do tyłu. Ciemność w głowie krzyczała, że dar prysnął. Był nikim. Ze strachem i zdziwieniem wpatrywał się w twarz Jakuba von Klausta. Szczęściarz chwiał się na progu sypialni i osuwał na dywan. Pistolet z tłumikiem upadł cicho tuż przy jego butach. Ewa Zylber zerwała się z łóżka i błyskawicznie przy nim klęknęła.

Na krwawiącego jasnovidza nawet nie spojrziała.

- Jesteś... - wyszeptała cicho. - On...

- Wiem... - Szczęściarz spróbował się uśmiechnąć. - Nie zdążyłem... Przeznaczenie jest silniejsze... Czas musiał zatoczyć koło...

- Dlaczego ja? - Głos Bykowskiego był chrapliwy i świszczący. - Co takiego zrobiłem, że... że nie mogła mnie pokochać?

- Zabiłeś dar ... - wykrztusił szczęściarz, dotykając z wysiłkiem czoła dziewczyny. - Miałeś szansę... Mimo przeznaczenia. Ona mogła być twoja...

- To niemożliwe... - przerwała z niedowierzaniem dziewczyna. - Ja go nienawidzę. Nie mogę na niego patrzeć, nie chcę słuchać jego głosu, nie znoszę myśli o nim... To niemożliwe. Ciebie kocham... - westchnęła i przyłgnęła ustami do policzka von Klausta. - Nie rozumiesz? Kiedy przychodziłeś, czułam, że mam dla kogo żyć. Lubiłam słuchać twojego głosu, patrzeć, jak uśmiesz się, podglądać, w jaki sposób obserwowały cię inne kobiety...

- Chciałbym wiedzieć... - nalegał coraz słabiej jasnovidz.

- Dlaczego?

- Byłeś zły - odpowiedział krótko von Klaust. - W chwili poczęcia otrzymałeś dar i stałeś się innym człowiekiem. Przeznaczenie postawiło na twojej drodze tę samą kobietę i zwyciężyło dar. Nie umiałeś tego rozegrać. Niecierpliwość... Zbyt gwałtowna natura... Nie wiem. Wszystko straciłeś...

- Czy jest aż tak źle? - zapytała dziewczyna. - Skąd wiedziałeś?

- On mi powiedział... - odparł z grymasem bólu szczęściarz.

- Za chwilę umrę i gdzieś tam... Może dziś jeszcze, a może za dwieście lat, urodzę się po raz drugi. - Oczy von Klausta zrobiły się wilgotne. - Szkoda... Kocham cię i żałuję, że tak późno się spotkaliśmy... Od początku było między nami światło... Nie czuję już twojego zapachu... Przystaję widzieć twoje oczy...

- Dłoń von Klausta dotknęła nagiego brzucha dziewczyny.

- Wiem, że będziesz je kochać...

Głowa szczęściarza von Klausta opadła na bok i znieruchomiała. Ewa Zylber przytuliła się do jego piersi i z całej siły przytrzymała na swoim brzuchu jego palce. Z boku rozległo się

słabe charczenie Bykowskiego. Dywan zabarwił się od krwi.

- Nie chcę zostawać sama... - wyszeptała ze łzami w oczach.

- Słyszysz? Nie podoba mi się świat, w którym jest tylko przeciętność. Co ciekawego mogą mi powiedzieć zwyczajni ludzie? Ze się pocą, są głodni i nienawidzą innych? Czy przeznaczenie kiedykolwiek nas jeszcze połączy? Potrzebuję miłości, słyszysz? Prawdziwej miłości...

*

Jako Japończyk niewiele mam do powiedzenia. Właściwie nic nie mam do powiedzenia. Stopniowo zamieniam się w ostry, samurajski miecz, którym podcinam gałąź życia. Spadam na wszystko, co japońskie, i zapominam o świecie. Pracuję i odpoczywam pracując... *A gdyby tak zrobić takiemu komuś zastrzyk? Mógłby przestać pracować na zawsze. Co wtedy?*

Jestem arystokratą Dalekiego Wschodu i mam szereg pozytywnych cech. Odpoczywam w towarzystwie mężczyzn i kocham się z kobietami wyłącznie na życzenie. Taka pani musi być ładna i potulna. Powinna oszczędzać mój czas i starać się prowadzić niezbyt mądrą konwersację. *Fakt. Zbyt wygadana baba może człowieka upędzić do grobu. A tam z kolei zdycha się z nudów. Nie wiadomo, co gorsze...* Pokornie dowiaduję się, że niektóre z moich kończyn należą do mafii. To szczegół. Nie dociekam jednak prawdy, dopóki mam coś do zrobienia. *No jasne! Życie jest ważniejsze. Prawda to gówno wart idealizm. Prawda to po prostu dochód na jednego Japończyka.*

Kiedy patrzę na siebie w lustrze, moja twarz wydaje mi się raczej idiotyczna. *O! To bardzo pozytywna cecha. Ilu z was stać na takie postawienie sprawy?* Jestem przerysowany i sztuczny, zarówno w ukłonach, jak w grymasach. Nie mogę uwierzyć, że nadzwyczajna pracowitość postawiła mnie na skraju załamania nerwowego, a utratę pracy podsumowuję honorowym samobójstwem. *Są ludzie, których za żadną cenę nie powinno się dopuszczać do konfidencji. Zaczynają myśleć i pozbawiają pracodawcę pracownika.*

A swoją drogą od czasu do czasu czuję się potrzebny i piękny

wśród tych nielicznych kwitnących wiśni. Pachnące płatki przypominają mi śmierć. Raz w roku pozwalają mi przeżywać narodziny, przemijanie i rozstanie. *Gdyby łatwo było sfotografować smutek, wokół siebie mielibyśmy samych wesolków.* A może w moich betonowych oczach jest tylko zwyczajny strach przed biedą? Twardość samurajskiego miecza... Twardość samurajskiego miecza... Fascynujące od lat brzmienie słów. I przebiegłość pod skośnymi oczami. Twardość samurajskiego miecza...

*

Jasnowidz miał rację. Sulikowski pogrążył się w czerni. Początek był dziecinnie prosty. Pisarz odnalazł w gazetach tych, którzy dzielili jego poglądy. *Jaka to płytka konstatacja!* Pewien profesor prawa przyjął go bardzo serdecznie i nie omieszkął wyrazić podziwu dla przeczytanej powieści. Sulikowski poprosił go o dokładne dane przestępców, którzy w ostatnich dziesięciu latach zabili, zgwałcili lub ciężko kogoś pobili. Kiedy o to prosił, uśmiechał się, wzbudzał zaufanie, opowiadał o projekcie nowej książki... *Takie uproszczenie może się podobać. Wiadomo, że pociąg wyjechał ze stacji X i dojechał do stacji Y. Każdy inny wariant nie zadowala nas.*

Pierwszą egzekucję wykonał na początku maja. Strzelał spod lewej pachy. Zawsze bokiem do ofiary. Tłumik nałożony na lufę pistoletu prawie całkowicie zagłuszał odgłosy strzałów. *A skąd on wziął spluwę? Tak po prostu kupił? Powiedzmy, że na pośladku dziewczyny w ciasnym staniku odbił się kształt lufy. To łatwiej sobie wyobrazić, prawda?* W ciągu trzech dni Sulikowski zastrzelił pięciu mężczyzn, którzy cztery lata wcześniej porwali z ulicy piętnastoletnią dziewczynę i przez pięć dni zbiorowo ją gwałcili i bili. Pisarz nie miał wątpliwości, że zasłużyli na śmierć. Uznał, że społeczeństwu nie jest potrzebna ich resocjalizacja. Zrobili coś, czego nie można było naprawić. Ustalił adresy, sprawdził zdjęcia i przez kilka dni obserwował swoje ofiary. Potem wymierzył sprawiedliwość. Z przyjemnością i skutecznie. Za każdym razem ubrany w inny płaszcz, w inne okulary i inną czapkę. Policja mogła się co

najwyżej rozkraczyć. *Założę się, że większość z nich chętnie to robiła. Powolni ludzie tak mają...*

W podobny sposób Sulikowski usunął pięćdziesięciu ośmiu morderców, pedofilów i notorycznych łobuzów. W różnych miastach, o różnych porach, zawsze z tej samej broni. Pistoletu HK P7, wersji trzynastonabojowej z tłumikiem. *Co on najlepszego zrobił? Z takich notatek żyje ta cholerna brukowa prasa...* Przestał pisać, przestał czytać i coraz bardziej rozsmakowywał się w swoim nowym zajęciu. Żył z procentów i stale rosnącego konta. *Świat miał niewątpliwie sporo szczęścia, że ktoś taki mógł się utrzymać, a przy okazji zrobić tyle dobrego. Los był łaskawy...*

Gazety pisały o nim nieprawdopodobnie dużo. Dziennikarze prześcigali się w ubarwianiu jego pochodzenia, wyglądu i motywów działania. Dziesiątki rzekomych świadków z zachwytem opisywało każdą egzekucję. Za to prawnicy i intelektualiści domagali się natychmiastowego schwymania samozwańczego sędziego oraz przykładowego ukarania. *To zrozumiałe. Jest w urzędnikach sądowych tyle dobrego. Wybaczają nawet cudze cierpienia, kalectwo lub śmierć. Przede wszystkim cudze. Widzą człowieka i nic więcej. Humanitarnie tłumaczą zło, chwytając rękami wiatr.*

Informują, że nie złapali, ale będą próbować... Zwyczajni ludzie na łamach gazet pisali do Sulikowskiego pełne uwielbienia listy. Został bohaterem przełomu wieku. Nadzieją na oczyszczenie świata ze zbrodni. Anonimowym stwórcą równowagi. Uzasadniał wiarę w dobro i zło, karę i nagrodę.

Karol Sulikowski zapragnął niemożliwego. Wyobraził sobie świat bez zbrodniarzy i bandytów. Zaufał bezpieczeństwu. Potężna imaginacja usiadła mu na karku i wykrzyczała do ucha nienawiść. Nie uspokajał go już widok przetartej skarpetki, brudnego kołnierzyka od koszuli, spodni z wypchanymi kolanami czy zaciśniętych w pięści dłoni. Zapragnął całkowitego spokoju.

Jednak pewnego dnia ciemność zapaliła iskrę, która oświetliła krew. Sulikowski szedł właśnie za pijanym recydywistą, mordercą trojga turystów. Od pięciu dni snuł się za przestępcą

dusznymi ulicami. Czekał na dogodną okazję. Więzienna przepustka kończyła się i należało działać szybko. Co jakiś czas Sulikowski wyjmował z kieszeni zdjęcia zabitych turystów i utwierdzał się w słuszności podjętej decyzji. Po raz pierwszy poczuł zmęczenie. Misja, której się podjął, zaczęła przypominać nudną pracę urzędnika. Zemsta przestawała wystarczać, sprawiedliwość nie dźwięczała już tak ostro, a zepchnięta na odległy plan prywatność dopominała się o swoje prawa. *Warto byłoby obejrzeć te prawa w teledysku. Mógłby być nawet niekolorowy...*

Sulikowski wszedł na klatkę schodową starej kamienicy i zbliżył się do recydywisty, otwierającego właśnie drzwi. Rozejrzał się i popchnął przestępcę do mieszkania. Lufę pistoletu wycelował w twarz mordercy. Tamten nie podnosił się, podejrzliwie patrzył na stojącego w przedpokoju pisarza.

- Czego chcesz? - warknął bandyta.

- Strzelić ci w łeb za zamordowanie trojga ludzi... - Tym razem głos Sulikowskiego zabrzmiał bez pasji. - Rok 1993. Przypominasz sobie?

- Jesteś z rodziny? - zapytał spokojnie morderca.

- Jestem sprawiedliwością - odparł sennie pisarz. *Stary, nie zasypiaj! Nie teraz.* - Płacę za ból i strach ofiar. Płacę za niedoskonałość prawa...

- Przestań pieprzyć! - przerwał mu z irytacją morderca.

- Swoje właśnie odsiaduję...

- Co odsiadujesz? - wybuchnął Sulikowski. - Co ty, kurwa, odsiadujesz? Coś ci się chyba popierdoliło? Czy ty naprawdę wierzysz w to, że można odsiedzieć zamordowanie człowieka? Przeliczyć to na lata? Czy te osiem lat zwróci im życie? Pozwoli zapomnieć rodzinie?

- Każdy może popełnić błąd... - ostrożnie próbował tłumaczyć się przestępca.

- Błąd? - Sulikowski znów poczuł uderzenie adrenaliny. Jego górna warga zafalowała i odsłoniła w pogardliwym grymasie żółte od nikotyny zęby. - Błędy są w zeszytach szkolnych, w wypracowaniach i podczas nauki jazdy... Siedzisz po raz trzeci. Kiedyś za pobicie, później za kradzież... Po raz ostatni

przesadziłeś. Dlatego tu jestem. Za skurwysyństwo należy się tylko kula w łeb. Świat nie potrzebuje ścierwa... *Dobry tekst. W sam raz do podręcznika dla prokuratorów.*

- Ty jesteś... Ty... - Morderca dopiero teraz przeraził się naprawdę. - To o tobie pisać... Słuchaj, może się dogadamy, co? Wtedy pojawiła się ona. Dziewczynka mogła mieć nie więcej niż czternaście lat. Stała, obejmowała rękami framugę i przytulała policzek do odrapanej farby. Sulikowski, który miał zamiar nacisnąć spust, utkwiał spojrzenie w długich, kształtnych nogach dziewczynki i powoli opuszczał lufę pistoletu. Centymetr po centymetrze, dokładnie zapamiętywał każdy szczegół jej wyglądu. Sukienka w czerwone groszki była sprana i uszyta z najtańszego materiału. Opinała jednak dokładnie zaokrąglenia rodzącej się kobiety. Pisarz musnął wzrokiem pełne jak na jej wiek piersi, przez moment smakował kształt zmysłowych ust, po czym z narastającym zdziwieniem napotkał jej oczy. Nie zastanawiał się, co było w niej tak wyjątkowego. W tamtej chwili czuł jedynie gwałtowne uderzenie pożądliwości. Irytacji i wstydu. Kołysał się na rozpalonej do czerwoności linie, bojąc się wykonać jakikolwiek ruch. *Diagnoza? Zbyt gwałtowna reakcja na piękno.*

- Niech pan go nie zabija... - dziewczynka miała głęboki, smutny głos. - To mój ojciec...

Sulikowski spojrział na leżącego w bezruchu recydywistę. Prawie automatycznie schował pistolet pod marynarkę, odwrócił się i wyszedł z mieszkania. Jego głowa pod peruką pokryła się kropelkami potu, a przyklejona broda zaczęła ślizgać się na policzkach. Dziewczynka dogoniła go tuż przy drzwiach wyjściowych. Tym razem aż wciągnął z wrażenia powietrze. Przez pękniętą szybkę w drzwiach objęła ją słoneczna smuga. W korytarzowym, gęstym jak tropikalny upał kurzu tańczyły miliardy żółtopomarańczowych drobinek. Jej włosy były nieprawdopodobnie skręcone i czarne. Oddychała ciężko i dyskretnie poprawiała za ciasną sukienkę. - Chciałam panu podziękować... - szepnęła, nie patrząc mu w oczy. - On już jest inny... Żałuje tego, co zrobił... Pan wie...

- Jesteś sama? - zapytał jeszcze ciszej od niej. Usłyszała.

- Wysłała mi z więzienia pieniądze - wytłumaczyła pośpiesznie. - Pisze listy... Chce, żebym się uczyła, żebym została adwokatem... *No, po czymś takim można się nawet obliczać.* Na pięknej, lekko dziecinnej twarzy osiadł już cień dorosłości. Dziewczynka znajdowała się na granicy przemiany. Mimo tenisówek i plastikowego pierścionka na palcu w nie wyjaśniony sposób krzyczała przez nią dojrzałość. Jej ciało uderzało wital- nością wiosennej rui. *Caramba!* Obiecywało więcej, niż mogło dać. Sulikowski próbował się przed tym obronić. Wmawiał sobie, że była dzieckiem i nie potrafił odejść. Ona również zachowywała się inaczej niż zwykle. Nagle zdała sobie sprawę, że jest aż do bólu pusta, że pragnie wypełnienia i przestaje ją cokolwiek innego obchodzić. Podniosła rękę i powoli, jakby ze strachem, poprawiła mu kosmyk włosów z peruki na czole. Teraz ona odchodziła. Stąpała po schodach teatralnie i dziko w wilgotnej czeluści starego korytarza. Akcentowała pośladki, sprężystość nóg i obiecującą talię. Nie zostawiła żadnego zapachu. Zniknęła tak, jakby jej nigdy nie było.

*

Mimo lata i męczącego upału mężczyzna z biblioteki założył grube kalesony i wełnianą czapkę. Tego dnia postanowił także nie myć zębów. Paznokci nie obcinał już od trzech tygodni, a jego policzki pokrywał nierównomierny zarost. *I pomyśleć, że są tacy, którym włosy w ogóle nie rosną...* Do tej pory atakował świat swoim pisaniem, kłając jadowicie najmniejsze nawet przyczyny swojego niezadowolenia. Z łatwością wyławiał z tłumy brzydotę i wstręt, po czym walił w nie jak w bęben. Sprośności, które notował jego długopis, sprawiały, że od dłuższego czasu cierpiał na zatwardzenie. *Miał chłop szczęście, że nie męczył go ustawiczny wzwód.* Być może ta właśnie dolegliwość potęgowała w nim niepohamowanie i żądzę mordu.

Teraz mu ulżyło. Kiedy pot załaskotał go między nogami, a rosochata łepetyna zaparowała jak koński zad, wtedy poczuł sens swojej pracy. Zrozumiał celowość walki z obcymi pomysłami, z tym beszamelem, który potrafił zniszczyć dobre ludzkie

życie. Postanowił w ten właśnie sposób zgłębić słabość ciała i doprowadzić się do granicy absolutnej niezależności. Naprawdę wolny bywał tylko w chwili ataku. Odpoczynek i codzienność przypominały mu oddawanie stolca pod wodospadem. Pośladkami do góry, oczywiście.

Z tego gorąca wyzwoliła się w mężczyźnie zdolność do kreowania. Innego niż pisanie sztuki. Na krótko, ale to wystarczyło. Historia malarstwa ugięła się pod naporem talentu. Kiedy zatrzymał się na środku czytelnicy i zeszytniał, wzbudzając podejrzliwą ciekawość, wówczas zobaczył obrazy, które miały szansę okiełznać najbardziej wzdętego snoba. Żadnych kształtów, żadnych plam i żadnych kwadratów. Wyłącznie wyrazy. Opisy tego, co znajdowało się w ramkach.

„Serce, z którego wydobywają się białe, uśmiechnięte robaki z cygarami i małymi wąsikami.” „Ryś z nogami w kształcie królików, biegnących na swoich własnych czterech nogach.” „Liście sałaty ze spłaszczonymi twarzami najpiękniejszych kobiet świata”...

Mężczyzna zobaczył postać, która wyłoniła się spomiędzy regałów.

- Kim ty, kurwa, jesteś? - zapytał obcego. *No, no, no... co za język!*

- Marszandem... - odparła postać. Z wyglądu był to artysta. Nosił pracowicie, narcystycznie przyciętą siwą brodę, ciemne okulary w dużej, grubej oprawie i szary prochowiec z lat trzydziestych. *Nie ma wątpliwości, że ktoś taki musi być cholernie głęboki. Intelktualnie, co?*

- Co ty pierdolisz, stary? - mężczyzna otworzył szeroko usta i bardzo przenikliwie wpatrywał się w rozmówcę.

- Sprzedaję obrazy - wyjaśnił spokojnie obcy. - Udowadniam światu, że wybrany przeze mnie artysta jest dużo wart...

- Jesteś niezłe pojebany - stwierdził mężczyzna. - Skąd wiedziałeś, że dzisiaj coś namaluję?

- Czekałem.

- Chcesz mnie wylansować? *Pisarz nie powinien tak pytać. Nie wypada.*

- Nie. Chcę ci powiedzieć, że to, co namalowałeś, a właściwie

napisaleś, można dobrze sprzedać. Wystarczy promocja i kilka głosów... Głosów specjalistów, oczywiście. Takich, których już wypromowano. Nie są ani mądrzejsi, ani inteligentniejsi, ani lepsi. Po prostu wypromowani. Nic więcej... *Oj, bo się ktoś obrazi...*

- Pierdolisz... Bierz się do roboty. - Mężczyzna potrząsnął głową z irytacją.

- Postanowiłem ci powiedzieć, że twoje malarstwo nie zostanie jednak wypromowane - kontynuował obcy. - Mogłoby zostać, ale nie zostanie... *Czy to nie jest przypadkiem molestowanie seksualne?*

- Do chuja miłego, to po co przyłazłeś?

- Przyszedłem, żeby ci o tym powiedzieć.

- Ale dlaczego nie chcesz mnie wylansować?

- Dlaczego? Po prostu cię, kurwa, nie lubię... *Czy facet, który zarabia pół miliona dolarów rocznie mógłby być aż tak szczery?*

Mężczyzna szarpnął się do tyłu, zapiał wściekle i cisnął swoim stukartkowym zeszytem w powietrze. Obcy gdzieś zniknął, a bibliotekarka z przerażeniem obserwowała lecący w jej stronę zeszyt. Kilkunastu czytelników z niedowierzaniem odwróciło głowy. W ich oczach kryła się pogarda i wyższość. Byli czyści, zrównoważeni i mieli plany na przyszłość. Mężczyzna przypominał im śmiecia wywianego ze śmietnika przez podmuch wiatru. Czekali na coś niesamowitego. Potrzebowali okazji, żeby zadzwonić po policję.

Obrazy zniknęły. Mózg mężczyzny domagał się spaceru. Cisza biblioteki i samotność pisarza zgasły. Z czytelni wychodził ktoś całkowicie inny. Przekleństwa zostawały w przeszłości, kurwy i takie inne umierały na papierze, a w ciemności rodziła się bestia. Dowodem na to było drżenie warg sromowych kobiet mijających właśnie mężczyznę. Przeczuwały totalne rozwarcie a ich skóra robiła się różowiotka. *Na ten temat chcielibyśmy wiedzieć więcej. Pytanie, o ile więcej?* Dżdżownica rozciągała pierścienie i życie nabierało sensu. Nienawiść nabierała kształtu. Wykluwał się robak, o którym obywatele świata woleli nie wiedzieć.

*

Zdrada nadeszła niespodzianie. Wsunęła się najciszej, jak było można. Kiedy postawiła przed nim szubienicę, zrozumiał, że sprawiedliwość ma go dość. Chciał się wytłumaczyć, obronić, zdenerwować... Niewidzialna dłoń zapukała w nocy do jego drzwi i przeniknęła do środka. Karol Sulikowski był bezbronny. Dziewczynka usiadła na łóżku i zsunęła z siebie sukienkę. *Teraz powinna wkroczyć cenzura. Z nożycami długimi jak nowojorskie ulice.* Materiał opadał powoli. Nie wiedzieć dlaczego zawisł na szubienicy. Pisarz widział wyraźnie poddmuchy wiatru, falujący materiał i rozpędzone wściekle chmury. W jego sypialni ktoś znalazł czas i miejsce na odkształcanie prawdy. Puszyste, skręcone włosy dziewczynki muskały jego twarz. Wiatr nie ustawał. Ona siedziała nieporuszona. Tak jakby nie wiedziała, że zimne światło księżycy rysuje linię jej ciała rozpalonym żelazem w mózgu pisarza. *W identyczny sposób odciskają swoje ślady spojrzenia dziewcząt i chłopców na egzotycznych plażach Florydy, Cypru czy Wysp Karaibskich...*

Boże, przeraził się Sulikowski, kto za tym wszystkim stoi? To nie było już podniecenie. Żądza miłości zamieniła się w oszalałe znaki zapytania. Sulikowski zobaczył i poczuł miliardy emocji, jakie przetoczyły się przez świat. Zobaczył cywilizacje, o których nikt nie pamiętał. Wił się z rozkoszy w objęciach par, które tysiące lat wcześniej miały własne szkoły, języki i państwa, a które pograżyły się w niepamięci. Przecinały go miecze barbarzyńców i rozrywały łańcuchy wiernych. Zobaczył wyraźnie wytyczone ścieżki obowiązujących praw. Tęsknota za absolutnym spełnieniem chwyciła go za gardło i bezwzględnie dusiła. *No proszę. Gość w ogóle nie potrzebuje narkotyków.* Dziewczynka powoli odwróciła w jego stronę twarz. Jej spojrzenie przeszywało jego skórę milimetr po milimetrze. To nie było już dziecko i nie była dojrzewająca panienka. Teraz patrzyło na niego przeznaczenie. Spoglądało oczami tancerki z obrazu Renoira *Taniec w Bougival*. Tak patrzyły kobiety zmuszające się w towarzystwie mężczyzn do wążania piwa

tylko po to, aby nie zniszczyć swoich pensjonarskich, melodramatycznych nadziei.

Narodziny pomysłu oznaczały zawsze kłopoty. Ziemia tolerowała plemiona, poddawała się walkom niewielkich grup, wytrzymywała narodziny małych cywilizacji. Twórczość miała jednak swoje konsekwencje. Wyzwalała pożądanie. Wiedza oznaczała tylko jedno: śmierć starej wiedzy. Kiedy Sulikowski znalazł się w gabinecie prezydenta Rosji, usłyszał przerażenie i bezsilność. *Może taka wizyta rzeczywiście ma ręce i nogi? Kto to słyszał, żeby prezydenci nie znali tak znakomitego pisarza?!*

- Czy ma pan dobrą wolę? - zapytał prezydent, opierając się z ciężkim westchnieniem o fotel.

- Mam dobrą wolę i nienawidzę zbrodni... - Taka odpowiedź wydała się Sulikowskiemu właściwa.

- Boję się, że nie wyobraża pan sobie skali naszego indywidualizmu - odezwał się prezydent Rosji. - Setki lat pracowano nad rozkołysaniem słowiańskiej duszy i udało się.

Odmiana rosyjska jest na szczęście bardzo liczna.

Ba! Najliczniejsza!

- Co mógłbym dla pana zrobić? - niepewnie zapytał pisarz.

- Tylko pogadać - zaśmiał się pusto prezydent Rosji. - Nie można zatrzymać czegoś, co wymknęło się spod kontroli. Ludzi. Tysięcy, milionów, miliardów ludzi... Głodnych, ambitnych, nienawistnych, wygodnych i leniwych. Gdyby pan spróbował odkręcić głowy tym, którzy stawiają na atak... Gdyby... Pan jednak nie może tego zrobić. To nierealne. Garnek stał się za ciasny, przelewa się...

- A gdybym tak zabił tych wszystkich, którzy pobudzają agresję? - Karol Sulikowski zamknął oczy, ponieważ wydawało mu się, że dziewczynka musnęła rzęsami jego usta. *W okolicach francuskich Alp wieją mis trale, które potrafią być tak samo delikatne...*

- Kto miałby dostarczyć panu listę nazwisk? Ja? Przecież nie musi mi pan ufać...

- Jestem gotowy - odpowiedział poważnie Sulikowski.

- Mogę zabijać dla dobra tej cywilizacji. Zacznę od góry. Może

to jest prostsze, niż myślimy? Może zabicie najbardziej agresywnych przywódców oczyści i uspokoi świat? Nie chcę wojny, nie chcę cierpienia, nie wyobrażam sobie tak głupiej śmierci...

- Powiedzmy, że oceni pan właściwie tych najbardziej niebezpiecznych - kontynuował prezydent Rosji. Bawił się nożem do rozcinania papieru i przebiegle uśmiechał. - Za nimi stoją jednak następni. Partie mają programy, w które wierzą tysiące, a może nawet miliony ludzi. Nie ma pewności, czy na miejsce zabitego nie przyjdzie jego zastępca. Jeszcze gorszy, jeszcze bardziej ambitny i spragniony władzy... *Fakt. Tak już bywało.*

- A gdyby tak zabić tylko tych najgorszych? - naciskał pisarz, czując na szyi oddech dziewczyny. Nie chciał, żeby go dotykała. Musiała pozostać czysta. Kochał w niej wyłącznie obietnicę rozkoszy. Kochał tęsknić i pragnąć. Wolał umrzeć niż ulec chwili. Odsunął się od pochylonych ust i wszedł do gabinetu prezydenta Stanów Zjednoczonych. *I to była, kurwa go mać, dobra decyzja!*

- Ja i moi poprzednicy udowodnili, że demokracja może być dobra - przywitał Sulikowskiego prezydent. - Wobec świata zawsze byliśmy w porządku... - Głos prezydenta zawisł na moment w powietrzu, po czym poprawił cicho: - No, przeważnie byliśmy w porządku...

- Wiem - przytaknął pisarz. - Kogo mam zlikwidować, żeby nie zburzyć równowagi? Co zrobić z przeludnieniem? Jeżeli zabiję najbardziej agresywnych, zaczną mordować się ci, którym będzie za ciasno... Czy świat musi zginąć? Nie ma wyjścia?

Obaj wiedzieli, że stawiają pytania retoryczne. Amerykański prezydent nalał sobie whisky i pokazał palcem butelkę. Sulikowski odmówił ruchem głowy. *A gdyby się uchlał, to przynajmniej przez parę godzin miałby spokój. Czy Sulikowski nie jest przypadkiem za bardzo uczciwy? Może to przysłowiowy frajer? A gdyby tak został nagle okrzyknięty przez Francuzów królem pisarzy? I otrzymał dożywotnią rentę plus apartament z widokiem na Pola Elizejskie?*

- Chiny - rzucił w próżnię prezydent. - Ma pan jakieś zarzuty?

- Mam. Do większości mam zarzuty. Chiny są strasznie

niebezpieczne - potwierdził Sulikowski. Teraz nie chciał nawet otworzyć oczu. Zaczynał odczuwać męskie zdenerwowanie.

- Koszta demokracji w Chinach mogłyby być nieobliczalne... *Ludzie, co za publicystyka!* Miliony ambicji spuszczone ze smyczy.

- Naturalna selekcja - wtrącił prezydent. - Potem następuje uspokojenie. Ameryka też miała swoje wojny. Niektóre bardzo krwawe...

- A więc zawsze pozostaje wojna! - krzyknął z irytacją Sulikowski. - Co takiego jest na tym świecie, że nie możemy tego opanować. Czyżbyśmy wszyscy zostali całkowicie uzależnieni od prokreacji? Gdzie tu jest mowa o sprawiedliwości? *Zatem, panie i panowie, zostaje jedynie zwyczajna ludzka przyzwoitość. To niewiele, ale przynajmniej jest co posmakować. Cierpki smak tradycji bohaterów raz po raz karmi złudzeniami sztukę.*

Karol Sulikowski otworzył oczy i szybko je zamknął. Nie było czternastoletniej dziewczynki, nie czuł już gorącego oddechu, nie musiał cierpieć. W jego usta wpiła się kobieta dojrzała, podniecona i piękna. Odeszli prezydenci, umarli ciężkie pytania, został tylko niewielki pokój ze światłem księżycy przecinającym łóżko. Firanka wydeła się pod wpływem podmuchu ciepłego powietrza, a srebro nocy przetoczyło się pod powiekami pisarza. Prokreacja wykorzystywała nawet najmniejszy procent szans na zwycięstwo. Kobieta wyprostowała się i zobaczył to, co czaiło się w jego wyobraźni. Miłość. *Przynajmniej to jedno pozwala docenić życie. Szkoda tylko pięknych ciał, które musiały się zestarzeć i po śmierci paskudnie zgnić.*

*

Oczy biednych dziewcząt są smutne. Wyglądają tak, jakby nie miały dna. Brak pieniędzy wystawia takim oczom najwyższe rachunki. Nikogo to nie obchodzi. Nikt nie pragnie dłużej w nie patrzeć. *Oczywiście poza oczami takich samych mężczyzn.* W sklepach Nowego Jorku, Londynu czy Rzymu zakwita szczególny rodzaj śmierci. Oczy są zabandażowane i szczęśliwe.

Patrzą na świat poprzez lakier, który odprysnął ze zbyt długich paznokci, poprzez wytartą szminkę na wymiętych ustach, poprzez burdelowe rajstopy na wychudłych nogach. *Tak się jakoś składa, że nogi te są przeważnie tylko nogami. A szkoda.* Smutek mieszka cicho w wyniszczonych włosach, w otępiałych palcach i podrzędnej twarzy. Jest jak błogosławieństwo najgorszego z genów, pomruk wydobywający się z wielowiekowej otchłani nędzy, okrucieństwa i głupoty.

W oczach biednych dziewcząt mieszka pogodzenie. Czasami zaszumi ambicja starannie zagłaskana mydlaną operą lub tanim czasopiśmem dla kobiet. W chwilach wolnych od pracy oczy takie osiadają na najbliższych spodniach i pozwalają w siebie patrzeć. *Czy w nocy, na siedzeniu samochodu lub w krzakach, cokolwiek widać?* Od samego urodzenia starannie sterylizowane robią w trakcie tańca wiele hałasu. Wabią mężczyzn obietnicą milczenia. W slumsach na wszystkich południkach i równoleżnikach sponiewierane oczy biednych dziewcząt ocalają świat przed katastrofą. Są jak niewidzialne piętra prowadzące do salonu. *Nie ma chyba wątpliwości że słowo „pogodzenie” brzmi w takim miejscu jak słodki żart...* Odpowiadają za rury kanalizacyjne, za dywany, za kable rozpostarte nad polami, za asfalt szos i wymioty pariasów. Bóg zlitował się nad światem i podarował mu oczy biednych dziewcząt. Ocalone marzenia, ocalone nadzieje, ocalony pokój, ocalone życie... *A może ktoś ma inne zdanie? Warte na przykład milion dolarów?*

*

Przebudzenia stawały się coraz bardziej dolegliwe i nudne. Karol Sulikowski zaczynał mieć dość nawet otwierania oczu. Z dnia na dzień przestała mu wystarczać misja, której tak chętnie się podjął. Sprawiedliwość przygniotła go do ziemi i po prostu zmiażdżyła. Czuł się bezsilny i niepotrzebny. Zło przerosło jego wyobraźnię. *To są prawdopodobnie konsekwencje braku myślenia pozytywnego.*

Na meblach pojawiła się gruba warstwa kurzu, a komputer od

kilku miesięcy nie został ani razu włączony. Pisarz, który nie napisał ani jednej linijki tekstu, zaczynał przypominać bombę z opóźnionym zapłonem. *A jak to się ma do stale rosnącego konta? Czyżby praca dla idei, działanie w interesie dobra, były mniej znaczące od jakże płaskiego pomnażania samych tylko pieniędzy?*

Wokół łóżka leżało tysiące kartek, wyjętych i skserowanych z akt sądowych. Fotografie i stenogramy z rozpraw przykrywały prawie całą podłogę. Na nich stały butelki po martini. Niektóre były pełne, inne zaledwie napoczęte lub zwyczajnie puste. Te ostatnie pisarz zapychał wypalonymi do połowy papierosami. Wyblakłe od słońca ustniki, rozłazący się papier i resztki tytoniu rozpląszczały się na szkle butelek i przypominały zdjęcia zajętego gruźlicą płuca. Niektóre z tych butelek były zakręcone. Te jednak, które nie miały kapsli, korków bądź zakrętek, wyrzucały na pokój smrodliwe opary. Należy mieć nadzieję, że tylko nieliczne matki doświadczały w ten sposób dojrzewania swoich dzieci. Kompletu dwunastu filiżanek, sześciu szklanek i trzech kubków z napisem „Donald Duck” również tkwiły porozstawiane po całym mieszkaniu. Na nowoczesnych meblach leżały stosy ubrań, których Karol Sulikowski nie zaniósł nigdy do pralni. Wnętrze domku przypominało chylące się ku upadkowi cesarstwo. *Zawsze to do szamba jeszcze kawałek drogi...*

Zadzwoił telefon. Sulikowski wyjął słuchawkę spod poduszki.

- Chwileczkę - mruknął zachrypniętym głosem i pochylił się nad podłogą. Znalazł butelkę martini i połówkę cytryny. Nalał sobie do szklanki, wcisnął cytrynę i duszkiem wypił. Otrząsnął się i zbliżył słuchawkę do ust.

- Halo! Słucham, Sulikowski... - zaczął nienaturalnie energicznie. Po chwili jego twarz wykrzywiła jakby pod wpływem czegoś wyjątkowo beznadziejnego.

Peter Coy dzwonił przynajmniej dwa razy w tygodniu, mając nadzieję, że zmusi w ten sposób swojego bestsellerowego autora do wysłania chociaż jednego rozdziału zapowiadanej od kilku miesięcy nowej książki. Z siebie tylko wiadomych źródeł wiedział, że Sulikowski zaczął pić i powoli stacza się do

rynsztoka. Kilkakrotnie kontaktował się z polskim wydawcą i nigdy nie został usatysfakcjonowany odpowiedzią. Tamten po prostu niewiele wiedział.

Coy jednak był zbyt starym lisem, aby nie podejrzewać czegoś ekstra. Domyślał się, że człowiek pokroju Sulikowskiego nie wykańczał się bez poważnej przyczyny. *Brytyjska wiara w człowieka jest doprawdy zachwycająca!*

- Niedługo coś napiszę - wyjaśniał pisarz, starannie dobierając angielskie słowa. - Mam doskonały temat... Tak, to będzie jeszcze większy sukces... Dobrze, proszę dzwonić. Do widzenia...

Wstał i powoli podszedł do okna. Otworzył żaluzje i wyjrzał na ulicę. Ilekroć to robił, przypominał sobie tajemniczego mężczyznę, który jeszcze przed kilkoma miesiącami rozmawiał z nim przy czerwonym jaguarze. Potem dowiedział się z gazet, że mężczyzna okazał się przestępcą i zginął od kuli w czasie napadu. Sulikowski nie mógł pozbyć się uczucia, że cała ta historia miała podwójne dno. Doskonale zapamiętał przenikliwą i niezrozumiałą przepowiednię nieznanego. Jasnowidz radził mu nigdy nie zaczynać... Każdego ranka czuł obecność tajemnicy i za każdym razem przenikał go dreszcz niewytłumaczalnego strachu. *Można sądzić, że mamy tutaj do czynienia z olbrzymim, metafizycznym problemem.*

Kiedy wyszedł z domu, wydawało mu się, że powietrze wokół niego zrobiło się gęste i lepkie. Rozglądał się ukradkiem, mając nadzieję, że nikt go nie dostrzeże. Tęsknił. W dodatku wszystko, co do tej pory zrobił, straciło sens. Darował życie mordercy i w ten sposób uległ niesprawiedliwości. Czuł, że takie postępowanie było błędem, że zapowiadało najgorsze. Rozpaczliwie ratował się myślą o pięknej czternastoletniej dziewczynce, dla której zniszczył swoją misję. Potrzeba uczuć eksplodowała w Karolu Sulikowskim z niebezpieczną siłą. Zakochał się i - co go najbardziej bolało - nie wiedział, jak powinien postąpić.

W jednej chwili doświadczył straszliwej samotności pionierów. Zrozumiał cierpienia, jakie spadały na tych, którzy w tysiącach wojen tracili swoich najbliższych. Patrzył oczami matek

ogładających śmierć własnych dzieci, oczami ojców, którym hańbiono żony i córki, oczami dzieci pozostawionych pod gwiazdami na pastwę losu. Był to szczególny rodzaj samotności, znany doskonale tym, którzy kiedyś zostali zmuszeni do porzucenia w popłochu własnych domów. Lęk przed brakiem równowagi pogłębiał uczucie przerażenia i tęsknoty.

Sulikowski odruchowo podjechał swoim nowym jeepem pod zniszczony blok dziewczynki. Zatrzymał się i zapalając jednego papierosa od drugiego, smętnie obserwował wejście do klatki schodowej. Pojawiła się dopiero wieczorem. W tej samej sukience i w tych samych tenisówkach. Niosła torbę z butelkami na mleko. Poruszała się jak rasowa klacz, którą przez pomyłkę włączono do transportu koni pociągowych. Pisarz nie wysiadł. Poczekał, aż odejdzie, po czym zapalił silnik i wolno ruszył za nią. Zatrzymał się przed sklepem i otworzył okno. Nie miał pojęcia, co robi. Zdał się na przypadek. Po prostu siedział, patrzył na drzwi do sklepu i czekał. Dopiero po kilkunastu minutach wyczuł, że jest obserwowany. Zobaczył ją przez szybę. Stała w sklepie, piła z butelki sok i wyraźnie mu się przyglądała. Spuścił oczy i nerwowo sięgnął po kolejnego papierosa. Kiedy stanęła naprzeciwko niego i w milczeniu spojrzała mu poważnie w oczy, miał wrażenie, że najgorsze minęło. W ten sposób patrzyły tylko dorosłe, doświadczone przez życie kobiety.

- Jest pan... - odezwała się najzwyczajniej i po prostu.

- Jestem - odparł tym samym tonem.

- Wiedziałam, że pan przyjedzie...

Pisarz pokiwał głową, jakby usłyszał własne myśli. Wiatr, który zawiął od jej strony, nie przyniósł żadnego zapachu. Tak jak poprzednio.

- Co mogę zrobić? - zapytał, pocierając dłonią o niestarannie ogolony policzek.

- Nie wiem... - odpowiedziała, przestępując z nogi na nogę. Jemu jednak wydało się, że doskonale wiedziała.

- Czy jesteś głodna? - Tym razem nie pomylił się.

- Długo pana nie było - powiedziała jakby do siebie.

- Tak to prawda - stwierdził sucho. - Mam problem...

Dziewczynka przysunęła się do niego i dotknęła kolanem jego nogi. Sulikowski ostrożnie podnosił coraz wyżej spojrzenie. Zatrzymał je na kształtnych, czerwonych ustach. Na więcej nie miał siły.

- Wiesz, że to niemożliwe, prawda? - odezwał się cicho.

- Muszę już iść...

Odwróciła się i szybkim krokiem, pobrzękując butelkami, zaczęła się oddalać. *Może na tym właśnie polega dziewczęca niedojrzałość?*

Sulikowski odprowadził ją zamyślonym wzrokiem. Chciał wsiąść do samochodu, ale nie zdążył. Kilka centymetrów od jego twarzy pojawiły się oczy policjanta trzymającego w dłoni legitymację. Pod pachą pisarza ugrzęzła lufa pistoletu. Dwaj pozostali policjanci błyskawicznie wyłuskali jego broń i skuli mu ręce kajdankami. Jeden z nich nosił na ramieniu aparat fotograficzny. Wszyscy trzej byli ubrani po cywilnemu. Palcem pokazali Sulikowskiemu samochód, do którego musiał wsiąść. *Dziwne... Człowiek tak sławny, tak bogaty, z takimi perspektywami... Czy życie naprawdę nie może być przyjemne? Zawsze musi ktoś przeszkadzać?* Odezwali się dopiero podczas jazdy.

- Nic do ciebie nie mamy - powiedział najniższy, prawie całkowicie łysy mężczyzna. - Zostałeś wystawiony, a nam kazali wykonać robotę. Wiedziałaś, że ta mała jest nieletnia? - W policyjnym busie zapanowała chwilowa cisza. - To tyle nieoficjalnie. Teraz musisz sobie wynająć adwokata... *Ta historia zupełnie nie pasuje do poziomu życia Karola Sulikowskiego. Skąd ona się wzięła i dlaczego burzy elementarne poczucie sprawiedliwości?*

- Kto mnie wystawił? - rzucił przed siebie Sulikowski.

- Komu na tym zależało...

- Tatuś tej małej został nagle porządnym obywatelom

- wtrącił ironicznie policjant siedzący przy kierownicy. Przypominał indyka, a grdyka na jego szyi wykonywała nerwowy taniec w górę i w dół. *Taki widok może człowieka zachęcić do chirurgii...*

Sulikowski zrozumiał. Dotarło do niego coś więcej niż zdrada i niewdzięczność. Zobaczył bezsens swojej misji. Tysiące straconych godzin, ślęczenia nad aktami, wczytywania się w poźółkłe sądowe kartki.

- Co jest, kurwa?! - krzyknął nagle kierujący policjant i ostro zahamował. Sulikowski i dwaj pozostali policjanci zatoczyli się do przodu, uderzając o siedzenie przy drzwiach. Na jezdni tuż przed samochodem stała piękna i wyniosła Ewa Zylber, trzymająca za rękę chłopca. Chłopiec był elegancko ubrany i na pierwszy rzut oka wzbudzał sympatię. *Zgodnie z normą.* Oboje w milczeniu patrzyli do wnętrza policyjnego busa. Ona z lekkim zdenerwowaniem, on chłodno, z poważną i skupioną miną.

Policjant przy kierownicy otworzył powoli drzwi i wystawił głowę na zewnątrz. Chciał coś powiedzieć, ale spojrzenie chłopca odebrało mu mowę. Poczłł zimno. Nerwowo zaczął rozglądać się wokoło. *Kto by przypuszczał, że policjant tak zareaguje?* Sulikowski odruchowo wyciągnął przed siebie zakute w kajdanki ręce. Niski policjant bez sprzeciwu odpiął kajdanki i schował je do kieszeni kurtki. Pisarz otworzył drzwi busa i wysiadł. Jego oczy spotkały się z oczami kobiety. Ewa Zylber nie rozumiała. Po raz pierwszy od tragicznego poczęcia dziecka i niespełnionej miłości do von Klausta odczuła powiew inności. W tym jednym momencie i w tym konkretnym miejscu doświadczała nieznaney siły, widziała coś, w co nie mogła uwierzyć.

Chłopiec podszedł do pisarza i podniósł do góry swoją dziecięcą buzię. Nie otworzył ust, a mimo to Sulikowski wyraźnie go usłyszał. „Oni zaraz odjadą”, poinformował go chłopiec. W tym momencie bus ruszył. Sulikowski chciał powiedzieć, że nic z tego nie rozumie, ale nie zdążył otworzyć ust. „Ja również po raz pierwszy w ten sposób rozmawiam”, przekazał mu wiadomość chłopiec. „Kim jesteś?”, pomyślał Sulikowski. „Hubert von Klaust. To moja mama, Ewa Zylber”, odpowiedział telepatycznie chłopiec. „Dlaczego policja mnie wypuściła?”, zapytał nadal zaskoczony Sulikowski. „Nie wiem. Oni musieli to zrobić, bo tak chciałem... Dlatego tutaj byłem... To jest we

mnie”, tłumaczył niejasno młody von Klaust.

- Kochanie, dlaczego tak długo stoicie w miejscu i nic nie mówicie? - zapytała Ewa Zylber, mrugając oczami, jakby budziła się z długiego snu.

- Mamo, zaprosz tego pana do nas, dobrze? - odezwał się naturalnym głosem chłopiec. - To bardzo znany pisarz...

- Nagle twarz chłopca zrobiła się blada i wystraszona. - On jest... naznaczony...

- Huberciku, co ty opowiadasz? Skąd takie słowa? Przepraszam pana, ale to dziecko ma niesamowitą wyobraźnię... Jestem...

- Wiem - przerwał jej łagodnie Sulikowski. - On mi powiedział. Nie wiem jak, ale zrobił to... On chyba ma zdolności telepatyczne. Nie znam się na tym, ale nie widzę innego wytłumaczenia. Jestem Karol Sulikowski... Pisarz...

Ewa Zylber podała mu rękę i po raz drugi odczuła wibrację. Najwyraźniej ten niewinny gest podziałał na nią podniecająco. Od przeszło trzech lat nie miała mężczyzny. Wspomnienie gwałtu, którego żywy dowód, mały Hubert, stał obok niej, uczyniło ją chłodną i nieprzystępną. Dłoń Sulikowskiego była ciepła i żyłasta. Nagle zawstydzila się. Spojrzała na syna i wyobraziła sobie, że czyta w jej myślach. Pospiesznie wyjęła z torebki wizytówkę i podała pisarzowi.

- Proszę zatelefonować - powiedziała dobitnie. - Hubert na pewno się ucieszy... *Ani słowa o prześcieradle?*

Sulikowski schował wizytówkę i obserwował jej oddalające się pośladki. On także czuł narastające pożądanie. Nigdy wcześniej nie spotkał tak pociągającej kobiety. Kiedy Ewa Zylber odwróciła się i posłała mu krótki uśmiech, domyślił się, że z nią działo się to samo. Skrzywił się i z rękami w kieszeniach ruszył w stronę najbliższego pubu. Musiał się napić i uspokoić. Czuł, że pożądanie coraz bardziej wzrasta i zaczyna nad nim panować.

„Kup gazetę”, z daleka dotarła do niego myśl młodego von Klausta. Skręcił do najbliższego kiosku i kupił lokalny dziennik. Natychmiast natrafił na ogłoszenia z agencjami towarzyskimi. „Ty, mały, jesteś genialny”, pomyślał z uznaniem i wszedł na pobliską pocztę. Przez kilka minut telefon był jego najbliższym

przyjacielem. Umówił się w eleganckim hotelu „Sobieski” za niecałą godzinę. Dziewczyna, którą zamówił, miała być droga i piękna. *A tania i wstrętna, nie laska? Takiej nic się nie należy?*

Sulikowski nie zobaczył ani dziewczyny, ani hotelu. Czarna lancia uderzyła go w momencie, gdy wszedł na jezdnię. Wpadł na maskę samochodu, przeturlał się i nieprzytomny zsunął na krawężnik. Radość i smutek przestały mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Kiedy zobaczył swoje ciało z zewnątrz, przeraził się i chciał cofnąć. Bez rezultatu. Nie widział żadnego tunelu, żadnego światła, nie spotkał nikogo z bliskich. Widział tylko swoje ciało energicznie reanimowane przez lekarza. Potem nadeszła mgła...

Na najwyższym tarasie pałacu w Knossos rozgrywał się ostatni akt kreteńskiej tragedii. Czyste i pachnące oliwkami śródziemnomorskie powietrze czerniało teraz od dymu i płomieni. Ciszę melancholijnych, tajemniczych i migdałowych wieczorów zagłuszał ryk achajskich wojowników i szczęk toporów. Krew lała się z setek krużganków, portyków i przejść, przypominających labirynt. Piękni, lekko zniewieściali, opaleni na brąz młodzieńcy z przepaskami na biodrach mordowani byli przez oszalałych z żądzy zwycięstwa Achajów. W komnatach, amfi- ladach i podziemiach pałacu dokonywała się rzeź wielowiekowej świetności Krety. Wojownicy achajscy nie oszczędzali nikogo. Dzieci zabijane były na równi z mężczyznami. Kobiety wleczone po schodach nie próbowały się nawet opierać. Gwałcono je w komnatach króla, kapłanek, niewolników, dworzan i służby. Tysiące litrów wina zgromadzonego w piwnicach wsiąkało w żywność sypiącą się z rozbitych trzymetrowych amfor. Co bystrzejsi dworzanie próbowali wykupić się złotem, ale barbarzyńcy natychmiast po uzyskaniu dostępu do schowków zapominali o danym słowie i bezlitośnie sięgali po broń.

W zapomnienie odchodzi! wesoly świat kolorów i poczucia całkowitego bezpieczeństwa. Freski traciły swój niezmacony klimat, gubiąc w dymie swoje zmysłowe - purpurowe, niebieskie i zielone - odcienie. Brutalność i siła pokonywały

przepychem i rozkoszną niefrasobliwość króla Minosa.

Sulikowski odnalazł siebie w barczystym kapitanie jednego z okrętów należących do władcy Krety. Kilka godzin wcześniej potężna flota króla z Knossos została ostatecznie rozbita na Morzu Egejskim. Achajowie nie oszczędzali nikogo. Obcięte głowy wojowników zrzucali kopnięciami wprost do wody. Większość łodzi i okrętów spłonęła. Inne zostały przejęte przez napastników.

Sulikowski ocknął się pod stosem ciał martwych achajskich żołnierzy. Był pokrwawiony i bolała go głowa. Jego statek płonął, a załoga została całkowicie wyrżnięta. Ostrożnie przekreślił szyję i zobaczył odpływający okręt Achajów. Odczekał jeszcze chwilę, po czym wstał i zrzucił z siebie kreteńskie ubranie. Wybrał najpotężniejszego z zabitych Achajów i ściągnął z niego zbroję. W ciągu kilku minut upodobił się do achajskiego wojownika.

Do brzegu dopłynął na odłamanym maszcie. Niezauważalnie włączył się w szeregi atakujących Achajów. Większość z nich upojona była zwycięstwem, brudna i pijana. W nieładzie i z żądzą zysku gnali po drodze prowadzącej do owianego legendą bogactwa pałacu króla Minosa. Setki razy zmuszony był oglądać barbarzyństwo najeźdźców. Tam, gdzie mógł, ścinał mieczem niczego nie podejrzewających żołnierzy. Dla nich był jednym z nich. Ze strachem i bezsilnością patrzył na rozlewającą się po wyspie falę ognia. Biegł tak szybko, że większość achajskich wojowników zostawała w tyle. Ciągłe jednak pojawiali się nowi.

W oddali zamajaczył kontur pałacu. Całkowicie odsłoniętego i pozbawionego możliwości obrony. Na powierzchni prawie trzech hektarów postawiono budowlę, która swoim ogromem i przepychem nie miała sobie równych. Wokoło roztaczała się spalona połać ziemi, z której gdzieniegdzie tylko sterczały pozostałości po bezkresnych, liliowych łąkach. Żołnierze achajscy w małych grupach wbiegali do pałacu i prawie natychmiast gubili się na poszczególnych piętrach i w labiryntach przejść.

Sulikowski nie pamiętał swojego nazwiska, nie pamiętał swojej

rodziny ani przyjaciół. Wiedział tylko, że musi uratować młodą kapłankę, z którą przed niespełną tygodniem potajemnie wyznali sobie miłość. Patrząc na okrucieństwo Achajów i z wysiłkiem łapiąc oddech, biegł po schodach. Przestał udawać pijanego achajskiego żołnierza, zaczął otwarcie ciąć i zabijać napastników.

W komnacie kapłanek natknął się na pięciu oślepych z podniecenia Achajów. Ze zwierzęcym rykiem ścigali dziewczęta pomiędzy stołami i kamiennymi posągami. Niektóre z nich zabijali jednym cięciem topora, inne, te ładniejsze, chwyтали i niewolili. Sulikowski zdążył. Jego miecz odrąbał bark jednemu z żołnierzy, drugiego przeszył sztychem w plecy, a trzech pozostali niczego nie zauważyli. Chwycił dziewczynę za rękę i pociągnął do wyjścia. W tej samej chwili natknął się na kolejnych dwóch żołnierzy. Z obłędem w oczach i zakrwawionymi mieczami w rękach plądrowali pałac. Na ramieniu jednego z nich wisiała torba napełniona złotem. Pierwszy próbował wyrwać mu młodą kapłankę, drugi z głośnym śmiechem usiłował go po prostu odepchnąć. Tym razem miecz Sulikowskiego odrąbał Achajowi głowę, zanim tamten zdążył przewrócić dziewczynę. Drugi był tak zaskoczony, że nawet nie krzyknął, kiedy nadział się na ostrze miecza.

Kapłanka prowadziła. Sulikowski trzymał ją za rękę i dźgał każdego napotkanego Achaj a. Po drodze dołączyli do nich dwaj młodzieńcy o pulchnych, zniewieściałych rysach. Trzymali w dłoniach miecze, ale już na pierwszy rzut oka widać było, że nie potrafili się nimi posługiwać. Byli bogatymi dworzanami z królewskiej rodziny. Na czwartym poziomie pałacu natknęli się na kilkunastu achajskich wojowników, zabawiających się wlewaniem sobie w usta wina z amfor i zrzucaniem dzieci ze schodów. Blisko dwadzieścia kobiet, bogatych córek dworzan, służących, kapłanek i niewolnic próbowało zaciekle bronić kilkuletnich chłopców i dziewczynek.

Dwaj młodzieńcy spojrzeli na Sulikowskiego, który ostrzem miecza pokazał im, co powinni zrobić. Kapłanka z uczuciem

dotknęła twarzy kapitana kreteńskiego okrętu, podniosła z posadzki nóż i pierwsza wbiegła do rozległej komnaty. Zrobiła dokładnie tak, jak pokazał wcześniej Sulikowski. Lewą ręką chwyciła najbliższego Achaja za głowę, drugą zaś poderżnęła mu gardło. Tak samo zrobili dwaj dworzanie króla Minosa. Sulikowski wbiegł ostatni i zaatakował z całą siłą i energią. Zaskoczenie było chwilowe. Żołnierze achajscy rzucili się na nich z wściekłym rykiem. Miedzianoskórzy młodzieńcy, ozdobieni tylko przepaskami na biodrach, nie zdążyli nawet dobiec do wyjścia. Zginęli od toporów rzuconych ze straszliwą siłą prosto w ich plecy. Kobiety z dziećmi skorzystały z zamieszania i wbiegły do jednego z wąskich, mniej uczęszczanych korytarzy. Kapłanka kilkakrotnie próbowała zmylić pogoń, ale nawoływania i wściekłość Achajów były tak wielkie, że ani na moment nie mogli się od nich uwolnić. Sulikowski czuł, że z każdą chwilą coraz bardziej omdlewają mu ręce. Oślaniał tył i modlił się w duchu, aby biegnąca z przodu dziewczyna nie natknęła się na przypadkowego napastnika.

Droga ucieczki już się kończyła. Wbiegli na najwyższy taras. Wokoło unosił się pył spalonych kwiatów, traw i oliwy. Na tarasie leżało kilkadziesiąt martwych ciał mieszkańców pałacu. Dziewczyna i Sulikowski zatrzymali się przy jednej ze ścian i po raz ostatni spojrzeli na gasnący krajobraz Krety. Achajowie rzucili się na nich całą grupą. Każdy chciał być pierwszy. Sulikowski walczył dwoma mieczami. Jego ręce broczyły krwią, a ciało słało ze zmęczenia. Zabił trzech kolejnych napastników i zachwiał się. Tuż za nim stała dziewczyna. Z tyłu znajdowała się kilkudziesięciometrowa przepaść. Wiedział, że musi ulec. Kiedy topór Achaja z wielką czarną brodą wbił mu się w pierś, poczuł, że dłonie dziewczyny splatają mu się na brzuchu, że przywiera do niego całym ciałem i z całej siły ciągnie do tyłu ku przepaści. Poddał się temu ruchowi. Przez krótką chwilę słyszał jej krzyk. Wołała mu do ucha, że go kocha. Umierali z poczuciem żalu i niespełnienia. Byli jednym z epizodów umierającej cywilizacji...

Sulikowski otworzył oczy i próbował przypomnieć sobie twarz kapłanki. Nad sobą zobaczył wypełniony do połowy baniak z

kroplówką. Za oknem było ciemno, a zainstalowana obok niego aparatura wydawała ciche sygnały. Wrócił do świata żywych z uczuciem tęsknoty. Żaden wiatr, żaden pochmurny dzień, żaden horyzont oceanu nie potrafiły wyrazić więcej...

*

Skrzypnięcie drzwi było przeciągłe i bolesne. Mózg wyrwany ze snu zakołysał się i powoli zwinął żagle. W szpitalnej izolatce panował półmrok. Sulikowski otworzył oczy i zobaczył stojącą nad nim sylwetkę dziewczyny. W sinym świetle jarzeniówki dostrzegł jej duże oczy i sukienkę w groszki. Wpatrywała się w niego, unosząc niepewnie rękę. Była jakaś inna, nieobecna i dojrzała. Rozpoznawał jej delikatne rysy i zmysłowe usta. Teraz wyglądały tak, jakby je ktoś zbyt mocno pomalował. Makijaż został zrobiony starannie i dokładnie. Pisarz odwrócił głowę i natrafił spojrzeniem na foliowy woreczek w dłoni dziewczyny. Tym razem zmysłowość gdzieś prysła. Powietrze stało się lodowate, a oczy wołały się zamknąć.

- Przyniosłam jego ucho...

Sulikowski poczuł suchość w ustach. Przestał cokolwiek rozumieć. Pozwolił jej mówić.

- Darowałaś mu życie, a on cię zdradził - kontynuowała bezbarwnym tonem dziewczyna. - Wydał cię... Poszedł na policję i wszystko opowiedział. Nawet mnie nie zapytał... A potem upił się i przyprowadził kolegów... Chciał mnie sprzedać za butelkę wódki i chwalił się, że dzięki niemu zostałeś złapany...

- Czy oni ci coś zrobili? - wyszeptał cicho Sulikowski.

- Kiedy wyszli, podeszłam do niego i wbiłam mu nóż prosto w serce. - Dziewczyna mówiła jak w transie. - Był tak pijany, że nawet mnie nie rozpoznał...

- Boże... - Usta pisarza wygięły się pod wpływem niedowierzania. - Zabiłaś własnego ojca? Nie mogę w to uwierzyć. Dlaczego?

- To trudne... Trudno to opowiedzieć... - Dziewczyna upuściła na podłogę foliowy woreczek z odciętym uchem. - Zobaczyłam coś dziwnego. Mojego ojca owiniętego w prześcieradło... Nie

widziałam jego twarzy, ale wiedziałam, że to on... Moje powieki wygięły się tak mocno, że musiałam je później odwijać palcami... Musiałam to zrobić, czułam, że nie ma wyboru... I wcale tego nie żałuję.

Sulikowski przesunął rękę w jej stronę i dotknął skóry. Była zimna i sucha. Przypominała papier. Zmysłowość bezpowrotnie zniknęła. Niepokojący zapach gdzieś się ulotnił. Teraz stała obok niego dziewczyna, która zrobiła coś strasznego i nie czuła wyrzutów sumienia. Pisarz instynktownie odgadł, że porozumienie zostało przerwane. Nieznana siła wypełniła ciało dziewczyny i uczyniła je nijakim. Tylko pozornie wszystko wyglądało tak samo. W głębi czaił się tajemniczy głos i oczy. Sulikowski nie próbował nawet zgadywać, do kogo mogły należeć.

- Dobrze się czujesz? - spróbował rozładować napięcie.

Nie odpowiedziała. Jej pięści zacisnęły się gwałtownie, głowa odchyliła do tyłu, a twarz straciła wyraz. Oczy zapadły się do środka, odsłaniając wnętrza powiek. Dziewczyna wpatrywała się w niego nieruchomo i chłodno. Inaczej niż się spodziewał. Jej spojrzenie przenikało go i omijało. Czuł się przeźroczysty. Po chwili wrażenie minęło. Znow patrzyła przytomnie, a jej powieki wróciły na swoje miejsce.

- Widziałam... - szepnęła z wysiłkiem. - Widziałam puste łóżko... To łóżko. Ciebie na nim nie było...

- Co to oznacza? - zapytał odruchowo Sulikowski. Zachowanie dziewczyny wciągało go, a zarazem odpychało. Sam nie wiedział dlaczego, ale miał wrażenie, że śni.

- Nie wiem - odparła obojętnie i z wyraźną niechęcią.

- A może wiem? - Zmieniła nagle zdanie. - Właściwie czuję, że wiem... Chociaż nie jestem pewna... Czy pan mnie rozumie? Ja nie wiem, po co tu przyszedłam...

Młody von Klaust trzymał matkę za rękę i wpatrywał się w okno izolatki. Ewa Zylber przyglądała się dziecku i nie potrafiła zareagować. Kiedy przed godziną wyciągnął ją z łóżka i kazał jechać pod szpital, nie potrafiła mu odmówić. Naturalnie i bez pośpiechu wykonała irracjonalną prośbę swojego trzyletniego syna. Teraz mogła jedynie czekać na rozwój wydarzeń.

Mały nie odpowiadał na jej pytania, a ona szybko przestała je zadawać. Nagle zaczął mówić:

- Ona tam jest... Stoi przy nim i tłumaczy mu wizję...

- Chłopiec mówił, nie odrywając oczu od okna. Ewa Zylber nie zwróciła nawet uwagi na dojrzałość i płynność jego słów. - Nie, nie tłumaczy. Nie potrafi... Mamo, on nie jest dla ciebie...

- Co ty opowiadasz? Kochanie... - próbowała zareagować, ale bez przekonania.

- Dziwne. Ona zobaczyła jego śmierć... - Wyraz twarzy młodego von Klausta przypominał bezdenną i niezgłębioną czeluść górskiej przepaści. Chłopiec znajdował się w świetle, o którym wiedza była zaledwie szczątkowa. Wysyłał sygnały spoza nieokreślonej, doskonałej warstwy życia. Był tam. Poza granicę normalności i zwyczajnej, ślepej śmierci. Nie istniały słowa, które opisałyby dostęp do tajemnicy, nie powstał żaden mechanizm tłumaczący logikę istnień równoległych.

- Czy można to powstrzymać? - zapytała z niepokojem kobieta. Przesunęła dłoń po opalonym udzie i zrozumiała nagle, że pisarz, Karol Sulikowski, jest jej przeznaczeniem. Tęskniła za nim i pożądała go. Chciała czuć jego obecność, widzieć pochylone w trakcie pracy plecy i słyszeć kroki. Wydawało jej się, że odnalazła podniecający i zawsze ciekawy rodzaj szaleństwa. Trafiała na mężczyznę, który nawet spojrzeniem uruchamiał w niej wyobraźnię i nieopanowane oddanie. Związek z Jakubem von Klaustem był zupełnie inny. Łagodny i coraz bardziej fascynujący. Teraz musiała ulec niezrozumiałej sile, otworzono ją zdecydowanie, a porozumienie i zgoda nadeszły same. Mogła tylko czekać.

Syn obserwował ją w milczeniu. Patrzył oczami, których wyraz jedynie przez chwilę należał do małego dziecka. Dotknął małą rączką jej dłoni.

- Mamo... - powiedział inaczej niż zwykle. - On nigdy się nie zatrzyma. Złamał zasadę i musi przegrać...

- Jaką zasadę? - zapytała pośpiesznie.

- Można powiedzieć, że odszedł od drogi... - próbował wyjaśniać chłopiec. - Przekroczył granicę i wrócił na tę stronę... A tak nie wolno robić... To znaczy wolno, ale tylko w samotno-

ści. On dopuścił obcych... - młody von Klaust wyraźnie męczył się, szukając odpowiednich słów. - Czy ty to rozumiesz?

Nie rozumiała. Potrzebowała pomocy, której nie mógł jej ofiarować. Wiedział, że jego matka jest nieszczęśliwa i boi się stracić coś, o czym nigdy nawet nie marzyła. Była zakochana i nic więcej dla niej się nie liczyło. Banalność uczucia, które miało głębsze podłoże. Chłopiec rozpaczliwie szukał rozwiązania. Jaka mogła być cena ocalenia?

Okno w szpitalu otworzyło się. Na parapecie izolatki pojawiła się dziewczyna w sukience w groszki. Nie stała tam długo. Po prostu zrobiła krok do przodu i runęła w dół. W ten sposób płaciła za złamanie reguły przez Sulikowskiego. Żadne z nich nie miało dostatecznej wiedzy o przeznaczeniu. Nie mogli wiedzieć, że nawet przypadkowe wejście w obcy krąg staje się śmiertelnie niebezpieczne. Feralne prawo serii... Kiedy ciało uderzyło o chodnik, chłopiec zamknął oczy i długo ich nie otwierał. Bał się nieprzewidywalnego. Nie znał końca. Feralność bywała nieobliczalna i dotykała w najbardziej niespotykanych momentach. Spojrzał na matkę i uśmiechnął się. Wyraz jej oczu powiedział mu, że tego właśnie oczekiwała. Jej siłą było piękno, które trwało zbyt krótko. Otrzymała najślabszy z darów...

Młody von Klaust nie musiał zbliżać się do ciała. Doskonale rozumiał, że łańcuch genetyczny dziewczyny został poddany próbie, przez którą nie przebrnął. Nieprzewidywalna rzeczywistość zareagowała na bodziec jeszcze jedną śmiercią. Jedną z miliardów. Odejście było niczym. W ewolucyjnym ciągu życie rodziło się z przypadku i umierało z przypadku. Zagadka reakcji na zdarzenie stwarzała piękno, które później zabijała. Tak samo przed pięciuset milionami lat, podobnie przed sześćdziesięcioma i niemalże identycznie przed chwilą...

- Chcę go uratować - szepnęła Ewa Zylber i popatrzyła z nadzieją na syna.

- To może być niemożliwe - odparł chłopiec i ruszył w stronę szpitala. - On jest poza regułą. Nic go nie chroni...

- A policja? Nie przyjadą po niego? - zaniepokoiła się nagle matka.

- Oni... - Chłopiec zawahał się. - Oni zostali wyrzuceni poza normalność... To znaczy... ja ich wtedy wyrzuciłem. - Ręce dziecka wsunęły się do kieszeni małych spodenek i nerwowo zacisnęły. - Trudno to zrozumieć, mamoo... Tak po prostu jest. Tak czuję i widzę... Oni zginą.

Ewa Zylber nie odezwała się. Wzięła syna za rękę i energicznie weszła do szpitalnego korytarza. Nawet tutaj odprowadzały ją zaintrygowane spojrzenia. Chorzy i personel szpitala wyczuwali w niej coś niedostępnego, coś, czego jej mimowolnie zazdrościli, udając przed sobą obojętność. Nie pasowała do szarości tego miejsca i atmosfery przegranej. Ciała najzgrabniejszych pielęgniarek miały zaledwie ślad zmysłowości roztaczanej przez matkę małego jasnowidza. Kokon, w jakim się poruszała, uruchamiał lawinę niewidzialnych cząsteczek, trafiających na swojej drodze wszystko.

Izolotka Karola Sulikowskiego była pusta. Pisarz zniknął. Ewa Zylber położyła dłoń na łóżku.

- Ciepłe - powiedziała do syna.

- Odszedł...

- Uciekł? - przerwała *mu gwałtownie*.

- Mamoo, my nie możemy go teraz znaleźć! - W głosie chłopca kryła się irytacja.

- Co mam zrobić, żeby go odzyskać? - Kobieta usiadła na łóżku i przycisnęła do ust poduszkę.

Do izolotki wbiegli lekarze i pielęgniarki. Byli przestraszeni i całkowicie zaskoczeni. Wyglądali przez otwarte okno, kręcili głowami, patrzyli bezsilnie po sobie. Kiedy oczy jednej z pielęgniarek zatrzymały się na Ewie Zylber, pozostali uspokoili się.

- Czy możecie mi państwo powiedzieć, gdzie leży pan Karol Sulikowski? - zapytała.

- Tutaj - odparła najstarsza pielęgniarka. - Właśnie tutaj. On nie powinien jeszcze wstawać...

- Chodź, mamoo - odezwał się chłopiec. - To wszystko jest nie tak. Oni nic nie wiedzą...

Kilka godzin później Karol Sulikowski instynktownie spróbował ratować się przed karą za złamanie reguły. Kiedy

mały von Klaust układał się do snu, a jego piękna matka brała prysznic, pisarz zapukał do furty starego zakonu franciszkanów. Nie znajdował w sobie ani przerażenia, ani spokoju. Był wściekły i nie potrafił tego zmienić. Zanim dotarł do klasztoru, zrobił coś dziwnego i dla siebie samego niezrozumiałego. Zatrzymał się i zaczął się uważnie rozglądać. Wiedział, że musi coś zrobić. Odczuwał narastającą wściekłość. Po kilku minutach udało mu się skoncentrować. Jego oczy wędrowały ku górze, a mózg podpowiadał, że tak naprawdę powinien znienawidzić świat rzeczy. Świat odrapanych ścian, popekanych rur, przeciekających dachów, rozkładających się śmieci, wszechobecnych bakterii, zamkniętych drzwi do sklepów, ograniczonych wysokością wieżowców, niebezpiecznych samochodów i wścibskich urzędników ze stosami papierów w dłoniach. Tak właśnie wyglądały kłopoty, tak wyglądały smutek, bieda i przerażenie.

Zadecydował przypadek. Sulikowski stanął przed budynkiem olbrzymiego urzędu. Odszukał wzrokiem tablicę informacyjną. Wyobraził sobie, ile cierpienia i nienawiści skrywały szare, monumentalne ściany. Złość wezbrała na sile. Postanowił działać natychmiast. Odnalazł skrzynkę z przyłączami gazowymi i włamał się do środka. Zapalił kupioną w kiosku świeczkę i odkręcił zawory przy rurach. Był wieczór, a budynek wydawał się pusty. Rzecz, która swoim ogromem nie pasowała do niczego.

Odgłos wybuchu dotarł do niego w autobusie. Ktoś pokazał palcem białą smugę ognia na niebie. Sulikowski nawet się nie obejrzał. Zamknął oczy i pozwolił się wieźć w kierunku klasztoru. Potrzebował spokoju, a jego świat nie wydawał mu się tak poukładany jak dawniej. Zbyt wiele zobaczył i zbyt wiele nie rozumiał. Przeczuwał, że znalazł się o włos od szaleństwa. Potrzebował pomocy. Chciał odnaleźć tych, którym mógł zaufać. Wybrał klasztor. Bez jakiegś szczególnej przyczyny. Szukał spokoju. Nie potrafił zgadnąć, kto zakłócał mu spokój? Kto dawał mu znaki? W jakim celu został naznaczony?

Człowiek, który otworzył przed nim klasztorną furtkę, wyglądał na całkowicie pogodzonego z losem. Nosił brązowy kaptur,

miał długą, białą brodę i zniszczone sandały. Oddychał ciężko i świszcząco. W mdłym świetle żarówki, umocowanej nad wejściem, zamajaczyła chuda dłoń z nabrzmiałymi, sinymi żyłami. Sulikowski zapamiętał długie, rzadko obcinane paznokcie. Nawet nie poczuł, że mnich na niego patrzy. Uderzył go jedynie zapach bzu, rosnącego wzdłuż klasztorного muru, na tyle silny, że z trudem rozpuszczał się w dusznym powietrzu letniego wieczoru.

- Jest pan... - Spod kaptura wydobył się silny głos. - Proszę za mną.

Sulikowski poczuł, że napięcie go opuszcza. Nienawiść i wściekłość zostawały poza furtką. On sam stąpał bezmyślnie i prawie automatycznie. Minęli ciąg nisko położonych okien, przeszli przez wielki ogród z dziesiątkami wąskich, zarośniętych żywopłotem alejek i znaleźli się w obszernym korytarzu. Pachniało tam butwiejącym drewnem i nigdy nie wietrzoną piwnicą. Skręcili i weszli do kolejnego korytarza. Tym razem ściany były pomalowane na biało, a brązowa podłoga pachniała pastą. Przed masywnymi dębowymi drzwiami mnich zatrzymał się i odciągnął do tyłu kaptur. Sulikowski zobaczył twarz, na którą zareagował gwałtownym skurczem mięśni. Głowa mnicha była całkowicie łyśa. Nos cienki i orli wystawał spomiędzy wąsów i brody jak wbity w piasek krzemień. Oczy wydawały się nie mieć źrenic. Były całkowicie białe.

- Co to za miejsce? - zapytał, starając się nie patrzeć na mnicha.

- Wejdz - usłyszał inny głos i spojrział w głąb sali przez uchylające się drzwi.

Po obu stronach paliły się świece. Na środku stał okrągły stół, przy którym znajdowało się kilkanaście krzeseł. *Panie i panowie, średniowiecze się kłania. Magia.* Na jednym z nich siedział mały, gruby człowieczek w habicie. Uśmiechał się i sprawiał wrażenie uszczęśliwionego wizytą niespodziewanego gościa. Kiedy Sulikowski zasiadał na wskazanym krześle, gruby mnich nagle spoważniał. Jego dłoń podniosła się i skierowała w stronę pisarza.

- Masz paskudną aurę - stwierdził sucho. - Ściągasz zło...

Chociaż nie jesteś złym człowiekiem. Cóż jednak znaczy być złym w tym świecie rządzonym przez przypadek? Podjąłeś decyzję, która okazała się zbyt ciężka... Nie wiedziałeś, że jest w tobie wiele twarzy, które zawsze mogą się odezwać. Dobro ma swoją wagę, a ty o tym nie wiedziałeś... Czy tak?

Gruby mnich pytał naturalnie, jakby rozmowa dotyczyła kupna butów. Znow zaczął się uśmiechać. Mnich z siwą brodą stał nieporuszony przy drzwiach. Sprawiał wrażenie całkowicie nieobecnego.

- Nie rozumiem tego - wyznał z trudem Sulikowski. - Nie wiem, w jaki sposób wpakowałem się w coś, nad czym nie panuję... I skąd wy o tym wiecie? Dlaczego od pewnego czasu pojawiają się przy mnie różni dziwni ludzie? Zachowują się i mówią jakimś dwuznacznym językiem... Rozumie mnie... ojciec?

- Cóż, rozumiem - odparł spokojnie mnich. - Zapewne zostałeś wychowany w duchu racjonalnym i bardzo współczesnym. Tak naprawdę wmówiono ci, że wszystko zależy od ciebie. No, może prawie wszystko. Nigdy jednak nie zadałeś sobie pytania, dlaczego twój kolega rysuje lepiej od innych, a twoja koleżanka liczy w pamięci szybciej od komputera? Nigdy nie pomyślałeś o uczuciach, jakie wywołuje w tobie lektura pewnych książek? O darze pisarza, który je pisał? Nie zastanawiałeś się nad zdolnościami niektórych ludzi do przełamywania tajemnic przyrody? Do wykorzystywania ich? Ktoś przecież odkrył prąd, ktoś radio, ktoś telewizor, ktoś atom... Inni wynaleźli helikoptery, samoloty, sondy kosmiczne. Cóż, ktoś także wpadł na pomysł zrobienia komputera. Dlaczego nie ty albo nie ja? Dlaczego nie nasi rodzice? A ludzie, którzy rozmawiają kilkoma językami? Nie dziwi cię łatwość, z jaką im to przychodzi? *Dociekliwość godna nagrody. Milion dolarów wystarczy?*

- Zdolności są różne - powiedział niepewnie Sulikowski.

- Tacy się rodzimy...

- Dlaczego? - zapytał z prawie niewidocznym uśmiechem mnich.

- Tak po prostu jest... - Pisarz zawahał się. - Dlaczego? Tak po prostu... Nie, myślę, że nie wiem. To zasadnicze pytanie. Nie chcę teoretyzować. Kiedyś to lubiłem, teraz pogubiłem się.

Chyba...

- No właśnie - skinął głową mnich. - Dowiedziałeś się, że są sprawy, o których wiedzą tylko nieliczni. Tacy jak ci, którzy rozumieją chociażby specyfikę istnienia prądu albo działania silnika rakiety. Jeden człowiek odkrywa coś takiego i przekazuje innym. Tylko nieliczne umysły są zdolne udowodnić istnienie w tej pozornej nicości, jaka nas otacza. Wyobraź sobie, że wszystko wokoło po prostu jest, że niektórzy ludzie tylko to odsłaniają.

- Chyba rozumiem...

- A więc zgodzisz się, że to, czego nie widać, wcale nie musi być pustką?

- Chce ojciec powiedzieć, że nie mam wpływu na moje życie? - W słowach Sulikowskiego czaiła się irytacja.

- Oczywiście, że masz wpływ - uspokoił go mnich. - Ty jednak zrobiłeś coś dobrego... Może inaczej... Działałeś ze szlachetnych pobudek...

- Czy każdy, kto tak działa, miewa tego rodzaju doświadczenia? No, takie dziwne... - Pisarz wstał i zaczął spacerować wokół stołu. Poczul chłód.

- Nie, nie każdy - odpowiedział mnich, wpatrując się w blat stołu. - Wszystko, co jest w tobie życiem, zostało zapisane w pewien niepowtarzalny, specjalny sposób. Powiedzmy, że twoje komórki, twoje geny, czują silniej niż innych ludzi...

- W porządku - skinął głową Sulikowski. - Dlaczego jednak każdy... Wie ojciec, o czym myślę... Każdy taki... nietypowy mówi mi, że jestem naznaczony. Co to oznacza? Zresztą ojciec też to zauważył. W dodatku jakieś dziecko powiedziało mi, że nie ma dla mnie ratunku... *Chyba przesadziło.*

- Problem polega na tym, że nie jesteś kimś wyjątkowym

- cierpliwie kontynuował mnich. - Nie masz zdolności czytania aury, przewidywania przyszłości, rozumienia mechanizmów świata niematerialnego. Jesteś tylko bardzo dobrym pisarzem, który pod wpływem szalonego impulsu zaczął wykorzystywać dobro dla zniszczenia zła... Nie, to nie jest źle. Zło należy niszczyć i nieważne są środki. Liczy się właśnie wewnętrzna czystość. A ty dokładnie się w tym zmieściłeś. Uruchomiłeś

łańcuch informacji, które oddziaływały dalej. W końcu ten łańcuch przerwał... Też w imię dobra. Informacja ma jednak to do siebie, że nie przestaje żyć własnym życiem, nawet złym.

- Mnich pokazał palcem na brodatego zakonnika z oczami bez źrenic. - Brat Patryk jest jasnowidzem i doskonale to rozumie... On nazywa to złamaniem reguły.

- Co ze mną będzie? - zapytał Sulikowski, podnosząc wzrok na grubego mnicha.

- Pomożemy ci... - odpowiedział poważnie mnich. - Inaczej niż przypuszczasz. Nie będzie w tym żadnych cudów. Najpierw jednak musisz nam powiedzieć, co chciałbyś w swoim życiu zmienić?

- A policja? Prokuratura? - skrzywił się z niedowierzaniem Sulikowski. - Jestem znanym na świecie pisarzem, a moja twarz znajduje się na plakatach prawie w każdej większej księgarni... Nie jestem anonimowy, niestety.

- To żaden problem. - Mnich uśmiechnął się tak samo szeroko jak przy powitaniu. - Powiedz tylko, w jaki sposób chciałbyś dalej żyć?

Sulikowski westchnął ciężko i bez nadziei pokiwał głową. Wiedział, czego chce, ale nie wierzył, aby dwaj mnisi potrafili go zrozumieć. Nadal był nieufny i lekko poirytowany. W jego głowie tłukła się myśl, że wszystko wokół niego jest tylko snem, z którego za chwilę się obudzi. Tęsknił do realnego świata. Pragnął cofnąć czas i nigdy nikogo nie zabić. Nie wierzył już w dawne dobro. Czuł się rozczarowany, niezrozumiany i ścigany. Wstydził się swojej naiwności i ślepej wiary w słuszność wybranej drogi. Potrzebował spokoju i prywatności. Chciał wydawać swój milion dolarów, pisać nowe książki i kochać się z kobietą, którą widział zaledwie przez chwilę... Podświadomie jednak obawiał się spotkania z jej synem.

- To możliwe - usłyszał głos, milczącego dotychczas, brata Patryka. - Dostaniesz nową twarz, nowe papiery, nowe nazwisko... Wszystko. Wyjdiesz stąd jako zupełnie nowy człowiek...

- Nie rozumiem - wtrącił całkowicie zaskoczony pisarz.

- Jeden z naszych braci umarł dzisiaj wieczorem - odezwał się cicho gruby mnich. - Ty przyszedłeś dokładnie w chwili jego

śmierci. To może być znak. Nie musi, ale może. Tak chcemy to odczytać, dlatego ci pomożemy. Wyjdiesz z klasztoru jako Antoni Gabler, mnich, który zrezygnował z zakonnego życia...

- Twarz zakonnika przybrała nagle wyraz zastanowienia.

- A może wolisz zostać z nami? Dostać nowe imię i służyć Bogu?

Po raz pierwszy tego wieczoru rozległ się tubalny śmiech brata Patryka. Tylko on wiedział, że coś takiego nie miało się nigdy wydarzyć. Podszedł do pisarza i oparł mu dłoń na ramieniu. Wydawało się, że białka jego oczu zafalowały przez moment, po czym błyskawicznie przykryły je powieki. W sali rozległ się jego głuchy i bezbarwny głos:

- Widzę, że jesteś z nią... Ona cię nie kocha, ona cię tylko pożąda... Chłopiec nie chce z tobą rozmawiać... Lubi cię, ale wie... Ma dar. Patrzy o wiele dalej niż ja. O Boże... - Brat Patryk nabrał głębiej powietrza i położył sobie obie dłonie na piersiach. -To dziecko wszystko o tobie wie. Ono chce ze mną rozmawiać... Co za niezwykła siła... Mówi, że tobie nie można pomóc. Jesteś bezpowrotnieznaczony... Nie chce powiedzieć, co z tobą będzie... Nie ma wątpliwości, że nasza pomoc nic nie da... Boże, to straszne... On mi to mówi... Nie mogę tego powtórzyć... Nie powinienem z tobą rozmawiać... Bracie Leonie, on o nas wie... Proszę go, aby przestał ze mną rozmawiać. Zgodził się... Znów jesteśmy sami...

Brat Patryk otworzył powoli powieki i zmęczony opadł na krzesło. *EKG. Tego mu trzeba!* Gruby mnich przestał się uśmiechać i wbił spojrzenie w mnicha jasnowidza. Małe, pulchne dłonie poruszały lekko palcami. Sulikowski domyślił się, że mnisi przekazują sobie informacje.

- Chłopiec nie może wiedzieć wszystkiego... - zaczął ostrożnie gruby mnich. - A ten człowiek po coś jednak do nas przyszedł. Aż taki zbieg okoliczności? Myślę, że chłopiec jest jeszcze bardzo młody i widzi zbyt jednoznacznie... Poza tym to dotyczy jego matki. W takich przypadkach widzenie może być błędne.

Mnich jasnowidz pokiwał głową bez przekonania. Tylko on wiedział, co naprawdę zobaczył. Dawno już pogodził się z faktem, że w świecie ciał wszystko umierało. To było smutne, a

więc złe. W świecie ducha nie wszystko kończyło się tak jednoznacznie. Po jednej stronie wyrastało dobro, po drugiej zło. Nikt jednak nie wiedział, gdzie dokładnie przebiega granica.

*

Jako Niemiec odczuwam ustawiczne parcie na klatkę piersiową. Mój przód domaga się ciężaru. Pragnie orderów. Dla równowagi. Inaczej mogę się przewrócić. Mogę się wykopyrtnać. I wcale nie dziękuję Bogu za to wyjątkowe uprzywilejowanie. Za przynależność do starej i udanej europejskiej cywilizacji. Nawet gdybym był browarem, to i tak moje samopoczucie jest lepsze od obcej i historycznie nieudanej selekcji. Czasami tylko mnie wkurwia, że równie dobrze mogę być Hitlerem, co tym Żydem, Tomaszem Mannem. Im więcej mi się zdaje, tym bardziej dostaję piany. W końcu zamki, w jakich mieszkałem, były od dawna murowane, a pomysły na życie najlepsze. Nie na darmo papież trzymał z nami sztamę. Ciągle się rozglądam. *Nie ty jeden, kochany, nie ty jeden...* Dziwi mnie, kiedy bywam wykształcony i dużo wiem. Głowa przestaje mi dokuczać, garbię się jak jakiś gorszy. I wcale nie jest mi od tego gorzej. Nie nudzę się, cieszę się, że zaczynają obszczekiwać mój język. Jestem gotowy dołączyć. Jako Niemiec. Jako Helmut, Klaus lub Berta. Niegłupi przecież. Nie ma się o co gniewać! Cywilizację zawsze posuwały wojny. *Co za zdanie!?* *Czekoladka!* Nic na to nie można poradzić. Czy to grzech, że wcześniej zrozumiałem słowo „marsz”? A że jako Niemiec miewam szerokie biodra i kocham nagie stogi... Cóż, można mnie nie lubić za kręgosłup, ale nie można mnie postawić w kącie. A gównu!

*

Peter Coy po raz kolejny sprawdził stan konta i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wpływy z książki Karola Sulikowskiego przekraczały wszelkie wcześniejsze kalkulacje. *A co w tym dziwnego? Pochodzenie? Dobry agent traktuje to jak poduszkę...*

Czytelnicy odkryli świat, w którym chcieli przebywać. Domagali się następnych książek podpisanych przez nieobliczalnego Polaka. Byli nawet tacy, którzy zakładali sekty wyznaniowe i prosili Sulikowskiego o opiekę. Krytycy najpoważniejszych pism prześcigali się w kreowaniu wizerunku fascynującego - jak go nazywali - „literackiego dziecka Marqueza i Bułhakowa”. *Cudownie! Można by jeszcze do każdej książki dołączać pieluchę albo papier toaletowy... Tak na wszelki wypadek.* Zdziwienie agenta było tym większe, gdy nowojorski autorytet w sprawach literatury, John Goldberg, napisał, iż pragnie sprowokować Karola Sulikowskiego do szybkiego napisania kolejnej powieści i w tym celu otwiera specjalne konto, na które czytelnicy z całego świata mogą wpłacać pieniądze odpowiednio motywujące pisarza. Wszystko mieściłoby się w granicach normy, gdyby nie to, że na konto założone przez Goldberga rzeczywiście zaczęły napływać setki tysięcy dolarów, franków, marek, funtów i innych walut. Czytelnicy na całym świecie domagali się w ten sposób nowej książki genialnego debiutanta. *I tak powinno być za każdym razem. W końcu z jakiej racji ktoś taki miałby zadowolnić się wyłącznie honorarium?*

Agent podrapał się w głowę, podziękował skienieniem głowy urzędniczce w banku i ruszył do wyjścia. Niczego nie rozumiał. Pracował w interesie wiele dziesiątków lat, przeczytał tysiące maszynopisów, przeprowadził niezliczone ilości promocji, ale nie przypuszczał, że literatura może być przyczyną autentycznej euforii. Kiedy wsiadał do swojego samochodu, zdał sobie nagle sprawę, że Karol Sulikowski od kilku miesięcy nie dawał znaku życia. Działo się coś dziwnego. Telefon pisarza nie odpowiadał, a listy i faxy pozostawały bez odpowiedzi. *Cóż, dobrze, że nie straszyły po nocach. To mogłoby być nudne.* Agent postanowił natychmiast kupić bilet na samolot i po prostu polecieć do Polski. Takiej okazji nie można było zmarnować. Wyobraził sobie nawet, że po raz pierwszy jego klient ma szansę otrzymać literacką Nagrodę Nobla. Osobiście nie znalazł lepszego sposobu zakończenia kariery agenta literackiego.

Coy nie mógł wiedzieć, że w jednej z polskich bibliotek od wielu lat pracował inny twórca, któremu życie nie dopisało jeszcze ostatnich stron. Ten właśnie nieznanym szerzej mężczyzna kończył zapisywać swój pięćdziesiąty drugi stukartkowy zeszyt. Przestał cokolwiek słyszeć, cokolwiek mówić i na cokolwiek zwracać uwagę. Nie rozglądał się już nawet za długonogimi studentkami. Pochłonęły go makabryczne boje, jakie staczał we własnej wyobraźni.

Mężczyzna czuł, że zbliża się do granicy swojej wytrzymałości. Długopis coraz częściej zatrzymywał się i nerwowo drżał nad papierem. Jakże on chciał przypierdolić, jakże pragnął zemsty za kaganiec, którym los go obdarzył. Z ust mężczyzny wydobywała się chwilami biała piana. Wówczas sztywniał i powoli wycofywał się z biblioteki. Nienawidził rozpadających się domów, śmierdzących ludzi, brzydkich ciał, nienasyceń i tego skurwysyńskiego JA, wyjącego w każdym od urodzenia. Nie wiedział, w jaki sposób pokazać ludziom ich właściwe miejsce. Mężczyzna zaczynał wątpić w możliwość okiełznania demograficznej bomby. Nocami słyszał krzyki rodzących kobiet i płacz niemowląt. Nie miał wątpliwości, że najczęściej rodzili się ci przeciętni. Rozumiał to i nie znosił tego. Sam był jednym z nich.

Samolot wiozący Petera Coya lądował właśnie na lotnisku w Warszawie, gdy mężczyzna w bibliotece podniósł się powoli z krzesła, wygiął nienaturalnie do tyłu i uderzył z całej siły długopisem w blat stolika. Jego oczy zrobiły się duże i wytrzeszczone, a piana z ust zaczęła ściekać po koszuli. Mięśnie uległy gwałtownemu drżeniu, a zęby spróbowały kąsać powietrze. Z jego gardła wydobyło się nagle przerażające, zwierzęce wycie. Mężczyzna zaczął widzieć i słyszeć. Czuł się jak żagiel, który połyka huraganowe poddmuchy wiatru. Nabierał prędkości. Wraz z nim, czego nie odnotowywały żadne urządzenia ani zmysły, wyruszyło w tajemniczą podróż kilkudziesięciu kobiet i mężczyzn rozsianych po całym świecie. Reagowali identycznie, mimo że zamieszkiwali Honduras, Kanadę, Australię, Chiny, Portugalię i Szwecję. Matematyka nie zdołała jeszcze wyliczyć, dlaczego

tak dokładnie i niewidzialnie pękła jedna z życiowych zwyczajności. W tym przypadku liczby pozostały tak samo ślepe jak przed wszystkimi największymi odkryciami. Mężczyzna wyszedł na ulicę i skierował się w stronę najbliższego skrzyżowania...

*

Dłoń Ewy Zylber idealnie mieściła się w dłoni Karola Sulikowskiego. *Herbata w filiżance też się mieści, że tak powiem...* Oboje zatrzymywali się przed sklepowymi wystawami i obserwowali swoje odbicia w olbrzymich szybach. Kobieta przytulała się do ramienia mężczyzny, zwracając uwagę swoją niezwykłą urodą i eleganckim strojem. Upalny letni dzień nastrojał do wyrażania uczuć i zmysłowych prowokacji. Ze wszystkich stron unosił się niewypowiedziany zapach wzajemnego przyciągania płci. *Oczywiście my, inteligenci, wiemy, czym to się kończy. Gorzej, że hołota też o tym wie.*

Spojrzenia Ewy Zylber stawały się coraz bardziej wymowne. Jej ręka energicznie zaciskała się na dłoni pisarza i zachęcała do bliższego poznania. Usta uśmiechały się i obiecywały coś więcej niż zwyczajny romans. Sulikowski raz po raz spoglądał na jej mocno zarysowane piersi i kształtne biodra pod cienką sukienką. Gdzieś z góry spływało na niego pożądanie. Czuł, że zapomina o swoim przekleństwie, że przenika go siła zdolna pokonać każdy niewytłumaczalny strach. Zrozumiał, że tego właśnie potrzebował. Stopniowo zapominał o przepowiedniach jasnowidza i nieodwracalnym złamaniu reguły. Nawet więcej, odważył się myśleć o przyszłości, odrzucając z pogardą niedawne niepokoje. Uczucie do kobiety sprawiało, że jego umysł

- wbrew logice - stał się racjonalny i chłodny. Znalazł się w tunelu, który koncentrował całą jego energię. Potężna biologiczna siła pchała go w stronę prokreacji.

- Chodź - szepnęła z napięciem w oczach i pociągnęła kobietę do stojącej obok taksówki. *Bardzo rozsądne zachowanie. Kulturalne, prawda?*

Nie mógł wiedzieć, że od dłuższego czasu towarzyszył im

mężczyzna z biblioteki. Szedł zaledwie kilka kroków za nimi i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w drgające pośladki kobiety. Sukienka była obcisła, przezroczysta i wyjątkowo krótka. Zostawiała za sobą zapach drogich perfum zmieszanych z naturalnym zapachem ciała. Podniecenie Ewy Zylber i Karola Sulikowskiego przenosiło się w powietrzu na mężczyznę idącegoz tyłu. On również został wessany przez magiczny klimat pożądania. Indywidualność i wyjątkowość wszystkich trojga zacierają się w prymitywnych prawach zachowania gatunku.

„Ty gnoju. Ty parszywy, zasrany świński ryju!” Taki właśnie wściekły ryk doleciał nagle do uszu mężczyzny z biblioteki. Jego głowa nie potrafiła tego pomieścić. Ręce zacisnęły się nerwowo, a pożądanie zamieniło w niepohamowaną agresję. „Jesteś gównem, które może co najwyżej zapchać wiejską latrynę!” Tego było już za wiele. Coś do niego krzyczało. Mężczyzna rzucił się na plecy Karola Sulikowskiego i jednym szarpnięciem oddarł mu połowę marynarki. Pisarz odwrócił się, uświadamiając sobie z przerażeniem, że nigdy wcześniej nie widział napastnika. „Jesteś ścierwem!” To coś wypruwało z mózgu mężczyzny resztki świadomości. Kilkucentymetrowe paznokcie wbiły się w skórę na piersi Sulikowskiego, a potężny kopniak uszkodził krocze. Pisarz skurczył się. Ewa Zylber odsunęła się i nieporadnie rozglądała wokoło. Nikt z przechodniów nie zareagował. Sulikowski próbował uciekać, ale napastnik chwycił go za ubranie i z całej siły wypchnął na jezdnię. Pisk hamulców rozległ się zbyt późno. Głowa Karola Sulikowskiego rozprysła się na masce volkswagena, a ciało w drgawkach osunęło się na asfalt.

Mężczyzna z biblioteki, zwany „Bezpańskim”, znów zaczął przeraźliwie wyć, a jego oczy skierowały się na Ewę Zylber. Oddychał szybko i świszcząco. „Jesteś nikiem. Ty szmato!” Nienawidził jej za urodę, za obojętność i za milczenie... Pożądanie wróciło. Kiedy chwycił ją za pierś, poczuł, że ma w życiu jeszcze coś do zrobienia. *Nic nowego. Kiedy chodziło o życie, ludzie zawsze mieli coś do zrobienia.* Nie słyszał pisku dzieci i kilku przypadkowych kobiet. Nie czuł rąk policji. Jeszcze nic nie czuł. Darł jej ubranie i uderzał na oślep otwartymi rękami.

Kobieta zaczęła krzyczeć. Kiedy to usłyszał, wydało mu się, że jego męskość nabrała gotowości. Nareszcie była naga. Na chodniku, wśród setek ludzi, wiała się pod nim i za wszelką cenę usiłowała uniknąć gwałtu. *To zrozumiałe, chciała postawić na swoim.* Nienawiść i pożądanie utwierdzały go w ostatecznym zwycięstwie. Był jak spuszczonego ze smyczy pies, który za wszelką cenę dąży do zachowania gatunku. Ewa Zylber widziała nad sobą pełne oczekiwania oczy ludzi. Po raz drugi przeżywała swoje prywatne piekło. Syrena karetki pogotowia i policji zapowiadała ratunek. Było już jednak za późno. Mężczyzna wziął ją tak gwałtownie i tak szybko, że nie zdążyła się nawet przygotować. Jego zęby wbiły się w jej ramię aż do krwi, a nasienie z nieprawdopodobną siłą zalało jej wnętrze. *O, cholera!* W tym momencie całkowicie zubożyła.

- On nie żyje - usłyszała nad sobą głos policjanta.

Ciało mężczyzny z biblioteki przez chwilę jeszcze na niej leżało. Podnosili go ostrożnie, jakby obawiali się coś zgubić. Błysnęło światło flesza. Ktoś robił zdjęcia. Jakaś kobieta podała jej płaszcz.

- Zawał serca. - Decyzja lekarza z pogotowia nie wywarła na niej żadnego wrażenia. - Ta Świnia jednak swoje zrobiła...

- Ej, dobrze ci było? - Z tłumy doleciał ją ochrypły głos.

- Gdybyś chciała jeszcze, to daj znać...

Zobaczyła go. Jednego z tysięcy nijakich i brudnych włóczęgów. Stał obok wystawy sklepowej i uśmiechał się, pokazując dwa żółte zęby między wargami. Jego ręka znacząco dotykała krocza. *Gdzieś to musiał podpatrzeć. A może to wymyślił?* Wiedziała, że to nic nie znaczy, że włóczęga był nikim i takim pozostanie aż do śmierci. Zrozumiała jednak przerażającą siłę przypadku, tę niewypowiedzianą energię życia, która tkwiła w ciele włóczęgi i w niej. Bezwolnie pozwałała prowadzić się do radiowozu. Nie była już wyjątkowa, pociągająca i nietykalna. Tym razem wziął ją pierwszy lepszy. Znów doświadczyła siły przeznaczenia.

- Jedziemy do szpitala. Zaraz panią zbada lekarz - powiedział cicho młody policjant, siedzący po jej prawej stronie.

Skrzywiła usta w półuśmiechu. Tylko ona wiedziała, że niczego

to nie zmieni. Miała pewność, że historia się powtarzała. Znów została zapłodniona. *I niech ktoś nam teraz powie, że życie nie jest piękne...*

*

Kto zadaje te pytania? I kto na nie odpowiada?

- Dlaczego tak banalnie brzmią czasami słowa? Słowa Księgi, o której mówią, że jest najdoskonalsza. Dlaczego brzmią?

Przekład, archaizacja, naiwność treści? Dewaluacja słów? Inna, bo współczesna tożsamość człowieka? Znudzenie? Potrzeba racjonalności, konkretności? A może zmęczenie? Naturalna pożyteczność? Może nadmiar interpretacji, niepewności, zawiedzenia? Niecierpliwość? A może to wszystko jest zwyczajnie do dupy? Może mój mózg jest do dupy?

- Może... Może największym twoim wyzwaniem są słowa? Jesteś ty sam? Zakochany, zdrowy i ciekawy. Nienasycony i jednorazowy. Rozedrgany od potrzeb i ambicji. Z nieprawdopodobnym poczuciem wolności osobistej. Ubrany w słowa kłęczysz między ludźmi i pogrążasz się w nienasyconym. Słowa w tysiącach języków obiecują ci, co zechcesz. Ty również możesz im wszystko podarować. Nie kończący się stan posiadania. I to nieobliczalne poczucie humoru. Może słowa to twój największy wróg?

- Dlaczego to samo brzmi czasami inaczej? Co sprawia, że miliony kłękają, a miliony stoją? Kiedy przychodzi ta olbrzymia, unosząca siła? Kto ją daje? Zwyczajna chemia? Nieodgadnione bio-, elektro-, sam diabeł wie jeszcze jakie, zdolności organizmu? To niepojęte, że stare zapisy mogą rozpędzać człowieka do granic wyobraźni. Mogą przekraczać tę wyobraźnię i rzucać na kolana. Mogą. Jednak mogą. Dlaczego? Kto zadaje te pytania? I kto na nie odpowiada?

*

Ocean kipiał. Sztorm owijał się wokół statków i portowych dźwigów. Wiatr uderzał w ściany domów i zmuszał szyby do wysiłku. W strugach deszczu poruszały się co najwyżej autobusy i taksówki. Zza wydmy wyłoniła się Ewa Zylber. Zatrzymała

wzrok na niewielkiej kępcie trawy sterczącej z szarego piasku. Żółte źdźbła dogasały. Lato przeminęło i nadchodził czas śmierci. Jesień. Kobieta klęknęła i dotknęła trawy. Odruchowo zaczęła liczyć więdnące łodygi. Przeszkadzał jej olbrzymi brzuch, więc usiadła na stopach. Strużki deszczu spływały po jej włosach

i nieprzemakalnym płaszczu w kolorze cytryny. Wyglądała na kogoś, kto podaje księdzu rękę przed ostatnim namaszczeniem. *Zakładamy, że ksiądz jest niewybredny i wyrozumiały.* Kończyła liczenie i zaczynała od początku. Bezwiednie powtarzała nazwy cyfr...

- Jest ich tylko dwadzieścia siedem, proszę pani. Tylko dwadzieścia siedem... - usłyszała za sobą znajomy język.

- Nie jest pan Francuzem? - zdziwiła się i spróbowała podnieść.

- Nie, nie jestem - odparł mężczyzna, wpatrując się w nią zaintrygowanym spojrzeniem. Podtrzymał ją i ostrożnie pomógł odzyskać równowagę. - Nazywam się Benedykt... I też przepadam za liczeniem trawy.

Ewa Zylber przyjrzała mu się uważniej. Był nawet przystojny. Tylko jego twarz nie miała prawie żadnego wyrazu. Wyglądała jak maska. Poruszały się wyłącznie usta i oczy. Obojętność na wszystko, co ją otaczało, sprawiła, że przestała się bać. Ta sama obojętność pozwoliła rozwijać się płodowi. Kobieta poddała się i przestała walczyć. Odcięta od przyjaciół i znajomych prowadziła życie pustelnika. Była dostatecznie bogata, aby ograniczyć swoje potrzeby do minimum, w jej głowie dojrzewała straszliwa zemsta nad losem. Nigdy nie pogodziła się z gwałtem i jego skutkami. Ilekroć patrzyła na młodego von Klausta i rosnący brzuch, widziała narodziny własnej nienawiści.

- Do widzenia - powiedziała i zaczęła oddalać się w stronę portu. Ruszył za nią.

- To wielka przyjemność... - kontynuował z zapalem Benedykt.

- Kiedy człowiek kładzie się na trawie, widzi przed sobą miliony zielonych listków i wie, że może nad nimi zapanować... Tylko w jeden sposób. Poprzez matematykę. Nawet chaos daje się wyrazić w liczbach... Okazuje się, że częstotliwość, powtarzal-

ność i podobieństwo pojawiają się również w chaosie. Niezwykle, prawda? - Kobieta nie odpowiedziała. Szła przed siebie i rozmyślała o zbliżającej się chwili. - Czasami siadam i ogarniam jednym spojrzeniem całe połacie trawy. Takie hobby... Mogę ci na przykład powiedzieć, ile masz włosów na dwóch centymetrach kwadratowych skroni... Chcesz? *A gdyby tak dorzucić do tego włosy łonowe jakiejś księżnej lub implanty sławnych aktorów?*

Po raz pierwszy obejrzała się. Zaczęła podejrzewać, że tym razem przeznaczenie stawia na jej drodze szaleńca. Nawet jeżeli tak było, postanowiła z tego zadrwić.

- Ewa - podała mężczyźnie rękę. - Rzeczywiście czasami liczę trawę - skłamała, patrząc mu zalotnie w oczy. - Podoba ci się mój brzuch? Jestem w ciąży, wiesz?

Benedykt dopiero teraz zauważył, że cytrynowy płaszcz jest nienaturalnie rozdęty. Nigdy wcześniej nie zwracał na takie szczegóły uwagi. Może tylko raz, kiedy wymyślił program, w którym brzuch apetycznej Claudii gwałtownie zaczął puchnąć, po czym zamienił się w gigantyczny balon. Zanim uniósł się w powietrze, na udach i piersiach Claudii usiedli - po obu stronach wydłużającego się ku górze brzucha - dwaj przystojni młodzieńcy, Tom i Luke. *A cóż to znowu za palanty!?* Balonowy brzuch wlatywał idealnie pionowo. Jednak nogi obu młodzieńców nie oderwały się od ziemi, tylko rozciągnęły na odległość kilku kilometrów. Przypominały struny gitary basowej. Wówczas z nieba wyłoniła się wielka brodata morda Ernesta, który swoim ruchliwym i różowym językiem wydobył ze strun smętne dźwięki bluesa...

- Jesteś dziwna - odezwał się z namaszczeniem Benedykt.

- Inaczej mówisz...

- Lubisz to? - zapytała, mrużąc zalotnie oczy.

- Nie wiem - odparł cicho. - Też jestem inny. Tak naprawdę nie umiem rozmawiać. No, może z komputerami... Z nimi można pogadać

- Nie rozumiem. - Usta Ewy Zylber odsłoniły białe zęby.

- To proste. Układam programy, które uruchamiają tysiące wariantów inteligencji. Czasami skanuję zdjęcia z gazet...

Prezydentów, aktorek, modelek... Wszystkich. Wybieram im barwę głosu, domy, hotele, plaże i samochody... Stwarzam warianty w prawdopodobieństwach. Programuję myśli, opisuję wszystko, co mogą powiedzieć i poczuć. Czy to nie wspaniałe?

- Zawsze jednak możesz domyślić się, co odpowiedzą - wtrąciła kobieta i usiadła na jednej z ławek, stojących na chodniku.

- Do pewnego stopnia - zaśmiał się za głośno i za nerwowo.

- Wyobraź sobie, że komputer porządkuje miliony zachowań z filmów, programów informacyjnych i teatralnych. Wrzuca wszystko do odpowiednich szufladek, z których w każdej chwili może to wyciągnąć. Genialne, prawda? Nie jestem w stanie przewidzieć reakcji mojego komputera, mojego komputerowego przyjaciela lub przyjaciółki... Tak właśnie wygląda chaos. W ten sposób go organizuję.

Ewa Zylber odrzuciła włosy do tyłu i oblizała usta. Zastanawiała się czy ten mężczyzna dostrzegwał w niej kobietę. Co czuł, kiedy na nią patrzył? Czy była dla niego podniecająca? Może przeszkadzała mu jej ciąża? Może straciła swoją zmysłową siłę? W końcu kim naprawdę był człowiek, który zainteresował się nią wyłącznie dlatego, że liczyła trawę. Mówił o czymś, czego nie rozumiała. Jednak była w nim przerażająca siła geniuszu, coś, z czym zetknęła się wcześniej w przypadku jasnowidza Jana Bykowskiego i szczęściarza Jakuba von Klausta.

- Jeżeli jesteś tak zdolny, jak mówisz, to... - zawiesiła głos.

- Mam nadzieję, że jesteś odważny. Jesteś?

Spojrzenie Benedykta niczym nie różniło się od wzroku kozy pochylonej nad kapustą. Skrzywił się i potakująco kiwnął głową. Ewa Zylber nie miała już wątpliwości, że zafunduje losowi niespodziankę. Za wszelką cenę starała się nie dopuścić do siebie wątpliwości. W ten sposób chciała oszukać przeznaczenie...

- Masz komputer? - zapytała, zaglądając mu miękko w oczy. - Chodzi mi o jakiś dobry...

Nigdy w życiu nie widziała tak ironicznego spojrzenia. Wyraz oczu i twarzy Benedykta poinformował ją, że nie mogła popełnić większej pomyłki. W jednej sekundzie dowiedziała się,

co on myśli na temat podobnych pytań.

- Mam wszystko - odparł w końcu z wyższością. Domyśliła się, że gdyby nie liczenie trawy, Benedykt uznałby ją za idiotkę i odszedł bez słowa.

- Przepraszam - odezwała się z pokorną miną. - Nie chciałam cię obrazić. Sam rozumiesz, jesteśmy we Francji... Myślałam, że zapomniałeś.

- Co robimy? - przerwał jej i sprężył się do drogi. - W hotelu mam komputer... *Niezły tekst. Zalotny jak sikanie przez nogawkę w filmie Felliniego. Po południu, obok szosy, w towarzystwie ukochanej rodziny... Trudno tego nie pamiętać.*

- To wspaniale - odpowiedziała i wsunęła mu rękę pod ramię. *W sumie gest bardzo kulturalny. Pasuje idealne do kobiety w ciąży.* - Pomyślałam sobie, że oboje możemy zrobić coś więcej niż tylko porozmawiać z twoimi komputerowymi przyjaciółmi. Powiedziałeś, że lubisz chaos, a ja tak bardzo interesuję się chaosem...

*

Bogactwo może pojawić się nagle. Jak rak albo ból brzucha. Może być podobne do menstruacji - przyjdzie i pójdzie. Bez szmeru, bez krzyku, bez głaskania. Po prostu. Nadchodzi dzień, w którym otwiera się szansa posiadania. Nie ma to wiele wspólnego z pracą. Nie w tym przypadku. Więcej z głupawym losem. To działa. Nie musisz być piękna, nie musisz być przystojny. Wystarczy chwila i twoje grube, owłosione cielsko ma nadzieję się pławić. Pan potrzebuje dużo diamentów, szuka. Ty otrzymujesz informację i nie zapominasz. Chwytasz się za leniwy do tej pory pysk i potrząsas nim. Budzisz się, ruszasz do forsy, która gdzieś tam leży. Wąchasz wszystkie możliwe warianty: kolegów, koleżanki, znajomych, instytucje... Na zakręcie pożerasz kanapki i czadujesz, czadujesz, bracie, aż ci nery charczą. *Co to znów za historia? Ludzie pracują, są uczciwi i w pocie czoła zdobywają emerytury...* Oczywiście, że tak. Ludzie powinni pracować w pocie czoła. Kto to pomyślał, żeby się nie pocić! O, kurwa! Tam, po drugiej stronie baru! Mam! Łapcie go! Rozpierdalasz krzesła, walisz w karczycho

śmierdzącą (bo nie używa dezodorantów, prymitywna pizda!) barmankę i dopadasz gościa na schodach. Nareszcie! To skurwysyn. Niewiele brakowało, a poszedłby sobie. Co za menda. Masz dojście do diamentów? Ma. Każdą ilość? Każdą. Mogą być nieoszlifowane? Mogą. Raj, jesteś w raj! Z radości chciałbyś trzeć dupą

o asfalt, ale nie wypada. Trzymasz się tylko za malucha i nerwowo drobisz w miejscu. Prowizja powinna być wystarczająca. Znasz się na tym. Umiesz liczyć. Niech błogosławiona będzie szkoła i ta zasrana matematyka! Teraz widzisz tylko swoje konto w Szwajcarii i pokazujesz tym gnojom wała. Chuj z wami, chłopcy. Możecie sobie zapierdalać i udawać ptasie piórka. Możecie nawet własnoręcznie karmić grzecznego robotnika lub uniwersyteckiego wypierdka. Wałować, chłopcy, wałować.

Przepisy są w porządku. Sprytne i samoprzylepne. Plastry opasujące bebechy. Jesteś tam, gdzie na ciebie czekają, gdzie każdy portier widzi w tobie dolara. To nic, że bywasz Szwedem, Chińczykiem, Rumunem lub Polakiem. To nic. Nareszcie prawdziwe bankowe konto. Tajne. Fantastycznie anonimowe. Na hasło. Może być każde. Na przykład: ropa, wrzód, framuga lub pederasta. Przy tym ostatnim urzędnik bankowy najwyżej podniesie głowę i popatrzy na ciebie z zainteresowaniem. Tak, tak... Odnalazłeś w tym świecie dwóch potrzebnych sobie ludzi. Dobry uczynek. Za skromne osiem milionów dolarów. Prowizja. Dla człowieka, który znalazł się tam, gdzie powinien. Ja pierdołę! *Te brzydkie słowa są chyba niepotrzebne. Mogą wzbudzać w niektórych uszach konsternację, a nawet nienawiść. Ktoś może się poczuć obrażony. I powie, że to... pornografia. Tak, tak powie. A gdyby tak dawać mu do czytania tylko książeczki dla dzieci? Takie, po których nie chce się bić niegrzecznych dzieci...* Uwalony w łazience, w niezbyt wyszukany wnętrzu, odprawiasz modły nad parującą wodą. Hotel w kraju niedostatku. Wielogwiazdkowy. I dziewczyna z tobą. Prostytutka.

Wypatrzyłeś ją w barze i zaproponowałeś wspólne spędzenie czasu. Pod warunkiem, że ma czyste, białe zęby i zadbane

paznokcie. Nie za długie palce, zgrabne łydki i piękną twarz. Twarz przeznaczoną do uciech. Ta właśnie bezcenna prostytutka robi ci dobrze w wannie i prowadzi wesołą rozmowę. *Jednocześnie chyba nie da rady. Musi robić przerwy.* Za drzwiami czeka na was wózek z żarciem. Stoją otworem wszystkie lotniska świata, wszystkie uniwersytety i wszystkie niemożliwe sny. Witajcie paszporty, dzień dobry brak łaski, pozdrowienie dla dobrego czasu. Świat byłby rzygowiną, gdyby nie ta jedna, jedyna, ukochana prowizja. *Czy to aby nie przesada? Ten wątek nie był przecież zbyt wyszukany. Było jednak fajnie. Tak, tylko tyle. No, skoro było fajnie...*

*

Na biurku Petera Coya znalazła się kolejna taśma z podsłuchaną rozmową, kilkanaście zdjęć i dokładny raport. Detektyw Smith znalazł się na swojej robocie i w pełni zasługiwał na wysokie honorarium. Z regularnością szwajcarskiego zegarka dostarczał agentowi zamówione informacje. *Miło znać takiego człowieka, prawda?*

Po raz drugi w życiu Coy odczuwał ciekawość. Niezwykły epizod z pisarzem Karolem Sulikowskim, uznawanym przez wielu Amerykanów za kultowego, wciąż nie został zakończony. Uroczysty pogrzeb i dziesiątki artykułów w prasie światowej jeszcze bardziej wzmocniły literacką pozycję szalonego Polaka. Tragiczne i niezwykle okoliczności śmierci dodawały pikanterii jego tajemniczemu życiu. Coy potrafił to docenić. Wpadł na pomysł wart co najmniej trzydzieści milionów dolarów. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wyrzucał takich pieniędzy za okno. *Z drugiej strony nie ma się czym ekscytować. Gdyby trzydzieści milionów dolarów rozdać chociażby trzydziestu milionom Chińczyków, wówczas każdy miałby zaledwie po dolarze. Doprawdy, nie ma o czym mówić...*

Dzień po dniu detektyw Smith szedł po mocno zatartych śladach Karola Sulikowskiego. Pisarz-zabójca zafascynował go od samego początku. Jeszcze bardziej podniecający okazał się nowy trop związany z Ewą Zylber. Zgwałcona na ulicy piękn-

ność, przyjaciółka wielu bogatych i arystokratycznych rodzin, kobieta niedostępna i podniecająca, wydawała się wymarzonym tematem do obserwacji i podsłuchu. *Dałby cynk, a kilka brukowców dostałoby erekcyjki. Miodzio...* Na tym tle zupełnie nieprawdopodobnie rysowała się postać małego chłopca, syna Ewy Zylber, jasnowidza Huberta von Klausta.

- Moja matka jest kobietą wyjątkową, proszę pana - przywitał detektywa, kiedy po raz pierwszy spotkali się. - Tak samo wyjątkowa będzie jej śmierć... *Co za miły chłopiec! Jaki rozgarnięty!*

- A moja? - zaśmiał się wówczas detektyw Smith. - Moja też będzie wyjątkowa?- Naprawdę chce pan wiedzieć? - odpowiedział pytaniem chłopiec. Był poważny i chłodny.

- Pan Coy opowiadał mi o twoich zdolnościach - wyjaśnił Smith z protekcyjnym wyrazem twarzy. - Możesz gadać, mały. Nie jestem tchórzem... *Na pewno. Po co się przemęczać. Jest nas tu paru...*

- Wyleci pan w powietrze - odpowiedział spokojnie chłopiec. - Nie wiem kiedy, nie wiem jak i nie wiem dlaczego...

- dodał szybko, jakby chciał uprzedzić kolejne pytania. Tylko on wiedział, że skłamał. Prawda zabrzmiałaby jak oszustwo.

Do zapisu tej rozmowy Peter Coy często wracał. Przeglądał zdjęcia i raporty Smitha z coraz bardziej uradowaną miną. Wsłuchiwał się w taśmy, na których zostały zapisane najbardziej poufne rozmowy Ewy Zylber. Brakowało tylko zakończenia. Rzecz była już właściwie gotowa. Na dwustu dwudziestu stronach maszynopisu agent osobiście opowiedział historię Karola Sulikowskiego i kobiety, w której pisarz zakochał się w dniu własnej śmierci. Były tam zabójstwa recydywistów, była wizyta u zakonników, była wreszcie dziwna śmierć pod kołami samochodu.

Agent towarzyszył także cierpieniu kobiety. Słuchał jej płaczu, jej krzyków i westchnień. Nie wiedział tylko jednego. Dlaczego Ewa Zylber nie pozbyła się ciąży i z premedytacją odsunęła od świata. Coy nie wierzył we wstyd ani upokorzenie. Podejrzał coś niezwykłego. Nic jednak nie udało mu się wydedukować. Czekał na ostatni akord. Zapis rozmowy z ostatnich dwóch dni

prawie go zachwyił. W jednym z niewielkich i dyskretnych francuskich hotelików rozegrała się niezwykła scena. Mężczyzna o imieniu Benedykt ofiarował Ewie Zylber najpotężniejszą broń na świecie: pieniądze. Każdą ilość. *Po czymś takim człowiek chciałby umówić się na nieśmiertelność. Chociaż raz. Bez pazerności.*

„- To twój sprzęt? - zabrzmiał głos kobiety.

- Oczywiście. Mam tutaj wszystko, co jest potrzebne do zrealizowania twojego pomysłu - uspokoił ją Benedykt. - Niektóre zrobiłem sam... Programy też wymyśliłem. Są najszybsze na świecie. Może nawet szybsze ode mnie? Kto wie? - zaśmiał się głupio. Był wyraźnie podekscytowany.

- A blokady, hasła? - dopytywała się Ewa Zylber. - Podobno mają stuprocentowo pewne...

- Nie dla mnie. - Tym razem śmiech zabrzmiał niemalże groźnie. - Wystarczy, że wejdziesz do sieci i mogę robić, co mi się tylko podoba... Nie wierzysz? Patrz... Chcesz wiedzieć, ile ma na koncie prezydent Stanów Zjednoczonych? Nie? To kto?

- Rosjanie. Ci najbogatsi... - zaproponowała kobieta.

- Niestety, nie znam nazwisk i nie wiem, w jakich bankach...

- Nie ma problemu - przerwał jej Benedykt. - Odwiedzimy Szwajcarię. Widzisz? Tak... No i mamy. Który bank wybierasz? Dobrze, wszystko jedno... Teraz lista... Nie, nie wszyscy klienci. Nam potrzeba nazwisk rosyjskich, prawda? Szuka... I znalazł. Chcesz to? Proszę... próbuje nas oszukać... Kochany, nie masz szans, nie wysilaj się... hasło? Jakie hasło? Jest taki naiwny. Myśli, że podamy mu hasło... Obejdziemy cię, kochany, obejdziemy cię matematycznie... *Ludzie! To cudowne, jesteście przy nim tak głupi, że nas nie ma...* Nie rozumiesz? Nie szkodzi. Tego jeszcze nikt na świecie nie rozumie. Oprócz mnie... Na szczęście dla banków i wojska... - Mężczyzna zaczął pogwizdywać wesoło jakąś egzotyczną melodię.

- Boże, ty rzeczywiście jesteś genialny... - Westchnienie Ewy Zylber mówiło samo za siebie. - Masz go. Naprawdę go masz! Niesamowite... Ja nie mogę w to uwierzyć...

- Ma na koncie pięćdziesiąt jeden milionów dolarów... - oznajmił z satysfakcją Benedykt.

- Może poszukamy bogatszych?

- Zaczekaj chwilę - Ewa Zylber oddychała głośno i miarowo. - Czy możesz te pieniądze przelać na inne konto?

- Twoje? - Benedykt zapytał tak, jakby proponował komuś cygaro. Beznamiętnie i bez emocji.

- Nie, nie moje - zaoponowała żywo. - Mam dość pieniędzy. Przelej to na konto mojego syna, Huberta von Klausta. Podam ci numer jego konta... *Brawo! Każda dobra matka tak by postąpiła. Oby tylko wybrał pieniądze następnego dnia.*

- Nie trzeba. - Mężczyzna wydobył z ust jakieś dziwne dźwięki.

- Mam go. No, no, no... Widzę tu ponad dziesięć milionów funtów. Nieźle... Ile mu dodać? *Byłoby lepiej, gdyby założyli w banku konto fikcyjnej firmy i przelali szmal z konta innej, niefikcyjnej firmy. Wówczas wydruk pod koniec dnia nie wzbudziłby podejrzeń tego lub owego, prawda?"*

Coy wyłączył magnetofon i sięgnął po fajkę kupioną przeszło piętnaście lat wcześniej na Carnaby Street pod numerem 45 u renomowanego Inderwicka. Palił ją tylko wtedy, gdy podejmował naprawdę ważne decyzje. Wiedział o przestępstwie i powinien zareagować. Z drugiej strony nadal nie miał zakończenia swojej historii. Z prawnego punktu widzenia byłby całkowicie zabezpieczony. Gorzej z czytelnikami... Mogli mu tego nie wybaczyć. Poza tym nie o takie zakończenie chodziło. *Nareszcie pojawił się ktoś, kto chce czegoś więcej. Dość mamy tych, którzy zadowolają się organizowaniem związków zawodowych i hodowlą debili. Nasze wymagania są ogromne, proszę to zrozumieć...* Agent patrzył i uderzał ustnikiem fajki o zęby. Czas płynął...

Telefon zadzwonił. Coy podniósł słuchawkę i mruknął:

- Tak, słucham... Tak, może pani wejść.

Sally Lenox weszła jak automat. Jej dzień pracy dobiegał końca.

Gdyby nie napis na przesyłce, odłożyłaby ją na rano.

- Od pana Smitha - wyjaśniła dla zasady.

Coy odprowadził wzrokiem jej chude, podrygujące śmiesznie pośladki. Przez chwilę zastanowił się nad życiem seksualnym swojej sekretarki. Sam nie wiedział dlaczego. Nie potrafił

wyobrazić sobie, że panna Lenox mogła pójść do łóżka z jakimkolwiek mężczyzną. Kiedyś podejrzewał, że była lesbijką. Kiedy jednak zobaczył, jak reaguje na młode i ładne dziewczęta, wykluczył taką możliwość. Uznał więc, że Sally Lenox urodziła się po to, aby odbierać telefony i porządkować sprawy swojego szefa. *Dzięki temu feministki i homoseksualiści nie muszą wykonywać niewdzięcznych prac. W spokoju mogą rozwijać się duchowo. Jednak jest jeszcze sprawiedliwość na świecie...*

W przesyłce znajdowała się kasetka magnetofonowa, kilkanaście zdjęć i dwie strony maszynopisu, raportu detektywa. Agent rzucił okiem na zdjęcia, skrzywił się, widząc olbrzymi brzuch Ewy Zylber, i z ulgą przerzucił wzrok na doniesienia Smitha. Już po pierwszych zdaniach zrozumiał, że los ofiarował mu zakończenie. Rozgrzeszał go przed czytelnikami, czyniąc z niego szacownego i przestrzegającego prawa obywatela. Nawet więcej, dawał mu jedyną i niepowtarzalną szansę zostania bohaterem. Podekscytowany, włożył kasetę do magnetofonu. W miarę słuchania robiło mu się błogo i zaczynał odczuwać dumę ze swojego angielskiego pochodzenia...

Chcę chaosu - rozpoznał głos Ewy Zylber. - Chcę totalnego chaosu... Zostawmy po sobie coś niezwykłego, coś wyjątkowego... Zróbmy prawdziwą rewolucję... Zgoda?

- Nie ma problemu. - Benedykt wyraźnie był pod wpływem kobiety. - Możemy robić wszystko... Jedne pieniądze możemy zabierać, inne kasować lub przelewać na konta przyjaciół... *Ludzie, gdzie szukać takiego szczęścia?*

- Nie, nie o to chodzi... Pieniądze zabierzemy, zdążymy... Teraz spróbuj dostać się do systemów obronnych Stanów Zjednoczonych, Rosji, Chin, Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii... *No, wiadomo było, że w końcu gdzieś musi pierdolnąć!*

- Oszalałaś? - Okrzyk Benedykta był historyczny. - Tego nie można zrobić. To pewna śmierć... To wojna. Nie, tego nie zrobię!

- Nie rozumiesz mnie... - uspokoiła go kokieteryjnym tonem. Coy wyobraził sobie przeciągającą się panterę. *Całe szczęście, że nie wargi sromowe samicy goryla albo niemyte nogi*

farmera z Południa... - Chcę ich rozbroić. Rozumiesz? Zabrać wszystko, czym nas straszą i szantażują... To świetna okazja. Nie zależy ci na tym?

- A jak zostanie ktoś, o kim nie wiemy? - przytomnie zapytał Benedykt. - Niektórzy nie mają systemów komputerowych... Nie mają sieci, w ogóle nic nie mają. Trzymają bomby w ukryciu i czekają na okazję... Nie, to głupie. Nie namawiaj mnie. Chodźmy lepiej policzyć trawę w hotelowym patio. Tam jeszcze nie liczyłem...

- Nie zależy ci na prawdziwym chaosie? - nacisnęła Ewa Zylber. Pytanie zostało postawione nerwowo i bardzo niedyplomatycznie. Cięża wyraźnie nie służyła załatwianiu takich spraw. Kobieta zatracala instynkt i robiła się niecierpliwa. Dlatego nie doczekała się odpowiedzi. Benedykt po prostu zamilkł."

Coy niespokojnie poprawił się na fotelu. Od kiedy ukończył pięćdziesiąt lat coraz częściej dokuczały mu gazy. Wydawał majątek na lekarzy, ale nie potrafili mu pomóc. Wymyślali diety i style życia, które dobrze wyglądały wyłącznie w kobiecych magazynach. Wyłączył magnetofon i odłożył fajkę. Zabawa skończona, pomyślał i sięgnął po słuchawkę telefonu. Numeru nie musiał szukać, leżał na biurku już od dłuższego czasu. Angielska policja miała otrzymać klucz do wiecznej sławy...

Drzwi otworzyły się nagle i stanął w nich Hubert von Klaust. Chłopiec wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać uczeń jednej z elitarnych angielskich szkół. Spodnie, marynarka, koszula, krawat i buty kosztowały więcej niż ogarniała wyobraźnia przeciętnego sprzedawcy ryb i frytek. *Nie mamy chyba wątpliwości, że jemu to się zwyczajnie należało?*

- Dzień dobry panu - odezwał się, idąc w stronę kompletnie zaskoczonego Coya. - Proszę tego nie robić. To nie jest takie proste...

- Co... Co ty tutaj robisz, chłopcze? - Agent zapomniał o swoim nienagannym wychowaniu i przysłowiowej flegmie. *W takiej chwili, gdyby ktoś zapytał go o pochodzenie, mógłby zemdleć.*

- Ratuję panu życie. Prawdopodobnie... - wyjaśnił młody jasnowidz. - Nie może pan zadzwonić na policję, ponieważ w

ten sposób wyda pan na siebie wyrok. Nie będzie pan bohaterem nawet przez sekundę...

- Ty wiesz o wszystkim? - z trudem uspokajał się Coy.

- Jakim cudem?

- Powiedzmy, że odgaduję przyszłość - odparł chłopiec i usadowił się na krześle obok biurka. - Pan musi zapomnieć o policji. Książkę może pan wydać, ale nic poza tym... Moja matka już właściwie nie żyje. Człowiek o imieniu Benedykt też odchodzi... Pan ma jeszcze wybór...

- Co to za bzdury, chłopcze? - wybuchnął poirytowany nie na żarty Coy. - Co ty chcesz mi wmówić? Jesteś jeszcze dzieckiem i powinieneś...

- Nie traćmy czasu, proszę pana - przerwał mu młody von Klaust. - Czy obiecuje mi pan, że nie zadzwoni na policję? *Doskonale! Tak rozsądnie potrafią pytać tylko uczniowie renomowanych szkół dla chłopców.*

- Dlaczego tak ci na tym zależy? - zmienił ton agent.

- Nie jestem zainteresowany złą sławą, proszę pana. - Przez twarz chłopca przemknęło coś, co przypominało uprzejmy uśmiech. - Chronię swoje nazwisko. Czy to nie wystarczy?

Oczy kilkulatka patrzyły bystro i przytomnie. Coy nie mógł jednak wiedzieć, że młody jasnowidz zapłaci za tę wizytę w przyszłości. Dołączył do tych, którzy zdecydowali się złamać regułę. Nie miał jednak ani doświadczenia, ani mistrza, od którego mógłby nauczyć się ostrożności. Grał ostro i ryzykował. Mimo wszystko był dzieckiem.

- A jaki ja mam w tym interes? - zapytał podchwytliwie agent.

- Ocali pan życie...

- Jeżeli ci powiem, że nie wierzę w ani jedno twoje słowo, to skłamię. - Rysy twarzy Coya wykonały prawdziwy taniec.

- Jeżeli powiem, że wierzę, też skłamię...

- Czas minął - wtrącił nagle chłopiec. - Nie będzie procesu. Moja matka nie żyje... Skoczyła właśnie z portowego dźwigu...

Po drugiej stronie kanału La Manche Ewa Zylber rzeczywiście oderwała stopy od rdzewiejącego podestu i z wysokości ponad pięćdziesięciu metrów poszybowała w dół. W jej brzuchu szykowało się do wyjścia na świat kolejne dziecko gwałtu.

Kobieta wyczekała do końca. Kiedy odeszły wody, znajdowała się w połowie drogi na szczyt dźwigu. Przeznaczenie robiło wszystko, aby zrezygnowała i urodziła. Z determinacją i przerażeniem w oczach wspiniała się coraz wyżej. To była jej odpowiedź. Tym razem nie pozwoliła zadecydować wbrew sobie. Patrzyła w dół i widziała zbliżającą się ziemię. Myślała o swoim pierworodnym synu, Hubercie von Klauście. Refleksja była szybka jak lot kuli. Miała nadzieję, że chociaż jemu uda się ocalić własną zwyczajność...

Coy przyglądał się chłopcu i zaczynał mu wierzyć. Odruchowo sięgnął po słuchawkę telefonu. Młody von Klaustr bez wahania, jakby na to czekał, podsunął mu podręczny komputer z wyświetlonym numerem telefonu. Agent dotknął tarczy i po chwili połączył się z niewielkim hotelikiem w pobliżu francuskiego portu.

- Chciałbym rozmawiać z panią Ewą Zylber... - Zamilkł.

Recepcjonistka najwyraźniej przerwała mu. Coy kiwał głową i mrukiwie potakiwał. W końcu odłożył słuchawkę i z niedowierzaniem spojrzał na chłopca.

Kiedy młody jasnowidz wstał i zbliżył się do drzwi, Coy wydusił z siebie:

- Chłopcze! - Odpowiedział mu spokojny i cierpliwy wyraz twarzy. - Nie pytam cię, skąd wiedziałeś, nie pytam cię o wiele innych spraw... Decyzję podjąłem. Nie zadzwonię na policję...

- Wiem - odparł cicho młody von Klaustr.

- Czy możesz mi powiedzieć, co mi groziło, gdybym postąpił inaczej? Chłopiec nie wahał się. Odpowiedział z rozbrajającą szczerością:

- Mężczyzna o nazwisku Smith utopiłby pana podczas kąpieli. Teraz jest niegroźny...

- Nie rozumiem - wyszeptał Coy. Nie miał siły sięgnąć ani po fajkę, ani po jakąkolwiek książkę. Skierował oczy na barek z alkoholem i próbował otrząsnąć się z irracjonalnych okoliczności, w jakich się znalazł. *Nie da się ukryć, że pociąg do alkoholu dziedziczony jest z pokolenia na pokolenie. Ciekawe, ile to kosztuje przeciętnego podatnika, który przecież też pije...*

Młody jasnowidz oddalił się tak samo cicho, jak przyszedł.

*

Kolana niektórych ludzi są paskudnie pościerane. Ludzie ci żyją przeważnie na klęczkach. *A co na to współczesna medycyna? Co na to ci wszyscy dobrzy ludzie?* Wybrali sobie miejsce i czas na delektowanie się wyłącznie znakami zapytania. Jeżeli stają się nagle pyszni, to oznacza, że przestali pytać i staczają się w zwyczajność, a nawet znikają. Klęcząc pośród miliardów możliwości, poświęcają swój los przypadkowi. Kiedy wreszcie odnajdują prawdę, wówczas nawet nie prostują kręgosłupa. Są tak wspañiale bezradni, tak przyjemnie nieśmiali...

Brat Patryk, stary mnich, który już niejedno widział, obserwował lot motyla w smugach światła wpadającego do klasztornej kaplicy. Owad miotał się w wilgotnym powietrzu i instynktownie odnajdował jasność. Białe oczy mnicha podążały za nim i cieszyły z tej krótkiej chwili odpoczynku. Modlitwa uleciała gdzieś wysoko... Kaplica była pusta i przypominała piwnicę. Mnisi ścierali tu tylko kurz i zmywali kamienną podłogę. Nigdy nie zabijali pajaków ani nie niszczyli pajęczyn. Od setek lat przychodzili do klasztoru, zostawali, spędzali w nim swoje życie i umierali razem z kolejnymi pokoleniami pajaków. Jednak zaledwie niektórzy z nich odczuwali szczególnie rodzaj porozumienia ze światem, którego nie rozumieli. Brat Patryk był jednym z nich. Poza tym czekał. Wiedział, że ktoś wkrótce przyjdzie. Zapowiedziała to nocna wizyta tragicznie zmarłego pisarza...

- Mnie również boli, że koniec będzie banalny i tak bardzo nijaki. - Od drzwi kaplicy rozległ się cichy głos.

- Mógłby być inny... - odezwał się zakonnik, nie odwracając głowy. Nie musiał. Doskonale wiedział, jak wyglądał człowiek, który pojawił się w kaplicy. Nie raz widział go w swoich wizjach.

Książd zbliżył się do ostatniej z ławek i uklęknął. Przez chwilę jego twarz zastygła. W końcu skierował spojrzenie na plecy mnicha. Pomięty kaptur przypominał opróżniony worek na

kartofle. *Szkoda, że nie kalesony amerykańskiego policjanta z okresu krachu na giełdzie. Przynajmniej ciepłe.*

- Tego nie można zobaczyć wyraźnie - wtrącił nagle ksiądz. Echo przetoczyło się pod sklepieniem.

- Nie wiem, co mam robić - powiedział zakonnik i odwrócił głowę w stronę księdza. - Można wiele rozumieć, ale nie ucieknie się przed własnymi uczuciami... Czy ksiądz powie mi, co widzi? Sam nie dam rady. Zresztą to niemożliwe, prawda?

- Większość z nas, niestety, nie potrafi odgadywać własnej przyszłości. To smutne, ale tak już jest... - odezwał się wpół do siebie ksiądz. - Jeżeli chodzi o mnie...

- Ty potrafisz. Ja wiem - przerwał niecierpliwie zakonnik.

- Powiedz mi, czy powinienem zrezygnować? Kiedy o tym pomyślę, czuje się martwy...

- Boisz się, że nie będziesz szczęśliwy - stwierdził beznamiętnie ksiądz. - Gdybym nawet powiedział ci, co widzę, i tak nie zaplanujesz sobie wszystkiego. Gdybym nawet zobaczył możliwości... Wiem, wiem... Ona jest rzeczywiście niezwykle piękna i mądra. Ma tak mało lat i naprawdę cię kocha. Nie należy do nas, nie ma daru... A jednak nie możesz przestać o niej myśleć... Po prostu jesteś człowiekiem. Nie zapominaj o tym...

Brat Patryk zatęsknił gwałtownie za widokiem oczu dziewczyny, za jej włosami i długimi nogami. Nie widział jej od dłuższego czasu i coraz częściej śnił mu się czarny kolor. Potrzebował pomocy. *Od kiedy testosteron został członkiem rodziny, wielu tak cierpi.*

- Odeszła. - Ksiądz zdecydował się w końcu powiedzieć prawdę.

- Nie żyje. Nie mogłeś tego wiedzieć. Byłeś zbyt blisko... Nie, nie rób tego samego - zareagował energiczniej przybysz. - Brat Antoni zabił się marzeniami... Musisz wyjść i zacząć kupować warzywa. Tak zwyczajnie, jak tysiące ludzi. Skoczyła z okna szpitala... Od niego.. Nie zapominaj, że ten pisarz miał jednak dar... - Tym razem słowa księdza były proste i bezpośrednie.

Zakonnik wyczuł, że obaj znaleźli się w ten sposób na granicy reguły. Dlatego nie pytał o nic więcej.

- Powinieneś kupować warzywa - uśmiechnął się ksiądz.

- Może za tym kryje się coś ciekawszego? Przecież nie wiemy

wszystkiego.

- Powiedział ksiądz, że ona mnie kocha, że jest piękna i... - nie dokończył mnich.

- To prawda - odparł z przekonaniem przybysz. - Powiedziałem „jest”...

Białe oczy zakonnika chciały spojrzeć w źrenice księdza, ale czas minął. Tylko pył wirował w powietrzu. Brat Patryk wstał i ruszył do drzwi. Zbliżała się pora kolacji. Postanowił wyjść i zobaczyć targ. Wiedział, że marzenia nie powinny go zniszczyć. Musiał znaleźć drogę, na której narodziny i śmierć wymieniają się jak pory roku. Potrzebował zapachu świętego siana, widoku zwisającego z koszyka selera i nawoływań handlarzy. Chciał dotknąć pyłu i stanąć w strugach deszczu. Tam mógł być spokój i oczekiwanie. Zakonnik wierzył, że ślad nie urywał się w oknie szpitala, że śmierć pokazała palcem zaledwie kierunek. Postanowił pójść. Zapach narodzin i zapach dziewczyny były silniejsze od marzeń. Nigdy nie przypuszczał, że to jemu właśnie przeznaczenie pozwoli towarzyszyć narodzinom kobiety. Pamiętał, że zaledwie przez sekundę widział spalające się dzieciństwo i wybuch zmysłów. I może dlatego z kapturem naciągniętym na głowę wyszedł z klasztoru. Na plecach czuł spojrzenie księdza. Dlaczego akurat on?

*

Pies był pijany. Dlatego nie zareagował. Leżał na dywanie i spał. Blisko jego posłania stała miska wypełniona piwem. Pokój Huberta von Klausta różnił się nieco od sal, w których mieszkali pozostali uczniowie szkoły. Był trzy razy większy i został specjalnie przebudowany. Szkoła była prywatna, elitarna i z tradycjami. Uzyskanie zgody na wyjątkowe traktowanie jednego z uczniów wymagało dużych pieniędzy, dobrych kontaktów i zdolności samego zainteresowanego. Na szczęście dla młodego von Klausta wszystko to było w zasięgu ręki. *Pewien norweski rybak mawiał, że sprawiedliwość jest najsprawiedliwsza wtedy, gdy widzi łufę. Może dlatego niektórzy mieszkają lepiej?*

Gdyby chociaż jeden z tych warunków nie został spełniony,

dwaj mężczyźni w czarnych kombinezonach i maskach na twarzy nigdy nie znaleźliby się w pokoju chłopca. Weszli nie zauważeni i przygotowani na najgorsze. Otrzymali rozkaz i kilka podstawowych informacji. Wiedzieli, że zetkną się z wyjątkowo uzdolnionym dzieckiem o niezwykłym darze jasnowidzenia. Rozpoznanie potwierdziło delikatność misji.

Wyższy z mężczyzn nazywał się Tool, niższy znany był wśród kolegów jako „Chagall”. Może dlatego, że jedyna książka, jaką często oglądał, nosiła właśnie taki tytuł. Kiedy zamknęli za sobą drzwi i pochylili się nad śpiącym psem, usłyszeli w ciemnościach głos chłopca:

- Proszę go nie ruszać. Wypił za dużo piwa i powinien spać do rana...

Tool doskoczył do chłopca i zatkał mu dłonią usta.

- Cicho bądź! - warknął z odcieniem zdenerwowania. Odwrócił głowę do „Chagalla”. - Dawaj strzykawkę...

Młody von Klaust poruszył się i przytknął do brzucha mężczyzny tłumik przytwierdzony do małego pistoletu. Tool powoli zsunął dłoń z ust chłopca. „Chagall” nie musiał zgadywać, co było powodem. W smudze księżycowego światła, wpadającego przez wielkie okno, wszystko w pokoju było doskonale widoczne.

- Mógłbym was zastrzelić, prawda? - zapytał z udawaną naiwnością młody jasnowidz. - Nie o to jednak chodzi... Wiedziałem, że wcześniej czy później po mnie przyjdziecie... Nie, nie... Nie będę wam tego wyjaśniał. Jesteście tylko wykonawcami najprymitywniejszej roboty... Nie ruszaj się i nie myśl o pistolecie! Czytam w waszych myślach, panowie... To nie jest wcale takie trudne...

- Mamy cię zabrać i dowieźć do Londynu - odezwał się ostrożnie „Chagall”. - Nic ci nie grozi...

- Czy człowiek, który was wysłał, nosi stary zegarek z pozytywką? - Młody von Klaust wstał z łóżka i podszedł do krzesła, na którym wisiało ubranie. Zaczął się ubierać.

- Tak - odpowiedział krótko Tool. Był lekko wyprowadzony z równowagi. Uczestniczył w wielu akcjach, ale po raz pierwszy czuł się uzależniony od decyzji ofiary. W racjonalnym i

brutalnym świecie nie znajdował miejsca na podobne wybryki natury. Właśnie czymś takim był dla niego młody jasnowidz.

Chłopiec nałożył swój wyjściowy garnitur z emblematem szkoły, pochylił się nad psem i pogłaskał go po sztywnej sierści. Pies otworzył jedno oko i przekręcił się na bok. Spał dalej.

- Proszę go zabrać razem z dywanem - polecił Toolowi, nie zwracając uwagi na wyraz jego twarzy. - Pospieszcie się. Mnie czeka jeszcze długa droga...

Podszedł do stolika i położył na nim elegancką kopertę z nazwiskiem dyrektora szkoły. Obaj mężczyźni wymienili zdziwione spojrzenia.

- Miało nie być śladów... - spróbował oponować „Chagall”.

- I nie będzie - uspokoił go młody von Klaust. - List uzasadnia mój nagły wyjazd i nie czyni z tego sensacji... Zresztą nie musicie tego rozumieć.

Tool podniósł psa i zmierzył chłopca spojrzeniem, które wiele mówiło.

- Nie obchodzi mnie, czy panu się to podoba, czy nie.

- Głos młodego jasnowidza był twardy i beznamiętny. - Jesteście po to, żeby wykonywać polecenia. I myśleć tylko do pewnego stopnia. Czy to jest jasne?

- Nie mądrzyj się, szczeniaku, bo ci łeb ukręcę - nie wytrzymał „Chagall”.

- Wychodzimy. - Chłopiec wszedł mu w słowo i otworzył drzwi.

- Idźcie za mną...

Przeszli przez korytarz, wyszli przed budynek szkoły i skierowali się w stronę boiska, gdzie stał zaparkowany ford. Chłopiec bez wahania otworzył drzwi samochodu i usiadł na tylnym siedzeniu. Pokazał Toolowi, że psa należy położyć obok. Cisza, w jakiej wszyscy trzej się poruszali, zdradzała napięcie i zdenerwowanie. Zachowanie młodego von Klausta przypominało ścianę, od której odbijało się niezadowolenie. Tym silniej jednak kłębiła się w obu mężczyznach wściekłość.

- To dobry pies - odezwał się chłopiec po półgodzinnej jeździe. - Ma swoje przyzwyczajenia i zasługuje na szacunek... Przed wszystkim jest wierny i nie ma wygórowanych ambicji. Choć wśród psów też zdarzają się podłe charaktery...

- Powiedziałeś, że twój pies napił się piwa... - zaczął niepewnie Tool. - Chciałeś go otruć?

Młody jasnowidz nawet nie zaszczycił go spojrzeniem. Patrzył w okno i obserwował schyłek nocy. W oddali migotały nieliczne światła lamp i neonów. Zbliżali się do przedmieść Londynu. Nie czuł ani samotności, ani strachu. Wszystko odbywało się zgodnie z przeznaczeniem. Złamana reguła zaczęła działać i wszystko wokół stawało się coraz bardziej racjonalne. Chłopiec nie miał wątpliwości, że nie wie wszystkiego. Zasłona była zbyt gęsta, a koniec zbyt odległy...

Ruchy człowieka noszącego stary zegarek z pozytywką przypominały ślizg węża. Chude ręce i wyjątkowo długie palce tańczyły wokół klawiszy fortepianu, od czasu do czasu nieruchomiejąc w nienaturalnych pozach. Mężczyzna wyglądał na pięćdziesięciolatka, ale był z pewnością dużo starszy. Nosił garnitur, białą koszulę z modnym kołnierzykiem oraz krawat w bardzo amerykańskie, skośne paski. Buty i skarpetki były czarne. W kłapie marynarki tkwił nie rzucający się w oczy mały znaczek francuskich spadochroniarzy, a na małym palcu lewej ręki sygnet z herbem. Atmosfera salonu, w którym się znajdowali, miała w sobie posmak egzotyki i zapomnienia kolonialnego miasteczka. Nawet światło dnia wpadające zza okien z trudem przedzierało się przez ciężkie zasłony. Tutaj czas stanął.

- Jestem Blaise Jordan - odezwał się nagle mężczyzna przy fortepianie. - Zajmuję się czymś, co można nazwać logistyką władzy... - Pociągła twarz zmarszczyła się, co miało oznaczać uśmiech. Z gardła wydobył się gruby, dudniący dźwięk. - Okazało się, że nasze spotkanie jest konieczne. Jesteś zdziwiony, Hubercie?

Dystynkcja i maniery Blaise'a Jordana wydawały się nienaganne. Jedyne sposob, w jaki wypowiadał słowa, rodził podejrzenie, że nie wszystko w przypadku tego człowieka jest tak łagodne i eleganckie. Ostatnie wyrazy akcentował nienaturalnie silnie, co sprawiało wrażenie ostatniego klepnięcia łopaty w świeżo usypany grób. Młody von Klaust patrzył na niego, nie odrywając od ust szklanki z sokiem bananowym. Czekał, aż

mgła odpłynie...

- Nie chcesz rozmawiać? - Jordan uderzył lekko w klawisze.

- Słyszysz? Tak pięknie brzmi tylko to, czego nie można policzyć... Muzyka. Czasami jest tak, że otwieramy nią drzwi do prawdziwego świata... Zapominamy o brudnych i śmierdzących odchodach, o wstrętnych ciałach i tym całym pomieszaniu...

- Pomieszaniu? - wtrącił ze zdziwieniem chłopiec. - O jakim pomieszaniu pan mówi?

- Cóż, myślę o spotkaniach z ludźmi, których nie lubimy

- wyjaśnił z wyraźnym zadowoleniem starszy pan. - Osobiście nie chcę widywać mojego listonosza ani mojej kucharki... Chcę, żeby dostarczali mi tylko listy i jedzenie. Dlaczego muszę oglądać twarze moich sąsiadów? W dodatku wtedy, kiedy nie mam ochoty... Muzyka pozwala zniknąć, Hubercie... Czy wiesz, dlaczego tu jesteśmy?

- Potrzebujesz mojej pomocy...

- Nie, nie - przerwał chłopcu mężczyzna. - Potrzebuję twojego talentu, twojego daru, twojego bezcennego jasnowidzenia... - Jordan wstał i usiadł na fotelu blisko chłopca. - Masz towar, który ma wartość. I nie obchodzi mnie, czy ci się to podoba, czy nie. Dla mnie jesteś towarem, który zamierzam wykorzystać w moich planach... Rozumiesz już? *W kulturze arabskiej doszedłby do tego jeszcze bakszysz. Z wdzięczności, że ofiara nie może się bronić.*

Młody von Klaust nie potrafił przebić się przez gąszcz informacji. W ten sposób płacił za odejście od reguły. Widział tylko fragmenty gry, do której został włączony. Czuł klimat szaleństwa i zarazem wyzwania. Ktoś rzucał losowi rękawicę. Jakaś potężna siła po prostu posługiwała się nimi, starannie dobierając kroki. Chłopiec wiedział, że nie ma wyboru. Jeżeli istniało ocalenie, to musiał je dostrzec w przyszłości, gdzieś pośrodku dziejących się zdarzeń.

- Czy oni tutaj są? - Tym razem głos młodego jasnowidza był pewny i wyczekujący. Przeznaczenie pozwoliło mu widzieć.

- Wiedziałem, że jesteś wyjątkowy. - Ręka z sygnetem zafalowała w powietrzu i znalazła się w pudełku z małymi ciasteczkami. - A jak myślisz?

- Czuję, że nie powinieneś tego robić - odparł chłopiec, starając się nie słyszeć odgłosu gryzionego ciastka. - Jesteś za słaby... Twoja determinacja nie wystarczy...

- Jednak wystarczy moja śmierć! - przerwał mu ostro mężczyzna. - Jak myślisz, dlaczego mam odwagę? Tak po prostu sam z siebie? Nie, Hubercie, ja jestem układanką, jestem podobnie jak ty i kilku, a może kilkunastu innych, fragmentem konstrukcji, która jest całością. Moja determinacja, jak powiedziałaś, nie ma sobie równych. To także dar, to także część układanki... Jestem tym, który złoży wszystko do kupy i zobaczy więcej niż pozostali... To przypomina naukę, kolejne wielkie odkrycie, Hubercie. My zaledwie składamy brakujące elementy...

- To niemożliwe. - Młody jasnowidz pokiwał bez przekonania głową. - Jak je połączyć?

- Wiedziałem, wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. - Kolejne ciasteczko zostało zgryzione w zębach starszego pana. - Jeżeli znajdziemy wszystkich, wtedy będzie łatwiej... Teraz musimy ich odnaleźć. Niektórych tracimy... Niestety. Twoja matka także należała do nas...

Wzrok młodego jasnowidza przyłgął do ust Blaise'a Jordana. Wydało mu się, że po raz pierwszy zrozumiał swoją matkę. Gdzieś w mikroświecie gorącego oddechu starszego mężczyzny kryła się odpowiedź. Chłopiec poczuł pulsowanie krwi i ujrzał cień pożądania. Dotknął. Zrozumiał wyjątkowość własnej matki. Jordan podniósł się i ruszył do drzwi. Uchylił je ostrożnie i przywołał palcem chłopca. Kiedy młody von Klaust zajrzał przez szczelinę, zobaczył plecy Benedykta pochylonego nad komputerem. W półmroku olbrzymiej sali pracowało kilkanaście stacji dysków. Na jednej ze ścian umocowane zostało tysiące połączeń.

- Zgodził się? - zapytał obojętnie chłopiec.

- Tacy jak on potrzebują celów - szepnął mężczyzna i przytknął drzwi. - Nie interesuje mnie przeciętność ani naiwne zbrodnie, Hubercie. Nie interesuje mnie nawet władza nad światem... - Starszy pan rozejrzał się, jakby szukał słów. - Wołało się miliony tajemnic, miliony szczegółów, które decydują o

tym, że wieją huragany, że wirusy zabijają, że tlen służy do oddychania... Interesuje mnie samo życie. Dlaczego nasze serca biją i dlaczego bić przestają? Co sprawia, że choroba zabija? Gdzie kryje się mózg decydujący o krążeniu krwi i dziedziczeniu zaledwie strzępów niezwyklej wiedzy? Czy to nie jest ciekawe?

Młody von Klaust *otworzył szeroko oczy i stanął przy oknie*. Obserwował ulicę. Pytanie Jordana zabrzmiało w jego uszach jak żart. Było tak naiwnie proste. Chłopiec czuł, że pasja starszego człowieka stopniowo zaczyna zwyciężać. Zastanawiał się, w jaki sposób można ocalić życie. Tylko on wiedział na tyle dużo, żeby w ciekawości Jordana dostrzec zapowiedź śmierci. Jasnowidz urodził się ze znajomością reguły i przeczuwał większość konsekwencji. Jordan mówił o wydzieraniu tajemnicy, on widział katastrofę. Oczy starszego pana świdrowały profil chłopca.

- I tak już złamałem regułę... - powiedział na wpół do siebie młody jasnowidz. - Dobrze. Spróbujemy... Powiedzmy, że ja także jestem ciekawy...

- Zdążę? - Pytanie Blaise'a Jordana przypominało pętlę na szyi.

- Pan? - Chłopiec wolno odwrócił głowę. Patrzył w oczy starszego mężczyzny i zapadał się w czerń. - Tej śmierci nie widzę...

Blaise Jordan zmrużył oczy i podejrzliwie popatrzył na chłopca. Palce jego prawej ręki zaczęły bawić się sygnetem, a gwałtowne ruchy warg sprawiły, że sztuczna szczęka zaczęła wydawać niesmaczne mlaśnięcia. Mężczyzna był zdenerwowany i nawet nie starał się nad tym zapanować.

- Kłamiesz, Hubercie, prawda? - zapytał z nieszczerym uśmiechem. - Jesteś jasnowidzem i nie powinieneś tego przede mną ukrywać. To nierozsądne... Nie obawiaj się, powiedz mi otwarcie, co mnie czeka... A więc?

Młody von Klaust wyczuwał determinację i zagrożenie. Wiedział, że jeżeli skłamie, to po raz drugi złamie regułę i jeszcze bardziej pozbawi się zdolności przewidywania. Chciał coś powiedzieć, ale drzwi do salonu otworzyły się nagle i wszedł Benedykt. Chłopiec po raz pierwszy w życiu przestraszył się.

Człowiek, który zbliżał się do niego, był przeklęty i nie powinien żyć. Wizja młodego jasnowidza pojawiła się i zniknęła. Geniusz w rękach idioty. Natura sprawiała sobie figła, który mógł ją dużo kosztować. Dar znalazł się w głowie całkowicie do tego nieprzystosowanej... Trawa, trawa, trawa... Chłopiec z irytacją przyglądał się Benedyktowi, stojącemu obok wazonu z kwiatami i liczącemu rozkwitłe płatki. Zastanawiał się, jakie niebezpieczeństwo kryło się poza granicami tego umysłu. Znów przestał widzieć. Dopadła go samotność i poczucie bezradności.

- Osiemdziesiąt cztery płatki... - wyszeptał z uwielbieniem Benedykt. - Panie Jordan, to fascynujące... Tyle cudownych wrażeń schowanych w płatkach róży. Zapach, kształt, grubość i ta niezwykła powierzchnia... Boże, jak ja kocham chwile, w których to wszystko zamyka się w cyfrach. Każda tajemnica daje się sprowadzić do cyfr... Jeżeli tylko pan zechce... - Głos komputerowego geniusza załamał się. - Jestem gotowy... Możemy zaczynać...

Twarz starszego pana natychmiast uspokoiła się. Pokazał młodemu von Klaustowi drzwi do sali z komputerami. W milczeniu przekroczyli próg i stanęli przed trzema fotelami, na których leżały masywne kaski. Ich wygląd nie nastrajał optymistycznie. Chłopiec pokiwał głową z rezygnacją. W jego wnętrzu powoli otwierało się piekło...

- Mogę być pierwszy - zdecydował się.

- Ty wiesz. Wszystko rozumiesz... - zaśmiał się grobowo Jordan. - Hubercie, jesteś genialny! - Starszy pan sięgnął do kieszeni i wyjął brzytwę. - Głowa musi być starannie wygolona... Tak przynajmniej twierdzi Benedykt.

Kiedy młody von Klaust usiadł w fotelu i nałożył na głowę kask, Blaise Jordan usadowił się wygodnie obok i poklepał go po wygolonej czaszce. Teraz jeszcze bardziej przypominał trupa. Z emocji zaciał się podczas golenia w kilku miejscach i na jego skórze zarysowały się cienkie, szybko schnące strumyki krwi. Benedykt dał znak. Uruchamiał komputer. Po chwili sam zajął miejsce w trzecim fotelu. Ogarnęła ich cisza. Żadnych szumów, żadnych melodyjek, żadnych pyknięć. Okrutna cisza, która dla

młodego jasnowidza oznaczała niewiadomą. Jeżeli nieobecność mogła coś znaczyć, to tak właśnie chłopiec poczuł się w ciągu zaledwie jednej sekundy. Działo się zbyt wiele i zbyt szybko, aby można to było uporządkować. Zaczął widzieć ludzi, twarze i sytuacje, których nigdy nie przeżył. Potem nadeszło najgorsze... Zaczął wszystko czuć. Obce ciała wtargnęły do jego mózgu i błyskawicznie zajmowały tam swoje miejsca. Nic nie mógł na to poradzić. Strach, przerażenie, radość, miłość i rozkosz stawały się autentycznym doświadczeniem. Chłopiec nie miał nawet czasu na zdziwienie. Liczył trawę i kochał się z jakimiś wulgarnymi kobietami...

Zemdlał. Kiedy odzyskał przytomność, zobaczył obok siebie Benedykta. Wpatrywał się w Jordana. Chłopiec nie musiał patrzeć. Śmierć była obecna i namacalna. Starszy pan umarł z otwartymi ustami i ze zdziwieniem w oczach.

- Jesteśmy podobni, prawda? - zapytał siedzącego na podłodze Benedykta. - W jaki sposób?

- Zrobiłem to, o czym ludzie zawsze marzyli... - Spojrzenie Benedykta przypominało szklanekę czystej rosyjskiej wódki. Nie zapowiadało absolutnie nic. - Kopiowanie... Mózg w roli twardego dysku...

- Pierdolisz! - wykrzyknął nagle młody von Klaust. *Co za fantastyczne uniesienie! Co za fundamentalne słownictwo!* - Zrobiłeś jakieś wielkie gówno... Co ty, kurwa, skopiowałeś? Te dziwki, które wydymałem w tanich burdelach albo w dyskotekach? Moje zasrane dzieciństwo i brak forsy? Powiem ci, palancie, co skopiowałeś... Słyszysz? Powiem ci... Skopiowałeś co najwyżej obrazki, załapujesz? Jakies niedoruchane teksty... Wpierdoliłeś w obcy łeb wszystko, co się dało... Kurwa, kim ja teraz jestem? Co ja mam zrobić? Nigdy wcześniej tak nie nawijałem... Słyszysz? Ja połowy z tego gówna nie rozumiem. Mam dopiero pięć lat...

- Spokojnie - Benedykt zachowywał zimną krew. - Zaraz ci wytłumaczę... To normalne, słyszysz? Wszystko, co się dzieje, jest całkowicie normalne... Zresztą nie można skopiować niczego innego niż te... No, jak sam powiedziałeś, obrazki i teksty... Pamięć i doświadczenie... Tylko tyle...

Myślisz nadal ty, rozumiesz? Po prostu masz do dyspozycji większą bazę...

Chłopiec poczuł, że wraca do siebie. Bał się, ale zaczynał rozumieć. W jego mózgu znajdowały się miliardy zdarzeń, których jeszcze sobie nie uświadamiał. Komputer pomógł mu zapisać w mózgu całe życie Blaise'a Jordana i Benedykta. Przekopiował nawet to, o czym tamci dwaj już dawno zapomnieli. Młody jasnowidz próbował odnaleźć w tym jakiś cel. Słowa żywego Jordana były zbyt enigmatyczne. Starszy pan naiwnie uwierzył w możliwość znalezienia i wykorzystania wszystkich geniuszy świata. W swojej próżności także siebie uznał za kogoś wyjątkowego. Dlatego nie wytrzymał. Dopiero teraz chłopiec zdał sobie sprawę, że w tym miejscu nie miał racji. W rzeczywistości Jordan siadał na fotelu z dziecinnym przerażeniem. Wiedział, że zginie...

- Po co to wszystko? - zapytał Benedykta, pochylonego nad klawiaturą komputera. Złapał się na tym, że jego oczy odruchowo liczą włosy na głowie komputerowca. Znajdował w tym swoistą przyjemność i relaks. Niestety, stwierdził z żalem, myliły mu się cyfry i nie potrafił ogarnąć całego procesu. Dar nie został skopiowany. Doświadczenie i zdolności Benedykta pozostały rozdzielone. *Cóż, nie można mieć wszystkiego... A swoją drogą, dlaczego nie? Czy ta zaszrana reglamentacja nigdy się nie skończy? Może w końcu znajdzie się ktoś, kto spuści jej porządny łomot, zakopie w przydrożnym rowie i przyklepie łopatą?*

- On nienawidził zła - odezwał się chłopiec, patrząc w zamysleniu na wypięlegnowane dłonie nie żyjącego Jordana.

- I domyślam się... - Von Klaust przerwał, jakby zbierał myśli.

- Nie, ja po prostu wiem... On chciał wyselekcjonować gatunek... Boże, wybrał mnie, ponieważ jestem jasnowidzem... *No, nareszcie gość z jajami! Czy ty to rozumiesz?*

- Po co? - zapytał Benedykt, nie odrywając wzroku od monitora. - Uporządkowałem jego pamięć i wiem, że moja rola jest bardzo konkretna. Obaj wiemy to, co on. Obaj posiadamy dar. Ja opracowuję program, a ty przeprowadzasz selekcję... *Święte słowa, święte słowa, panie i panowie.*

- On chciał, żebyśmy zaczęli zabijać - westchnął chłopiec i sięgnął po fajkę. W pierwszej chwili zdziwił się. Kilka sekund później odłożył ją, powąchawszy najpierw z wyrozumiałym uśmiechem cybuch. - Selekcja. Komputerowo usprawiedliwiona...

- Wiesz, że nie masz racji? - przerwał z cierpkim uśmiechem Benedykt.

Chłopiec wiedział. Obaj znali te same fakty. To on, dziecko obdarzone zdolnościami jasnowidzenia, miał wskazywać ewentualne cele. *Łaski nie robi. Inni muszą zapierdalać od godziny do godziny i nie mają z tego nawet na trumnę.*

*

Jako Arab wypowiadam się nie do końca, zawsze jednak poruszając chrapami. Nie zdradzam nikomu, że powonienie mam naprawdę końskie. Zęby i maść tak samo. Ciągnie się za mną niezdrowa ilość złota, co bywało powodem wielu wojen. Kiedy wieje wiatr i piasek zaczyna osuwać mi się po brzuchu, rozglądam się za filuterną dziurką z rozkosznymi włoskami. Z tego powodu wzięłem sobie na głowę mało znane haremy. Czasami, gdy jest mi ciężko, udaję się tam w celu przyzwoitej prokreacji. Modłę się i to widać. Moim największym problemem jest nafta. Gania mnie po całym świecie i nieprzyzwoicie pompuje. Galony tu, galony tam, galony w domu, galony w pracy, galony w oczach...

Jeżeli bywam wykształcony, to przeważnie drogo i po angielsku. Nie ukrywam, że kręci mi się od tego w głowie, ale wiem o tym tylko ja. Moi koledzy Anglicy przyglądają mi się jak brudnym nogom szkockiego górnika, moi znajomi Amerykanie mówią do mnie jak do ochwaczonego konia, a tak w ogóle to większość świata dziękuje Bogu, że mieszkam w największej na ziemi piaskownicy i ciągle potrzebuję zabawek. *A garści piachu... nie łaska?*

Lubię patrzeć na kolorowe neony i w ten sposób dobierać sobie ubrania. Co do samochodów, to zawsze podobały mi się te najdroższe. Może dlatego, że rano, w południe i wieczorem pragnę zemsty. Łatwo zapalam sobie papierosy, starając się

szczyżyć moje białe zęby w najróżniejszych hotelach, namiotach i spelunach. Tak naprawdę to jest nas dwóch: ja, ten najarany ogier z pustyni, i ja, ten ujeżdżony arab pod siodło. Czasami dochodzę do wniosku, że nic nas nie dzieli.

Z pewnością mają rację źli ludzie, którzy twierdzą, że jestem kameleonem wśród żywych. *Nieoficjalnie dodajmy, że trzeba go dokładnie sprawdzić...* Jakby co, to zawsze mogę zasłonić się moją urodą. Wtedy zauważają we mnie tysiące kilometrów kultury i wyciągają ręce, żeby dotknąć. Czuję jednak, że zakwefione usta smakują mi bardziej niż włosy rzucone na jedwabną poduszkę. Może jestem maską, którą zakłada przeznaczenie, żeby oszukać życie?

*

Ulice w Amsterdamie naśladują wyglądem zaparcia niejednego króla. W dzień są zaledwie dokuczliwe, co najwyżej drażniące okolice zwieraczy, natomiast w nocy zamieniają się w istne piekło. Płoną niesmacznymi potrzebami i dychawiczną kopulacją. Dla odmiany w Paryżu jazda ulicami przypomina wywijanie ścierwem szczura ponad głową, w Londynie ścinanie włosów kosiarką do trawy, w Nowym Jorku gryzienie kolorowego szkła, a w Moskwie przyklejanie jęzora do zamarzniętego słupa. *Czy chcielibyście, aby wasza ulica przypominała jakiegokolwiek zaparcie?*

Młody von Klaust nie liczył krawężników, nie zwracał uwagi na policjantów, nie rozglądał się po czerwonych latarniach. Ubrany w ciemny sportowy garniturek, czarne, lśniące nowością buty i jaskrawą żółtą chustkę zawiązaną pod szyją, zanurzał się we własną dzikość. Noc przynosiła zdziwienia. Znikało gdzieś dziecko i brak doświadczeń, a pojawiały się żądze, o których kilkuletni jasnowidz nigdy nie słyszał. Stary Jordan nie oszczędzał ani siebie, ani chłopięcego ciała von Klausta. Twarz tego ostatniego przybierała różowy i ekstatyczny wyraz. Nozdrza rozszerzały się nerwowo, a pośladki nabierały twardości silikonowych piersi początkujących prostytutek. *Spróbujcie taką zapytać o narodowość, a potem poproście o rachunek... O świecie*

utopiony w miliardach portfeli! Dlaczego tolerujesz wszy?

Chłopiec nie wiedział, skąd znał drogę, cenę i adres. W neonowych światłach zatrzymał się obok starego mercedesa z zasuniętym dachem. Poznał ją. Patrzył oczami Jordana i wszystko o niej wiedział. Miała nie więcej niż dwadzieścia lat, a barwa jej skóry wskazywała, że w połowie była Mulatką. Tak samo tandetna jak pozostałe dziewczyny ulicy przyciągała jednak uwagę zmysłowymi ustami, nienaturalnie wilgotnymi oczami i dużym biustem falującym pod obcisłą bluzką.

Młody jasnowidz czuł, że jego oczy napelniają się krwią, a dłonie wykonują węzowe ruchy w jej kierunku.

Oparta o mercedesa patrzyła gdzieś w dal. Wydawało się, że nie martwi się o dzisiejszy zarobek, że obchodzi ją tylko jarmarczny klimat tego miejsca i pełne tajemnicy oczekiwanie. Kiedy ręka chłopca dotknęła jej uda i zaczęła sunąć ku pachwinie, spojrzała w dół, a w jej oczach mignęło zdziwienie.

- Masz wolny wieczór? - Głos Blaise'a Jordana zabrzmiał w ustach młodego jasnowidza naturalnie i wyzywająco.

- To zależy, co chcesz mi zaproponować, kochanie? - odpowiedziała z uśmiechem prostytutka. Tym razem nie okazała już zaskoczenia i płynnie przystąpiła do negocjacji.

- Pamiętasz mnie? - zapytał von Klaust, otwierając drzwi do mercedesa. - Mówiłaś, że stoi mi jak narta... Pamiętasz?

Dziewczyna wsiadła do samochodu i zamknęła za sobą drzwi. Zapaliła trawkę i puściła dym prosto na kierownicę. Radio było włączone. Spiker zapowiedział melodię dla zakochanych. Zaśmiała się i pogłaskała chłopca po twarzy.

- Nie pamiętam cię - szepnęła, głaszcząc namiętnie język końcówką papierosa. - Jesteś cholernie mały... Poza tym... Chyba nie będzie ci przykro, jeżeli powiem, że z dziećmiakami tego nie robię, prawda?

- Oj, malutka, nie przeginaj pały, bo cię zerżnę przez gacie!

- Młody von Klaust zaczął ściągać z siebie ubranie. Jordan panował nad wszystkim.

- Chcesz possać? - Dziewczyna położyła się na drzwiach i wprawnym ruchem wysunęła jedną pierś. - Niech będzie... Mamusia nie jest taka zła... Sto dolców, mały. Tylko sto

dolców...

Nie wiadomo skąd pojawił się Benedykt. Przypomnił się w głowie chłopca. Jordan jakby przygasł. Von Klaust spojrział z lękiem na swoje nagie, dziecięce ciało i błyskawicznie sięgnął po ubranie. prostytutka po raz drugi zdziwiła się.

- Tracę przez ciebie czas... - syknęła ostrzegawczo. Jednak młody jasnowidz nie zwracał na nią uwagi. Wpatrywał się w jej duże rzęsy i nerwowo próbował odnaleźć włącznik światła. Kiedy mdłe promienie wypełniły wnętrze mercedesa, chłopiec wspiął się na kolana dziewczyny i z dokładnością jubilera zaczął liczyć poszczególne włoski jej rzęs. prostytutka wyszczerzyła zęby w uśmiechu i obojętnie zgasła w popielniczce papierosa.

- Jesteś szurnięty - stwierdziła z błogim spokojem.

- Masz jakieś imię?

- Benedykt... - wyrwało się z ust chłopca.

- Zajebiste imię, mały - podsumowała, czując od środka kolejnego kopa. - Nie ma to jak dobra trawa... Wszystko inne to gówno... Słyszysz? Nawet nie próbuj... Benedykt... Nawet...

- Gęste - stwierdził nagle chłopiec. - Sto trzy... Niektóre są sklezione...

Za oknem mercedesa pojawił się cień wysokiego mężczyzny w brązowym płaszczu. Zajrzał do środka. Jasnowidz podniósł wzrok i napotkał spojrzenie szarych, smutnych oczu. Mężczyzna nie miał twarzy. To było pewne. Młody von Klaust wyczuł, że przychodził z bardzo daleka. Nikt na ulicy nie zwracał na niego uwagi. prostytutka również nie mogła go zauważyć. Jordan i Benedykt odeszli, został tylko samotny dar jasnowidzenia.

- „Mam ci zakomunikować, że nadchodzi kara.” - Mężczyzna mówił spojrzeniem. Nierealny, a zarazem bezwzględny. Chłopiec bez słowa odsunął się od prostytutki i pośpiesznie wysiadł z samochodu. Nie zareagowała. Była nikim. Co najwyżej mięsem, które łączyło się czasami z innym mięsem.

- „Aż tak źle?” - zapytał, patrząc w górę prosto w oczy przybysza.

„Złamanie reguły przez szczęściarza to wyjątkowy błąd... Rozumiesz?” - Myśli mężczyzny stały się jakby cieplejsze.

- „Kara? Jaka może być kara dla kogoś, kto nie ma rodziców i musi sam odnajdować się w świecie?” - Pytanie chłopca nie zrobiło na mężczyźnie wrażenia. Zresztą obaj wiedzieli, że nie miało większego sensu. Spełniali tylko to, co do nich należało. Luksus rozmowy został im dany w drodze łaski. Tylko w ten sposób mogli nawiązać namiastkę więzi. Tak naprawdę nie musieli rozmawiać. Wystarczyło przybyć, spojrzeć i zniknąć. Każdy jasnowidz to rozumiał. Von Klaust obrzucił wzrokiem brązowy płaszcz i skrzywił się z niesmakiem.

- „Brzydki kolor... Przychodzisz stamtąd... Dlaczego jest tak bezlitosny?” - wycedził przez mleczone zęby. - „Przecież każdy z nas popełnia pomyłki...”

Mężczyzna dotknął głowy chłopca ojcowskim gestem. W tym momencie pojawiła się odpowiedź. Nie był to jednak czas na sentymenty. Mężczyzna natychmiast zniknął. Jasnowidz wiedział, że tym razem to przybysz złamał regułę. Zrozumiał także dlaczego. W twarzy bez wyrazu, w oczach bez głębi i w płaszczu bez ciała wyraziła się postać jasnowidza Bykowskiego, prawdziwego ojca młodego von Klausta. Tęsknota za prawdziwym dzieciństwem, za podporządkowaniem rzeczom i niespodziankom uderzyła w chłopca z podwójną siłą. Zabolało go. Tym bardziej że takie uczucia były bez znaczenia. Porządek przemijania nie zwracał uwagi na miłość, żal, smutek, radość czy mądrość. Po prostu owijał się na szyjach dziewcząt i chłopców, starców i staruszek tylko po to, aby wypełnić pustkę. Każdy, kto musiał zgadywać,znaczony był piętnem śmierci. Tylko jasnowidze i szczęściarze zostali z tego wyłączeni. Ich ból i pytania zawsze znajdowały pocieszenie. Teraz też tak było. Chłopiec odchodził w stronę postojów taksówek i nawet nie usiłował pytać. Kara została już zapisana. Zimna i bezlitosna jak śmierć. Amsterdam Blaise’a Jordana zostawał za plecami. Neony migotały, kobiety skowyczały z rozkoszy, a mężczyźni odliczali pieniądze. Lesbijki, transwestyci i homoseksualiści wykradali w tym wszystkim okrucy normalności, obrzucając małego chłopca zdziwionymi spojrzeniami. Żadne zboczenie nie było wolne od wzruszeń. Jasnowidz niósł za sobą smugę, która skutecznie odcinała go od zniszczenia. Żył w oddaleniu,

uzasadniając w ten sposób sens istnienia zbrodni, wojen, chorób i nienawiści.

Trzy godziny później młody von Klaust znalazł się w Warszawie. Samolot wylądował punktualnie. Czarnowłosa celniczka na lotnisku zdziwiła się, że mały chłopiec podróżuje bez opieki. Próbowała wyrazić swój niepokój, deklarując pomoc w odwiezieniu do domu. Wystarczyło jednak, że jasnowidz otworzył usta i wszystko wróciło do stanu obojętnej uprzejmości. Kiedy mówił, nikt nie miał wątpliwości, że ma do czynienia z kimś dorosłym. Niemożliwe nabierało kolorów...

Benedykt powitał go w rozciągniętych spodenkach gimnastycznych i z kilkudniowym zarostem. W oczach komputerowca czaił się obłęd. Najwyraźniej był zdenerwowany. Po raz pierwszy w życiu genialny matematyk zachowywał się normalnie. Von Klaust wyczuł w powietrzu coś fałszywego. Sytuacja ocierała się o kiepską komedię obyczajową. Chłopiec rozejrzał się po pokoju. Przybyło w nim telewizorów. Na ekranie jednego z nich siedział pomarszczony Chińczyk i rozmawiał z synem. Oczy jasnowidza znieruchomiały. Wydawało się, że obaj Chińczycy patrzą się co chwila właśnie na niego. Ich rozmowa nie do końca była parlamentarna. Ubrani w szare koszule i spodnie zachowywali się nadzwyczaj swobodnie. Syn co chwila drapał się w mo- sznę, a ojciec przerywał swój wykład głośnymi beknąciami. *Tylko ani słowa o kulturze, dobrze?*

- Świat zbliża się do kolejnego wielkiego zakrętu - mówił ojciec.

- Fakt, że staram się kierować tak potężnym krajem i ty jesteś moim synem, nic nie znaczy. Ważne są okoliczności... Te obiektywne...

- To wszystko jest bardzo nudne - odezwał się cynicznie chłopak. - Od kiedy pozwoliłeś mi studiować w Los Angeles i Paryżu, widzę świat trochę inaczej... Jeżeli mi pozwolisz...

- Pozwolenie nie ma tu nic do rzeczy - przerwał mu wyrozumiale ojciec. - Fakty, tylko fakty. Liczba ludzi w Chinach przekroczyła już miliard... Napęcznieliśmy jak balon... - Ojciec beknął długo i przeciągle, po czym pociągnął duży łyk herbaty.

- Brak jedzenia, brak pracy, brak możliwości spełniania

ambicji... Tak, tak, ambicji i przyjemności. Nawet tych najgłupszych, takich jak pijaństwo... A co się dzieje, kiedy robi się za ciasno?

- Trzeba to zatrzymać - pokiwał głową syn i sięgnął na stół po australijskie piwo. Nie przypominał ani Chińczyka, ani Amerykanina, ani tym bardziej Europejczyka. Jego gesty i zachowanie wyrzucało go poza wszystko, co miało charakter. Chłopak żył wyłącznie dla siebie i nie zawracał sobie głowy kłopotami. Te ostatnie zostawiał dla innych. *Słodki młodzieniec. Jutro przejmujemy go oficjalnie. Damy mu legitymację i pogonimy od stołu. Żadnych problemów.*

Młody jasnowidz skierował spojrzenie na Benedykta. Powoli zaczynał rozumieć. Tylko tyle. Jego dar nie działał, niczego mu nie podpowiadał. Chłopiec nie potrafił tego wytłumaczyć. W lekkim popłochu zapytał:

- Co to jest? Jakaś przemycona taśma? Film dokumentalny?

- Oglądasz autentyczne obrazki - skrzywił się Benedykt, co miało oznaczać wyrozumiałość. - Ten Chińczyk siedzi właśnie przed swoim telewizorem i ogląda jakiś program... Powiedzieć ci jaki? - Von Klaust odmownie pokręcił w milczeniu głową.

- W porządku. Opracowałem program, który pozwala nam obserwować ludzi poprzez ich włączone telewizory... *Jezu Chryste, tego jeszcze brakowało!*

- To niemożliwe - przerwał z niedowierzaniem chłopiec.

- Nie zapominaj, że znam twoje doświadczenia, że jestem... no, jestem także tobą...

- Czy jesteś tego pewny? - Tym razem to Benedykt zaproponował.

- Obaj znamy własne doświadczenia i wiemy o sobie prawie wszystko, ale dzieli nas, jak to ty mówisz, dar. Zgadza się? Po prostu ja nie potrafię przewidywać przyszłości, a ty nie potrafisz tworzyć programów, liczyć... Teraz pokazuję ci coś nowego. Nie obchodzi mnie, że wydaje się to niemożliwe. Mam to w dupie! - Benedykt pierwszy raz krzyknął w towarzystwie chłopca. Najwyraźniej się zdenerwował.

- Chcesz mi powiedzieć, że możemy podglądać każdego, kto włączy telewizor? - Głos młodego von Klausta zabrzmiał jak ziewnięcie psa. *Równie dobrze mógłby zabalgotać jak*

gotująca się zupa lub lejąca się do wanny woda...

- I podsłuchiwać - uzupełnił nerwowo Benedykt. - Zaprogramowałem komputer wycelowany we wszystkich najważniejszych polityków, bankierów i terrorystów świata. Wystarczy, że zaczynają rozmawiać przy włączonym telewizorze i poruszą temat związany z bezpieczeństwem ludzi... Przekaz włącza się automatycznie. To matematyka, nic więcej. Matematyka na usługach fizyki i praw natury... Cudowna zabawka... Zresztą posłuchaj sam...

Von Klaust usiadł na podłodze, wpatrując się w ekran. Nie chciał o nic pytać. Domyślał się, że stał się świadkiem groźnego odkrycia. Dopóki jednak znajdowało się ono w ich rękach, wszystko było w normie... Chiński polityk wstał i zaczął się gimnastykować. Jego syn patrzył na to z uśmiechem politowania.

- Chcę, abyś wiedział, że jeszcze przez jakiś czas postaram się podtrzymywać twoje złudzenia... - skrzekliwym głosem kontynuował Chińczyk. - Kocham cię, synu... Tylko to jest dla mnie ważne. Wydieram losowi rok po roku, wierząc w twoją szczęśliwą starość, w moje wnuki... Zapamiętaj, że Chiny nie mają już żadnego wentyla bezpieczeństwa. Za dużo ludzi, za mało miejsca. Żadna demokracja nie wchodzi tutaj w grę... Czy ty mnie rozumiesz? - Stary Chińczyk zapytał o to, ponieważ jego syn przeciągle ziewnął. - Gdyby stworzyć teraz naszym ludziom warunki do wolności, do wyrażania chociażby własnych myśli, do realizowania własnych planów i realizowania ambicji... - Kolejne głośnie beknięcie dotarło do uszu von Klausta, który skrzywił się z niesmakiem. - Wiesz, co by to oznaczało? Rewolucję, krwawą wojnę pomiędzy bandami, ugrupowaniami, stowarzyszeniami, czy jak ich tam nazwać... Wolność na to pozwala, prawda? Zawsze znajdą się ci zdolniejsi i żądni władzy, chętni do zmian i realizowania po trupach wyłącznie własnych planów. Celem może być władza w państwie. W konsekwencji upadek i zniszczenie wszystkiego, wojnę światową... *Może to jednak parszywe kłamstwo?*

- To, co mówisz, jest cholernie egoistyczne - odezwał się cicho syn. Ojciec nie zareagował na brzydkie słowo. Widać było, że

akceptował demokrację wyłącznie u swojego syna i poza Chinami. Tam były potrzebne.

- Cóż, dzięki mojemu egoizmowi świat nie pograżył się jeszcze w wojnie. - Teraz jego śmiech zabrzmiał szczerze i spontanicznie. - I oni o tym wiedzą... - Chińczyk popatrzył na globus, stojący w rogu pokoju. - Przyznasz, że program satelitalny jest dużo bardziej interesujący od naszego? Szczególnie niemiecki... Oni w ogóle nie znajdują się na miłości. Są tacy prymitywni...

- Niemniej lubisz ich oglądać. - Syn otworzył trzecie piwo i sięgnął po pilota. - Podobają ci się ich dziewczyny, prawda? Możesz mi wierzyć, że dobre są w tych sprawach... Zmienię kanał...

Benedykt wrócił z salonu z jabłkiem w dłoni. Zajadał je zachłannie, nie zwracając uwagi na ogryzek. Usiadł obok chłopca i zaczął obserwować monitory pozostałych telewizorów. W ciągu kilkunastu minut wszystkie zaczęły pokazywać prywatne rozmowy bardzo ważnych osób. Twarz komputerowca nie wyrażała już zdenerwowania, była obojętna i znudzona.

- Program aktualizuje mapę - zaczął mówić znudzonym głosem. - Cyfrowo... Telewizor emituje fale, a komputer je czyta i przetwarza... Trafia tam, gdzie zauważy obecność ludzi, których zdjęcia mu pokazałem. Widzi i odróżnia dzięki obliczeniom... *No, no, no... Nie jest przypadkiem na prochach?* Genialnie proste. Słyszy również dzięki liczbom... Ruchy warg przekłada na język matematyki, a potem oryginał tłumaczy symultanicznie na dowolny język... Po raz pierwszy w życiu nie chce mi się liczyć trawy... *Zamknijcie mordy! Słowo „depresja” mogłoby go zabić. Sukces! oto radość życia.*

Młody von Klaust spojrział na niego z zainteresowaniem. Wyznanie Benedykta uruchomiło w nim dziwne przecucia. Nie potrafił ich opanować i wyjaśnić. Wiedział tylko, że ogarnęła go niesamowita cisza. Zamilkły obrazy, myśli i smaki. Tak mogła wyglądać fotografia przerażenia. Młody jasnowidz zapragnął nagle poczuć siłę przeznaczenia. Jego młody umysł domagał się kolejnego zdziwienia. Ekran telewizorów przestały się liczyć, a odkrycie Benedykta zabrzmiało fałszywie

i niebezpiecznie. Kiedy wybiegał z mieszkania, nabrał pewności, że znajduje się dopiero na początku drogi, że Bóg dotyka palcem jego małej głowy... Słyszał za sobą wołanie Benedykta, który nie wiadomo dlaczego zerwał się z podłogi i stanął przy pulpicie komputera. Chłopiec miał wrażenie, że uczestniczy w procesie tworzenia i poznawania nowej rzeczywistości. Świat skurczył się do rozmiarów pestki, a tęsknoty ludzi popękały jak trafiona kamieniem szyba. Dotknęły go światła gwiazd sprzed setek tysięcy lat, marzenia milionów dusz o życiu beztróskim i ciekawym. Biegł ulicą i szukał brakującego ogniwa. Agresywna twarz pijanego mężczyzny nie znaczyła nic, tłusta i odrażająca sylwetka kucharki ze slumsów zginęła pod jego małymi bucikami, zardzewiały dach i odpadające tynki zatarło uparte spojrzenie w dal, zasuszone usta komiwojażera pożerał niewidzialny piasek. Rzeczywistość zniknęła, rozpadało się niedoskonałe i bolesne oczekiwanie. Gównu! Gównu! Gównu! Jasnowidz tracił nadzieję...

*

Kiedy marchewka upadła na chodnik i potoczyła się pod jej nogi, nic nie zapowiadało odmiany. Brat Patryk schylił się i mimo woli zatrzymał spojrzenie na długich opalonych nogach, sportowych butach i opiętych na biodrach szortach. Poczuł zapach jej skóry i zapamiętał idealną gładkość. Marchewka odnalazła się. Zakonnik wstał, nie odrywając oczu od dziewczyny. Sprzedawca warzyw uśmiechnął się znacząco i zaczął obsługiwać następnego klienta. Widać jednak było, że ani przez sekundę nie zapomniał o mnichu. W panującym na targu tłoku on jeden zauważył tę niecodzienną, pełną zakazanego smaku, sytuację.

- Czekałam na ciebie. - Usta dziewczyny były duże, co nadawało im lekko rozpustny wyraz. Ona sama nie przypominała jednak żadnej z okolicznych prostytutek ani tym bardziej uczennic. Zakonnik poprawił kaptur na ramionach i odruchowo wsunął marchewkę do torby. Przeżywał właśnie atak panicznego lęku, przed którym nie zamierzał uciekać. Dziewczyna uśmiechała się, a jej włosy tańczyły pociągająco w letnim wietrze. Mnich

dostrzegł również, że jej koszulka kończyła się wysoko nad pępkiem, a stanik po prostu został w sypialni. Zaboląła go własna starość. Posmutniał na wspomnienie zniszczonych sandałów, pocerowanych koszul i habitów, nie ogolonej brody i nie obciętych paznokci. Przygniotło go wspomnienie poźółkłej gumy w płóciennych majtkach i wzdęć, jakie przytrafiały mu się coraz częściej. Zobaczył tubkę swojej tak rzadko używanej taniej pasty do zębów oraz surową celę ze zniszczonymi, starymi szatami i poobijanym nocnikiem. Raz jeszcze znalazł się przy odrapanym parapacie swojej celi i dotknął rozpadającego się zamka w oknie. Uśmiechnął się na myśl o ciemnym wnętrzu, wytartych deskach podłogi i ciężkim krzyżu na ścianie. Otarł się o tysiące książek, jakie kupował i starannie gromadził przez wszystkie lata.

- Czekałam na ciebie i wiedziałam, że przyjdiesz - powtórzyła dziewczyna z łagodnym, pozbawionym jakiegokolwiek kokieterii, uśmiechem.

- Czy to możliwe? - Pytanie zakonnika było ciche. Nie miał złudzeń, przepowiednia musiała się wypełnić.

- Chodźmy. - Dziewczyna odpowiedziała mu zaledwie poruszeniem warg. Dotknęła jego ręki i pociągnęła w tłum.

Sprzedawca warzyw nie odezwał się. Poświęcał swoje marchewki, poświęcał zapłatę dla cierpkiego smaku grzechu, który jego zdaniem zatrzymał się na moment wśród straganów. Z uśmiechem satysfakcji obsługiwał kolejną klientkę, odprowadzając wzrokiem niknącą w oddali siwą głowę mnicha. Wówczas jeszcze nie wiedział, że chwila ta wetrze się w jego pamięć aż do śmierci, że powróci kiedyś w jego oczach jako ostatni obraz żywego świata...

Serce brata Patryka uderzało spokojnie. On sam siedział zadowolony obok dziewczyny w żółtym porsche z klimatyzacją i skórzanymi fotelami. Prowadziła pewnie i szybko. Objechała klasztor i zatrzymała się blisko bramy. Nie rozmawiali ze sobą. Rozumieli się w niewytłumaczalny sposób. Przeznaczenie spłatało im figła i postawiło na swojej drodze. Oboje wiedzieli, że dzieje się coś wyjątkowego. Dlatego nie próbowali niczego zmieniać ani oceniać. Dwie aury połączyły się równie

gwałtownie i silnie, jak gorące oddechy kochanków. Żadnej nieufności, żadnego wyrachowania, żadnego strachu. Czas zobaczony nagle jako nieograniczona przestrzeń, która nikogo nie zatrzymuje i nie namawia do drogi.

Zakonnik bez słowa wysiadł z samochodu i wszedł do klasztoru. Był szczęśliwy. Ktoś bardzo potężny podarował mu stracone uczucie. Banalne i proste, a zarazem nieogarnione i nieprzewidywalne. Kolejna tajemnica, z którą brat Patryk mógł się zmierzyć. Kiedy zatrzymał się obok celi przeora, zobaczył stojącego w kącie brata Leona.

- Odchodzisz, bracie - stwierdził gruby mnich. Był smutny.

- Odchodzę...

- Powiesz mi? - Pytanie brzmiało poważnie i trochę sztucznie.

Brat Patryk uśmiechnął się w odpowiedzi, dotknął ramienia przyjaciela, zapukał w drzwi i wszedł do celi przeora. Kiedy zatrzymał się przed solidnym biurkiem, na którym leżało tysiące papierów i czasopism, zobaczył przed sobą stare, wiklinowe krzesło. Miało kilkaset lat i należało do wielu przeorów, w wielu zgromadzeniach świata. Nigdy wcześniej tam nie stało. Rozejrzał się i dopiero po chwili dostrzegł w mroku przeora. Byli w tym samym wieku. Razem skończyli studia, razem wstąpili do zakonu i wspólnie rozprawiali o nurtujących ich problemach. Przeor był całkowicie łysy, wysoki prawie na dwa metry i niespotykane chudy.

- Po tylu latach? - zapytał cicho.

- Może to właśnie na to czekałem? - odpowiedział pytaniem brat Patryk.

- A może nie?

- Może nie...

W celi zapadła kłopotliwa cisza. Zakonnicy próbowali przeдрzeć się przez własną niezręczność. Nagle przeor wstał, zbliżył się do przyjaciela i podał mu rękę.

- Oczywiście nie wiesz, jak to się skończy... - Przeor odkrył coś, czego mnich jasnowidz jeszcze sobie w pełni nie uświadomił.

- Nie boisz się?

Dopiero teraz brat Patryk poczuł stratę. Jego dar zniknął. Niezauważalnie i zwyczajnie. Zakonnik nie widział już

przyszłości, nie odgadywał losów innych, nie miał żadnych przeczuć... Stracił dar jasnowidzenia. Nie wiedział nawet, czy ma to coś wspólnego z regułą. Po prostu stało się.

- Może tak miało być? - zapytał bez przekonania.

- Jeżeli to jest miłość, to dobrze... - uśmiechnął się wyrozumiale przeor. - Jeżeli nie... Wtedy zostaniesz sam na sam z Bogiem... Jesteś przygotowany. Zwyczajność może być jednak bardzo trudna... Cóż, będziesz bezpieczny, dopóki to nie minie. Idź już...

Brat Patryk wyszedł. Maszerował długim korytarzem i rozmyślał nad ostatnimi słowami przeora. Nie padło w nich ani jedno słowo o powrocie, o zrozumieniu i tolerancji. Klasztorna brama zatrząskiwiała się na zawsze. Robił coś, czego zgromadzenie nie rozumiało i nie mogło wybaczyć. Odchodził. Zostawiał za sobą swoją nietkniętą celę i wspomnienie wiklinowego krzesła. Przez myśl przeleciały mu także mroczne słowa małego jasnowidza, który telepatycznie przepowiedział mu odmianę. Wtedy nie chciał nawet o tym myśleć.

Dziewczyna udawała, że czyta gazetę. Jej twarz była szczęśliwa. Pokochała starego człowieka, o którym nic właściwie nie wiedziała. Miała pieniądze, urodę, przyjaciół i nieograniczone perspektywy. Wybrała to niemożliwe. Kiedy zakonnik usiadł obok niej, zrozumiała, że czas, który im pozostał, będzie inny niż wszystko, co dotychczas przeżyła. Nieważny był jej brak wiary, młodzieńcze wyobrażenia i pomyłki. Przestała odczuwać pustkę i uciekać przed własną frustracją. Pokochała starego mnicha i było jej z tym dobrze. Nie myślała o jego wieku, o chorobach i niedalekim rozstaniu. Nie obchodziła jej śmierć, która na skórze zakonnika od dawna ryła swoje smutne znaki. Życie wybuchło i to akurat okazało się najpiękniejsze...

*

Przeklinasz, jesteś przeklinany, jesteś przekleństwem... Ten rodzaj porozumiewania prześladowuje ludzi od najmłodszych lat. Złe słowa... Co pewien czas pękają jak kukurydza i nadają się do jedzenia. Starannie wyselekcjonowane tylko po to, żeby gnić. Pewien znawca języków stwierdził (oczywiście na łożu

śmierci), że takie samo upodobanie do zgnilizny kwitnie wśród Amerykanów, Rosjan, Brazylijczyków czy też Holendrów. *Stawiam także na afrykańskie plemiona Zulusów, Tutsi i Hutu, na Eskimosów z Grenlandii oraz dzielnych Aborygenów. Po dwa dolary od grupy. Razem dziesięć. To oczywiście nie upoważnia nikogo do mówienia im po imieniu. Tam gdzie pojawia się myśl, tam zaczynają tańczyć przekleństwa. Są te, które bawią i uczą oddychać, i te, które drażnią i domagają się bata. Czasami przynoszą śmierć. Zwyczajnie i nieodwołalnie informują o stanie posiadania. Mówią o mózgu zamienionym w siodło, na którym odparzają dupy wszyscy jeźdźcy. Stwierdzam, że ten rodzaj odparzeń jest nieuleczalny. Prohibicja i „political correctness” również nie mają tu nic do gadania.*

Znajdujemy coś fascynującego w prymitywnej ślepotcie, w spojrzeniu i geście leniwego nieuka lub cwaniaka. Miotanie się na oczach przeciętności, atakowanie zasad, które dają spokój, przypomina samobójczy gol. Przeklinać bez pohamowania, przeklinać zawsze i wszędzie, przeklinać byle jak i specjalnie, przeklinać, ponieważ ktoś chce na tym usiąść...

Nadchodzą od strony niezmierzonej pustki. Lecą jak upływające sekundy, zaczarowując i rozwścieczając każdy metr życia. Złe słowa ociekające krwią... Zwiastują śmierć i nicość, jeżeli pękają w niewłaściwych ustach. Ocalają tylko wyjątkowo, tylko wtedy, gdy nadchodzi łagodność, gdy przyfruwa zwyczajny śmiech. W bramach starych domów, na schodach eleganckich willi, w ogrodach miast i w kurzu dróg... Przekleństwa budują absolutne porozumienie. Ile bólu trzeba znieść, aby je odrzucić. I kto, kurwa, zrozumie tę żądzę mordy, kiedy trafia znienacka? Czy jakikolwiek sąd rozgrzeszy śmiertelny strzał, jaki chcemy zadać siodłu? Czy znajdzie się ktoś, kto wyjaśni, na czym polega ta bluźniercza siła siodła? Niewątpliwie potrzebujemy siodeł, niewątpliwie tak. Byle nie przy dzieciach, nie przy staruszkach, nie przy rodzicach i nie przy obcych. Poza tym można sobie dogadzać. Można być jeźdźcem i siodłem, powoli odparzać sobie rów. Cud i zaszrańca dialektyka przekleństwa... *A co na ten temat sądzą nasze*

kochane feministki? Co? Wspólnie z impotentami zaszywają sobie historię krocza? Oj, chyba się zaprzyjaźnimy...

*

Płuca zbuntowały się. Hubert von Klaust zatrzymał się właśnie na skrzyżowaniu ulic i zamierzał zrobić krok do przodu. Nic z tego nie wyszło. Zielone światło zgasło i zapaliło się czerwone. Chłopiec osunął się na chodnik i znieruchomiał. Bez ostrzeżenia i bez przeczuc. Nawet powietrze nie zdążyło zawirować. Przeznaczenie dotknęło jednego z wybrańców. Prozaiczna i brzydka normalność rozpostarta wśród gapiów, świateł i syreny karetki pogotowia.

Chłopiec odzyskał przytomność na stole operacyjnym. Lekarz poinformował go o zagrożeniu życia i życzył szczęścia. Potem wróciła pustka. Kara została wybrana starannie i bez litości. Jasnowidz nic nie czuł i niczego nie widział. Jego mózg został zamrożony, a dar przewidywania przyszłości zniknął. Zostało szczęście. Dlatego przeżył. Kiedy otworzył oczy, zobaczył salę, na której znajdowało się co najmniej dwudziestu pacjentów. Brzydota i cierpienie... Młody jasnowidz zrozumiał, że nadchodzi ból. Udawał, że nie potrafi rozmawiać i unikał kontaktu z lekarzami. Pytali go o nazwisko i rodziców, pisali na kartce imiona, kręcili głowami i fotografowali. Lekarstwa przestawały działać, a duszność w piersi pojawiała się coraz częściej. Usłużny starzec w wieku dziewięćdziesięciu kilku lat powiedział mu o wszystkim. Krótko i konkretnie. Rak był złośliwy i on, Hubert von Klaust, genialny jasnowidz i szczęściarz, powinien przygotować się na śmierć. Starzec przywołał nawet księdza. Chłopiec nie miał na to wpływu.

Jedno spojrzenie spod przymkniętych powiek wystarczyło, żeby stwierdzić, że ksiądz był dobry. Gruby, z chłopską twarzą i twardymi rękami. Chłopiec uśmiechnął się po raz pierwszy od operacji. Ksiądz usiadł na łóżku i pochylił się nad podłogą. Modlił się i płakał. Zwyczajnie i bez zwracania na siebie uwagi. Młody jasnowidz z wysiłkiem dotknął pochylonej głowy księdza.

- Ksiądz ma jeszcze dużo do zrobienia. - Głos chłopca

przypominał szlifowanie kamienia. - Szkoda czasu na mnie...

- Czas jest zawsze - powiedział ksiądz, wycierając ukradkiem łzy. Jego twarz znów zrobiła się pogodna i uśmiechnięta. - Tak samo jak nadzieja...

- Ksiądz nie wie, że potrafię czytać przyszłość... - szepnęła von Klaust, patrząc w sufit. - Wiem, że ksiądz jest sam i ani przez chwilę nie rezygnuje... Wiem o strachu... Chciałbym wierzyć w tak prostą regułę... I niech ksiądz nie jedzie do Afryki, lepiej nie kusić losu...

Teraz było mu już wszystko jedno. Łamał regułę i z premedytacją prowokował jeszcze okrutniejszą karę. Zastanawiał się, jak duża może być i jak wyrafinowana dla jasnowidza, który ośmielił się sprzeciwić. W tej chwili pragnął zemsty, pragnął siły, która pomogłaby mu zaatakować przeznaczenie. Chciał tego tym bardziej, że w oczach człowieka w sutannie dostrzegł śmierć.

- Afryka księdza zabije - dodał z zaciśniętymi szczękami.

- Zupełnie bezsensownie... Proszę tam nie jechać...

Ksiądz przyglądał mu się z zagadkowym, smutnym uśmiechem. Wiedział coś, o czym nie mówił nawet dar. Położył dłoń na czole chłopca i cicho westchnął.

- Czy myślisz, że przed przeznaczeniem można uciec? - zapytał, a jego niebieskie oczy nabrały dziwnie intensywnej barwy.

- Wierzę ci... Ty jednak nie potrafisz przewidzieć, co stanie się potem... Rozumiesz, o czym mówię? To dobrze... Potem... To najtrudniejsze do przewidzenia, to chyba nawet niemożliwe... Może właśnie potem spotkałbym jeszcze gorszy los. Ten, którego żaden jasnowidz nie odgadnie. Kto wie? Jesteś taki mały, a już tak dużo rozumiesz... Przeżywasz swoją chorobę, buntujesz się, ponieważ nie masz nadziei. Dlatego poddajesz się i ufasz wyłącznie przeznaczeniu. Tak nie trzeba... Czy w twojej głowie jest miejsce na niespodzianki? Czy jasnowidzenie zawsze się sprawdza? Powiedz sam...

Młody von Klaust miał wrażenie, że dotyka go tajemnica znacznie większa niż jego doświadczenie. Ręka księdza nadal spoczywała na jego czole. Zza okna dolatywał odgłos jadących samochodów. Pielęgniarki zapaliły światło i podawały chorym

lekarstwa. Zapach szpitala... Chłopiec oblizwał usta i wyciągnął rękę po kubek z kompotem.

- Jaką szansę ma ktoś, kto złamał regułę? I to nie raz...

- zapytał pomiędzy kolejnymi łykami. - Noszę w sobie jakieś przekleństwo, jakąś słabość, która mnie zabija... Czuję się przepełniony jak ten nocnik...

Ksiądz pokiwał głową i odruchowo spojrzął na jeden ze szpitalnych nocników. Kiedy jego oczy ponownie spotkały się z oczami chłopca, był poważny i skupiony.

- Nie jesteś stracony... - odezwał się ostrożnie. - Każdy ma szansę, dopóki żyje. Ja... Ja też potrafię... Cóż, też jestem jasnowidzem. *O, ten numer jest poniżej pasa.*

Dopiero teraz młody von Klaust zdał sobie sprawę, że spotkał kogoś znacznie potężniejszego od siebie. Dlatego nic nie odgadł. Ksiądz wiedział o nim więcej niż ktokolwiek. Chłopiec nie rozumiał tylko jednego: w jaki sposób jasnowidz mógł zostać księdzem? Reguła to wykluczała.

- Poza przeznaczeniem istnieje jeszcze inny świat - wtrącił cicho ksiądz. - O wiele bardziej złożony i ciekawszy... Jeżeli powiem choć słowo o Bogu, wtedy wszystko straci sens. Powiedzmy więc, że tego słowa nie powiedziałem... Czy teraz rozumiesz?

- To nie jest proste... - odparł młody jasnowidz. Przestał czuć ból, a jego umysł na chwilę stał się jasny i otwarty. Be- nedykt i Jordan zniknęli w najgłębszych zakamarkach, zatarli się jak wspomnienie z dzieciństwa. - Nie rozumiem, o czym ksiądz mówi...

- O ciekawości. - Na policzkach księdza pojawiły się rumieńce. - Jasnowidz nie powinien wyłącznie odsłaniać przyszłości. Może zrobić coś więcej, może szukać porządku... Logika kosmosu, jej ogrom i niewyobrazalna siła mogą być prawdziwym wyzwaniem... Drogi są różne, ja wybrałem nadzieję. W tym świecie to nic nie oznacza... Niestety, dla zbyt wielu.

Chłopiec dopiero teraz zauważył, że w sali od pewnego czasu było wyjątkowo cicho. Ludzie na łóżkach wpatrywali się w księdza i pilnie nasłuchiwali. Nawet pielęgniarka zatrzymała się obok drzwi i w milczeniu starała się towarzyszyć rozmowie. W

chorych oczach kryła się ciekawość i niemoc. Umierali ludzie bez daru, psuło się mięso, którego jedynym fenomenem było odczuwanie cierpienia. Najgłupsze z tych gasnących spojrzeń kryło jednak nadzieję. Młody von Klaust zastanawiał się, jaką mogła ona mieć wartość? Co takiego widział Bóg w głupocie i zawiści, na jaką skazywał większość?

- To jest tajemnica, którą usiłuję przeniknąć - kontynuował ksiądz. - Przyznasz, że to ciekawsze od prostego jasnowidzenia, prawda?

Ksiądz wstał i uściśnął lekko rękę dziecka. Byli pewni, że widzą się po raz ostatni. Odczuwali to wszystko, co odczuwają rozstający się przyjaciele lub kochankowie. Widzieli nastrojowe dachy i mury starych miast, grały im w uszach melodie romantycznych kafejek, dotykał powiew wiatru znad tropikalnego morza o zmroku, gonił wspólny taniec i cudem zachowane w okopach życie... Było w tym pożegnaniu echo dziecinnych zabaw, skradania się po czyjeś jabłka w ogrodzie, kopania piłki od świtu do nocy na łące pośród lasów, tasowania pierwszych kart, dotykania piersi miejscowych dziewcząt przy ognisku, radości powrotów ze szkoły i spacerów po tych samych ulicach... Tęsknota mówiła im, że życie jest piękne i wcale niebałne. Mimo choroby, mimo łamania reguł i rozstań.

Chłopiec podziękował w myślach przeznaczeniu. Światło zgasło. W ciemnościach szpitalnego korytarza słyszał jeszcze odgłos kroków księdza. Czekał na ból i śmierć. Kiedy zapadł w sen, a jego dziecinna twarz zatopiła się w poduszce, zobaczył twarz matki, która stała na schodach ponurego domu i palcem pokazywała tabliczkę z numerem. Pomimo rdzy i odpadającej farby chłopiec zdołał zapamiętać numer. Nadzieja przypominała początek filmu...

Kroki stawiał ostrożnie i cicho. Na korytarzu paliła się tylko jedna żarówka. Ominął pokój dyżurnej pielęgniarki i wślizgnął się do całkowicie ciemnego pomieszczenia. Kontury sali rozpoznawał wyłącznie dzięki światłu księżyca zza okna. Na kilku łóżkach spali chorzy, wydając z siebie głośnie i nieregularne chrapania. Czuć było moczem i wilgocią. Wszystkie okna zostały starannie zabite gwoździami, a klucz od

drzwi prowadzących na taras jak zwykle znajdował się w kieszeni fartucha pielęgniarki. Chłopiec wiedział, że trafił. Jego spojrzenie odnalazło siedzącego na wózku Wędrowca. Zapomnianego i pozostawionego w zapomnieniu. Nie znalazł się nikt, kto położyłby poskręcane ciało do łóżka. Kaleka drzemał przewieszony przez oparcie wózka i cicho pojękiwał. Dopiero bliskość jasnowidza sprawiła, że po raz pierwszy w życiu otworzył szeroko oczy i podniósł głowę. Dłoń chłopca natrafiła na rękę kaleki. To wystarczyło, żeby spojrzenie tamtego znów zgasło i rozpoczęła się wędrówka. Tym razem jednak byli obaj. Wędrowiec pokazał wzrokiem przed siebie. Znajdowali się daleko poza ciałem i szpitalną salą.

Dziewiąte zdziwienie. Wiatr od pustyni wzmagał się. Nie napotykał przeszkód i nieomylnie kierował się w stronę pięknego domu, stojącego wśród palm. Huragan przymierzył się, wycelował i z całą siłą uderzył w cztery ściany domu. Chłopiec stał niedaleko. Trzymał za rękę Wędrowca i czuł strach. Jeszcze przed chwilą widział przy stole siedmiu roześmianych mężczyzn i trzy kobiety. Znalazł się pomiędzy ścianami i obserwował śmierć. Nastrój gorącego, przyjaznego wieczoru prysł. Ściany roztrzaskały głowy i piersi młodych ludzi. Ktoś podarował im kilkadziesiąt sekund bólu tylko dlatego, że byli dziećmi Hioba. Młody jasnowidz odwrócił się i zobaczył Szatana. Patrzył na Boga, który zgodził się poddać dobrego człowieka próbie. Wędrowiec stał się zimny i wyczekujący. Dopiero wołanie młodego von Klausta odwróciło jego uwagę od nieszczęścia. Dlaczego Bóg poświęcił dziesięcioro młodych ludzi? Dlaczego zgodził się grać życiem kogokolwiek? Cóż to za sztuka pozwolić zabijać zło? Czy trzeba udowodniać, że zło jest złe, że istnieje?

Chłopiec przestał widzieć wiatr, przestał patrzeć na pokrwawione ciała zwyczajnych ludzi. Ciągnął Wędrowca w stronę Boga, ale odległość nie zmniejszała się. Nawet pytania, które rzucał wprost przed siebie zdawały się grzęznąć w powietrzu. Powrócił Blaise Jordan. Szarpał się i szukał słów wściekłości, szukał przeznaczenia... Co to za odwaga, co to za zakład, co to za zaszrana loteria? Chcesz udowodnić sobie to wszystko, co już

wiesz? Po co? Wrzody i wyszukana choroba Hioba zawirowały przed oczami chłopca... Jordan stłumił go i krzyczał dalej. Przecież wiadomo, że zło istnieje tak samo jak charaktery, uroda, poglądy i wytrzymałość ludzka! Dlaczego pozwalasz sobie na lekceważenie życia? Sam je stworzyłeś. Czy jesteś cyniczny? Wymyśliłeś wielką różnorodność, która reaguje podobnie... Jeżeli zatem wiesz o tej różnorodności, bo jest w Tobie, to po co ci dowody? Miliony tych, którzy chcieli żyć normalnie. Miliony tych, którzy nikogo nie zabili, nie pobili, nie unieszczęśliwili. Miliony rzucone w niewyobrażalne cierpienie wojen i przekleństw. Ma być oryginalniej? A może ty się zwyczajnie nudzisz? Może ciągle potrzebujesz „koku” i dlatego traktujesz każde życie jak cukier? Do herbaty i po sprawie... Czy tak? To nic nowego, że świat rodzi zbrodnię i nienawiść? Nawet pierdnięcie konia może kogoś rozdrażnić... Czy to oznacza, że nie chcesz pomagać, że nie satysfakcjonuje cię oglądanie świata dobra i zabawy? Ja już umarłem, dlatego proszę Cię, ocknij się i napraw to, co spieprzyłeś. Zrób coś naprawdę dobrze. Zrób tak, żebym zrozumiał i czuł się szczęśliwy... Daj mi spokój i nie obiecuj, nie zmuszaj do nadziei. Są Twoimi pracownikami, są całkowicie uzależnieni i słabi. Jaką przyjemność może dawać zgoda na zło? Czy Szatan naprawdę jest tak paskudnie silny? Czyście się, do pioruna, podzielili światem? Być może załatwiacie swoje interesy ludzkimi rękami i w tym punkcie jesteście całkowicie uzależnieni? Być może tysiącom ucziwych i skrzywdzonych chce się zwyczajnie rzygać od tej dobroci...

Wędrowiec uśmiechał się i wchodził do windy. Młody von Klaust pokazał mu drzwi. Kiedy weszli, Benedykt spojrział na fotele i hełmy. Jego oczy były przekrwione od ciągłego patrzenia w ekrany komputerów. Trzymał palec na jednym z przycisków i czekał aż obaj zajmą miejsca. Wyglądało na to, że doskonale wiedział o ich zamiarach. Był przygotowany.

- A ty? - odezwał się chłopiec. Pokazał na Wędrowca. - On jest kimś wyjątkowym...

Benedykt machnął tylko uspokajająco ręką. Nie chciał. Wolał zapanować nad sprzętem. Wymiana myśli pozbawiła młodego

jasnowidza złudzeń. Łatwość, z jaką zobaczył miliardy pytań, rozsadziła mu głowę. Dusił się i poddawał. Doświadczenie Wędrowca przetaczało się po nim jak walec. Komputer starannie wydzielał poszczególne fragmenty przekazu, nie dopuszczając do nadmiernego przeciążenia. Tak przynajmniej zakładał program. Wędrowiec siedział sztywno w fotelu i patrzył uparcie w jeden punkt. Zaczynał rozumieć świat. Odkrywał dźwięki, obrazy i słowa. Doświadczenie młodego jasnowidza, niepohamowane życie Jordana i geniusz matematyczny Benedykta otwierały zamknięte komórki. Wędrowiec zaczął odczuwać ból i wściekłość, zatęsknił za ciepłem kobiecego ciała i dziesiątkami cienkich ździebeł trawy. Potem nadeszła pustka i cisza. Przestali cokolwiek odczuwać...

- On umiera! - Pielęgniarka krzyknęła to nadbiegającemu lekarzowi prosto w twarz. - Ten dzieciak umiera.

- Na pewno - odpowiedział cicho lekarz. - Od początku nie miał szans. Jego płuca przestały właściwie istnieć... Rak. Kiedy go otworzyliśmy, mogłem się tylko przeżegnać...

- A reanimacja? - Pielęgniarka stanęła nad chłopcem i dotknęła jego ręki. Puls zniknął.

- Nie można reanimować umarłego, siostró - odparł lekarz. Pochylił się nad ciałem von Klausta i zaświecił latarką pod powieki. - Ten dzieciak był pusty w środku. Bez szans.

Mózg młodego jasnowidza wysyłał ostatnie impulsy. Umierał z poczuciem przegranej. Życie kilku ludzi wytarło w nim dziecięcą radość i spontaniczność. Dar został odebrany, a przeznaczenie cofnęło go do punktu zerowego. Miał wrażenie, że widzi skurczoną na fotelu postać Wędrowca, ale obraz zamazywał się i brzydził. Pytania zastygły, a dziecięcy umysł pogrążył się w naiwnej uległości. Chłopiec nie widział żadnych twarzy, żadnych bliskich ani przyjaciół. Samotnie zapadał w wieczny sen. Nadzieja na odrodzenie przepadła. Świat nie potrzebował jasnowidzącego wsparcia. Umysł zatrzymywał się powoli i bez bólu. W końcu energia wyczerpała się i ostatnia myśl zasnęła w pół słowa. Dla młodego Huberta von Klausta nie było już nic do przeżycia. Nawet po śmierci.

Starzec leżący pod ścianą przeżegnał się. Pozostali spali.

Jeszcze jedna noc i jeszcze jedna śmierć. Może nie ostatnia. Zacisnął dłoń na krzyżyku z paciorkami różańca i próbował zasnąć. Jego oczy zwilgotniały, a po policzkach popłynęły łzy. W ten sposób stary człowiek wyrażał swój żal i tęsknotę za tym, co przeminęło. Tykanie zegarka, skrzypienie okna, oddechy chorych i stąpanie po szpitalnym korytarzu snuły się dalej... Starzec pomyślał sobie, że chłopiec jednak miał szczęście. Umarł szybko i nie zdążył się poddać. On sam bezskutecznie prosił Boga o taką właśnie śmierć. Nie mógł wiedzieć, że młody jasnowidz był po prostu SZCZĘŚCIARZEM. Pozostali otrzymywali, w darze życie. Niektórzy długie jak samo umieranie... Gdzieś w tym samym mieście i o tej samej porze umarł także kaleki Wędrowiec. Nigdy nie nawiązał kontaktu ze światem, nigdy nie odezwał się nawet słowem i nigdy nie wstał z inwalidzkiego wózka. Przez wiele lat żył jak roślina. Karmiono go, pojono, przewijano i kapano. Kiedy umierał, wydawało mu się, że spaceruje o własnych siłach. Nie żałował niczego i za niczym nie tęsknił. Przeznaczenie nie mogło go w żaden sposób zaskoczyć. W ostatnich minutach życia ktoś pozwolił mu przeżyć tysiące szalonych orgii, tysiące matematycznych wzruszeń i tysiące niewypowiedzianych wizji jasnowidza... Wędrowiec czuł, że jego wewnątrz zapłonęło i tak samo szybko zgasło. Dotknął, posmakował i zeszywniał. Wraz z ostatnim oddechem wypłynęła z jego ust strużka jabłkowego kompotu, który kilka godzin wcześniej wypił po kolacji. Umarł ze smakiem zielonych jabłek na podniebieniu.

*

Zbrodnia i kara... Odwieczny mechanizm równowagi. Zło, które spada na najmniejsze nawet marzenie. Tysiące, miliony słów wypowiedzianych dla idei, ot, teoretycznie rzuconych pod nogi, aby ocalić skalę interesów. Policyjne gry, urzędowe niepo- hamowanie. Nieokiełznana korupcja i eksplozja konformizmu. Kradzież dolara albo ciastka pomnożona przez nieskończone ciągi życia. *No, no no... Zasuwasz, stary, że trudno się połapać. Przestań się czaić, przestań owijać. Wyjaśnij ludowi,*

*o co chodzi... I znów stare - wcale nie ludowe - przysłowie przychodzi nam z pomocą. Kiedy nie wiadomo, o co chodzi, to wiadomo, że chodzi o pieniądze... Zło każdy widzi. Mały Robert pociągnął małą Marysię za warkocz. Widać? Widać. Tłumaczymy. Młody Henryk uderzył w twarz Zenka, ponieważ tamten nie dał mu pieniędzy, a Henryk miał właśnie ochotę na pieniądze. Widać? Widać. Tłumaczymy. Rzadko dajemy w tyłek. Duża Jola podłożyła bombę w pociągu, bo nie podobał jej się publiczny sposób na życie. Widać? Widać. Nie tłumaczymy! Wsadzamy do więzienia. Dorosły Kazik wbija nóż w plecy kolegi i zabija go na miejscu. Cóż, był tylko pijany i bardzo się zdenerwował. Poza tym pochodzi z patologicznej rodziny, więc bardziej wolno mu zabić niż temu Jankowi w okularach, co to każde wakacje spędzał za granicą. Widać? Widać. Więzienie. Uniwersytet dla pokrzywdzonych przez los zabójców kobiet, dzieci, dziewcząt i kolegów. Sprawiedliwa i ludzka edukacja młodzieńców, napadających - bagatela! - zaledwie w kilku na jednego. *Nadal jednak czekamy na odpowiedź. Skąd się to sztańskie zło wylęga? Kto ukróci łeb potworowi?* Ludzie chcą się czuć potrzebni. Chcą zarabiać pieniądze i służyć innym. Prezydenci, rządy i parlamenty ustalają prawa, które służą ludziom. Jasne? Jasne. Prawa te nie spadają jednak z księżyca. One wyrastają z głów fajnych facetów po studiach. Wielbicieli tysięcy paragrafów. Pieszczochów dobra, nieludzko przymilnych mecenasów. *Oj, chyba jesteśmy blisko żaru!* Ci właśnie eksperci od sprawiedliwości społecznej proponują, zakładają komisje, postulują, wyrażają opinie, analizują okoliczności... Męczą sięjak jasna cholera! *Pewna młoda panna, studiująca medycynę i grająca na basie, powiedziała, że męczą bułę albo łoją na garach. I zapytała przytomnie: obczajasz?* Oni właśnie proponują mordercom rekompensatę wysokości pięciu, ośmiu, piętnastu, a czasami nawet dwudziestu pięciu lat więzienia. Co za wyczucie dobra! Co za dokładny przelicznik! Co za nienawiść do zła! Całe szczęście, że zostawiają tym dobrym ludziom szansę na poprawę, na przedterminowe zwolnienie lub okolicznościowe urlopy. Kto by się tego spodziewał?*

Wyrozumiałość dla zabójców dzieci, kobiet i mężczyzn jest cudowna. Nie ma w niej cienia zemsty, nie ma nawet jednej, jakże niepotrzebnej i bezsensownej próby zrozumienia ofiary. Wyobraźnia może uruchomić to nieestetyczne przerażenie zarzynanego powoli przechodnia. *Wyobraźnia może sobie zapodać bardzo nieelegancki ból każdego przecinanego nerwu. I oczywiście skwitować to wielogodzinnym, wielotygodniowym, wieloletnim pierdoleniem o uwarunkowaniach i godności człowieka. Aż do usrania. Żeby rachunek był równy.*

To wspaniałe! Po co zawracać sobie głowę zakatrupionym na spacerze emerytem? Było, minęło... Czasu się nie cofnie, a paragraf i tak bólu nie poczuje. Trzeba koniecznie pomóc temu biednemu mordercy. Jakże on się musiał naciерpieć? Jakże przeżył przypalanie żelazkiem jakiegoś tam mało gadatliwego staruszka? Na szczęście planeta usłana jest dobrodziejami, słodkimi stróżami prawa, barometrami nastrojów w więzieniach wyposażonych w zachwycające telewizory i lodówki.

I kiedy ktoś wyobraził sobie - o naiwności! - że zło można zlikwidować, wówczas zesłano go na banicję. W swej łatwowierności zapragnął złapać wszystkich niegrzecznych chłopców

i dziewczynki w ciągu miesiąca. Odważył się zauważyć pijane, naćpane i rzygające agresją ulice. Wyobraził sobie noc, która połyka swój własny odpad i wywozi na pole. Tam uruchamia się karabin i następuje zejście. Czy można być aż tak głupim? Czy można wyobrazić sobie miasto bez bandyty? Czy można usunąć tysiąc, a może dwa tysiące śmierci w jedną noc? Można. Stety i niestety można. Dlatego brzmi to strasznie. Żadnych więzień, żadnych rozpraw, żadnych zwolnień. Cisza. Spokój.

No, już widać tych spasionych dobrodziejów, zasłaniających się hasłami rozciągliwymi jak prezerwatywa. Słowa: nieludzki, niemoralny, nieetyczny, niehumanitarny nikogo nie ruszają. Padają, bo są za darmo. Pomagają zasłonić wygodną dupę. Puste sale sądowe, puste aplikacje, puste uniwersytety. Czy jest ktoś, kto zarznie kurę znoszącą złote

jaja? Zło rzucone w ten sposób na wagę waży mniej niż zbiorowe samobójstwo prawodawcy. Dobro jest społecznym interesem, który musi się po prostu kręcić. Są państwa, w których za parawanem obłudy ofiara nie ma prawa zabić kata. Morderca ma prawo zabić, ofiara ma obowiązek zginąć. Jeżeli obroni się, jeżeli ośmieli się wypaść z roli, zostaje surowo ukarana. I to dopiero jest prawdziwa licencja na zabijanie! *Demokracji, która ma zatwardzenie, nie śni się nawet własny pogrzeb. Śni jej się dobro, które zwycięża zło. To brzmi lepiej. Towar łatwiej sprzedać.*

*

Peter Coy z satysfakcją dotykał grubego maszynopisu swojej pierwszej pisarskiej opowieści. Białe, wełniane gogle, który miał tego dnia na sobie, upodabniał go - w jego mniemaniu - do przystojnych aktorów grających pisarzy w znanych filmach. Agent wstał i podszedł do lustra. Przyglądał się sobie z niekłamana dumą. Miał powody przypuszczać, że materiał dostarczony mu przez prywatnego detektywa Smitha znajdzie na rynku księgarskim miliony czytelników. Poza olbrzymimi pieniędzmi, które nie robiły na nim większego wrażenia. Coy z niecierpliwością czekał na uznanie jako twórca. Do udanego podsumowania swojego życia potrzebował tylko sławy. Marzył o tym od najmłodszych lat. Dlatego wynajął młodego i zdolnego pisarza, ofiarował mu sto tysięcy dolarów i anonimowo zlecił pracę nad książką. Do jej ukończenia brakowało zaledwie kilkunastu stron. Smith obiecał dostarczyć ostatnie materiały w ciągu trzech najbliższych dni. Wszystko zostało przygotowane do rozpoczęcia triumfalnej kampanii reklamowej we wszystkich liczących się państwach świata. Zegar tykał...

- Dzwoni pan Smith... - Za plecami agenta rozległ się ciepły głos sekretarki. Weszła niezauważalnie, a jej mina nie straciła ani przez chwilę dostojnego wyrazu. Od pewnego czasu panna Lenox tak właśnie zaczęła się zachowywać. Agent uśmiechnął się wyrozumiale i podniósł słuchawkę. Sally Lenox doskonale wiedziała, że za kilka tygodni sytuacja jej szefa może się

radycznie zmienić. Ona również pragnęła, aby Peter Coy stał się cenionym i uwielbianym przez tłumy pisarzem. W jej oczach była to prawdziwa nobilitacja.

Smith był chłodny i jak zwykle w rozmowach telefonicznych denerwująco mlaskał językiem o podniebienie. Po raz kolejny poinformował Coya o swoim starannie przemyślanym planie. Robił to zawsze, ilekroć miał zamiar wyciągnąć dla siebie więcej pieniędzy. Na tym jednak nie skończył. Posunął się znacznie dalej.

- Chcę mieć udział w tej książce, szefie - wypalił nagle z rozbrajającą szczerością. Agent zagryził wargi i sięgnął po fajkę. Przez chwilę milczał. Pokazał sekretarce, że powinna wyjść i starannie zamknąć za sobą drzwi. Zapalił fajkę i położył zapalniczkę na biurku. Dopiero teraz odezwał się do słuchawki:

- A jeżeli nie?

- Wtedy opublikuję to sam... Wiem, wiem... - Nie dał mu dojść do słowa detektyw. - Też mam głowę na karku. Wezmę fachowca, odpalę mu parę procent i zrobi to jak trzeba... No co? Niezłe to wymyśliłem?

- Bardzo dobrze - pochwalił sztywno Coy. - Dogadamy się, panie Smith... - Agent zawsze zwracał się do ludzi z niższych sfer przez „pan”. Inne formy były dla niego zbyt poufałe.

- Kiedy zakończy pan swoją pracę, postaram się zaproponować panu coś naprawdę satysfakcjonującego... Jeśli się nie mylę, chodzi przede wszystkim o pieniądze, prawda?

- Zgadł pan...

- A zatem-do widzenia wkrótce, panie Smith - uciął agent i odłożył słuchawkę. Zapatrzył się w dym snujący się powoli z fajki. W stojącym powietrzu gabinetu swoją szarością i kształtem przypominał pętlę na szyję skazańca.

Coy był twardy i byle przeszkoda nie mogła go wyprowadzić z równowagi. Poza tym wierzył w swoje pieniądze. Smith, jak większość jemu podobnych, był do kupienia, a szantaż mógł co najwyżej podbić jego cenę. Zatem problem istniał wyłącznie w głowie prywatnego detektywa...

Drzwi do mieszkania nieżyjącego Blaise'a Jordana były wzmocnione blachą i zabezpieczone aż czterema zamkami.

Smith długo przymierzał się do ich sforsowania. Wreszcie postanowił działać. O drugiej w nocy, w mdłym, żółtym świetle korytarzowej żarówki, wsuwał w zamki starannie dobrane uniwersalne wytrychy. Zapadki odskakiwały jedna po drugiej. W końcu detektyw nacisnął klamkę i ostrożnie zajrzał do środka. Jego zdziwienie było znacznie większe od guza, którego sobie nabił, wsuwając głowę za drzwi.

Zamiast przedpokoju zobaczył przed sobą ceglany mur z otworem wielkości ekranu dwudziestocalowego telewizora. Smith pomasaował sobie guza na czole i wsadził głowę w otwór. W przedpokoju na ścianie świeciła się mała lampa. Było nienaturalnie cicho. Detektyw rozejrzał się na boki i z ciężkim sapaniem zaczął się wciskać do dziury. Kiedy znalazł się w mieszkaniu, natychmiast zatrzasnął za sobą drzwi. *Bingo!* Jego oddech stał się krótki i chrapliwy. Zanim wykonał kolejny krok, Smith przez dłuższą chwilę nasłuchiwał. Odruchowo dotknął rewolweru pod marynarką. W końcu ruszył, obserwując drzwi do jednego z pokoi. Pozostałe zostały starannie zamurowane. Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Nie zobaczył jednak ani mebli, ani okna. Za drzwiami wił się wąski korytarz-labirynt. Smith wędrował wzdłuż słabo oświetlonych korytarzy, napotykając raz za razem zamurowane wyjścia. Po kilkunastu minutach kluczenia zmęczył się i postanowił wrócić do przedpokoju. Z trudem odnalazł drzwi, przez które wszedł do labiryntu. Tym razem nie udało się ich otworzyć. Detektyw zaatakował je barkiem, ale bez skutku. Dopiero teraz zorientował się, że walizeczkę z wytrychami zostawił w przedpokoju. Po kilkunastu kopnięciach w drzwi wyciągnął rewolwer i trzykrotnie strzelił w zamek. *Trzymaj się stary! Jesteśmy z tobą...* Kolejne wściekłe uderzenia butami pomogły. Drzwi otworzyły się. Za nimi znajdowała się jednak - jak poprzednio - ściana z cegieł. Tym razem bez żadnego otworu.

Detektyw stracił orientację. Światło nagle zgasło i w korytarzu zrobiło się przeraźliwie ciemno. Bardzo szybko czas zaczął się Smithowi naprawdę dłużyć. Po kilku godzinach nawoływania i wystrzeleniu wszystkich nabożów detektyw zaczął ścierać łufą cement pomiędzy cegłami. Odczuwał głód, pragnienie i bez-

silny lęk. Z godziny na godzinę słabł. Brak powietrza sprawiał, że stawał się coraz bardziej senny. Po kilku dniach wyczerpał swoje siły i zaczął się dusić. Zmarł dokładnie w chwili, gdy zdecydował się rozbić swój zegarek... Kilka sekund wcześniej przypomniał sobie małego chłopca, z którym rozmawiał o własnej śmierci. Szczegółów rozmowy nie zdążył sobie odtworzyć. Benedykt nie przestawał liczyć cegieł. Z masochistyczną rozkoszą zaplanował labirynt w mieszkaniu Jordana i krok po kroku doprowadził do rozpoczęcia budowy. Zamówił olbrzymi transport cegieł, cementu i piasku, po czym kazał wnieść to wszystko do mieszkania. Zapłacił co do grosza i zamknął od środka drzwi. Cement był szybko schnący, taki, o jakim marzą wszyscy gangsterzy. *Niektóre dzieci również, panie pisarzu. Zapomniał pan o dzieciach?!*

Przygoda ze Smithem dostarczyła Benedyktowi sporej rozrywki. Urozmaicał sobie liczenie cegieł i murowanie labiryntu wsłuchiwaniami się w okrzyki i jęki detektywa. Liczył je wszystkie bardzo dokładnie i mnożył przez liczbę liter w słowach, jakie tamten wypowiadał. Zabawa była cudowna. *Byłaby lepsza, gdyby w ten sposób witał Nowy Rok. Nie pomyślał. Teoretycznie było to możliwe.*

Benedykt odreagowywał klęskę, jaką poniósł we własnych oczach. Zabijał czas, zamurując się w labiryncie z cegieł. Komputer zniszczył. Zrzucił go na podłogę i porozbijał kijem do golfa. Poddał się i wrócił do czystego liczenia. Program, który przedstawił młodemu jasnowidzowi von Klaustowi, był zaledwie namiastką tego, czego obaj oczekiwali. Nie udało się. Benedykt nie potrafił poradzić sobie ze złożonością fizyki. Oszukał chłopca, podsuwając mu zaledwie komputerową symulację realnego świata. Idealną, ale jednak symulację. Podglądanie i podsłuchiwanie ludzi poprzez włączone telewizory było fikcją. Po raz pierwszy Benedykta zaatakowała jego własna duma. Bezlitośnie i twardo.

Na pocieszenie została mu tylko satysfakcja ze stworzenia programu przekazującego doświadczenia z mózgu do mózgu...

Domyślamy się oczywiście, że dla takiego faceta ten rodzaj satysfakcji był zwyczajnym bzdetem. A może nie?

W łazience było coraz mniej miejsca. Benedykt siedział w wannie i wciskał tuż przed twarzą ostatnie cegły. Cement błyskawicznie zasychał. Powietrze stawało się ciężkie i gorące. Benedykt słabł. Chciało mu się pić, ale dostęp do kranu był odcięty, zamurowany jeszcze poprzedniego dnia. W świetle plastikowej latarki genialny debil kończył liczenie i zaczynał cierpieć. Kiedy wszystko gasło, kiedy serce przestawało bić, dar pozwalał wyszarpnąć życiu kolejne minuty. Benedykt liczył własne oddechy. Dlatego - mimo bólu - odszedł z uśmiechem szczęścia na twarzy. Bez hysterii, bez współczucia i żalu za grzechy, bez jakiegokolwiek tęsknoty. Jeden z ulubieńców losu. To wszystko.

*

Banał wygrywał. Peter Coy zatrzymał się właśnie dokładnie przed wejściem do domu towarowego Harrodsa i zmarszczył czoło. Wybór, jakiego musiał dokonać, nie był łatwy. Agent zastanawiał się, czy marynarka, którą ma kupić, powinna mieć metkę jednego ze znanych światowych projektantów czy też znak firmowy najsłynniejszych londyńskich krawców, Gievesa i Hawkesa. Sprawa była poważna, ponieważ książka znajdowała się w druku i za kilka dni miała znaleźć się w księgarniach. Za tym szła oczywiście promocja i konieczność pokazywania się, udzielania wywiadów i częstego zmieniania ubrań. Coy drżał na samą myśl o czekającym go sukcesie... *Warto byłoby sprawdzić, czy usunął z nosa i z uszu zbędne włosy. Dyskretnie!*

W końcu banał zwyciężył. Serce Coya zatrzymało się, kiedy jedna z żył została nagle zapchana. Może był to mikroskopijnej wielkości fragment guza, jakiego agent nabił sobie o łóżko? A może odezwał się mikrouraz stopy sprzed dwóch dni? W grę wchodził także tłuszcz z setek frytek, które Coy od wielu lat uwielbiał i jadał na lunch. Nieważne... *Na szczęście sekcja zwłok wszystko wyjaśni...* Agent umierał przed wejściem do Harrodsa i nic nie mogło mu pomóc. *Karetka nadjeżdżała niepotrzebnie, kobiety w ciąży odwracały przestraszone oczy, a portier i policjantka z nieelegancko długą szczęką*

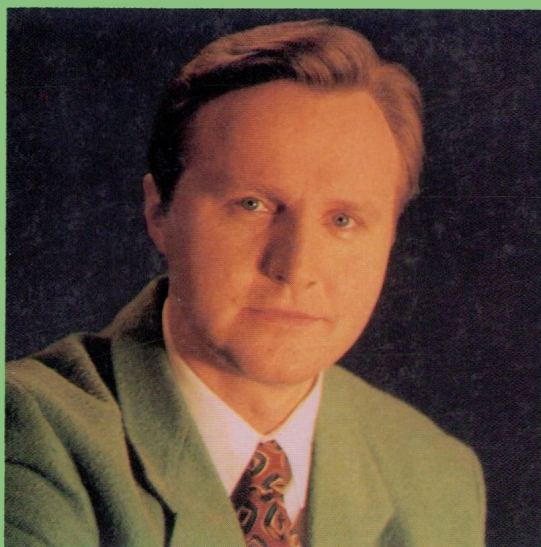
wpatrywali się z uprzejmym wyrazem twarzy w otwarte usta umierającego. Powiedzmy sobie otwarcie, że patrzyliby na niego tak samo, gdyby byli ubezpieczeni

- chociażby - w Metropolitan Life Insurance Company albo mieli taki sam widok na rzekę, jak królowa z Royal Naval College. Coś jeszcze?

Sukces książki nagle stracił znaczenie, podobnie jak kolor marynarki, w której Coy zamierzał po raz pierwszy wystąpić jako pisarz. Problem przestał istnieć. No, może częściowo, ponieważ agent nie miał spadkobierców i nie sporządził testamentu. *O teraz cała prawda wyjdzie na jaw.* Niewątpliwie prawo brytyjskie jakoś to rozwiąże, niemniej nadal będzie nas dręczyło pytanie - co z forszą? Co stanie się z milionami dolarów, jakie po tym facecie pozostały? Kto - powiedzmy wprost - zarobi na książce? Ba! Dalej! Co będzie z dolarami zgromadzonymi na koncie zmarłego jasnowidza, Huberta von Klausta? Boże, a co z majątkiem jego nieszczęśliwej matki, Ewy Zylber? Uspokójmy się, nie ma mowy o marnotrawstwie. Ktoś na pewno to weźmie...

Tak właśnie płąsały myśli tych wszystkich, którzy poznali tę historię dzięki dziennikarzom. *A kimże są ci, jak im tam... dziennikarze, co?* W ten sposób żywi współczuli umarłym i martwili się o przyszłość. Kochani, dobrzy ludzie z małych wsi, miasteczek i różnych państw. Jakże ich nie szanować i jakże nie pomyśleć o sobie? Przecież nie jesteśmy bakteriami, które żyją w kwasach podgrzanych do temperatury 100 stopni Celsjusza i nie nazywamy się „kwasolubami z piekła rodem”... *To tyle na ten temat?*

Jesteśmy pieszczochami losu, nieprawdaż?



JACEK DĄBAŁA

osobowość telewizyjna
doktor nauk humanistycznych
dziennikarz i scenarzysta (*Młode wilki*)
autor powieści i rozpraw naukowych
pisze także dramaty i fantasy

1000000\$

Tam, w polsce siedzi pisarz
i niecierpliwie czeka na swój milion dolarów.
Trzeba mu go natychmiast dać!

PIESZCZOCHY LOSU

Kto u schyłku XX wieku napisze powieść za milion dolarów?

Kto zostanie Einsteinem literatury?

Kopernik, Chopin, Curie-Skłodowska i...?

Oczywiście – ja!

„Piszę dla świrów i dla intelektualistów!”

PIESZCZOCHY LOSU

Niezwykła, najbardziej fascynująca powieść polska
ostatnich lat

18,00 zł

Ali-Baba

ISBN 83-06-02628-4



9 788306 026283

